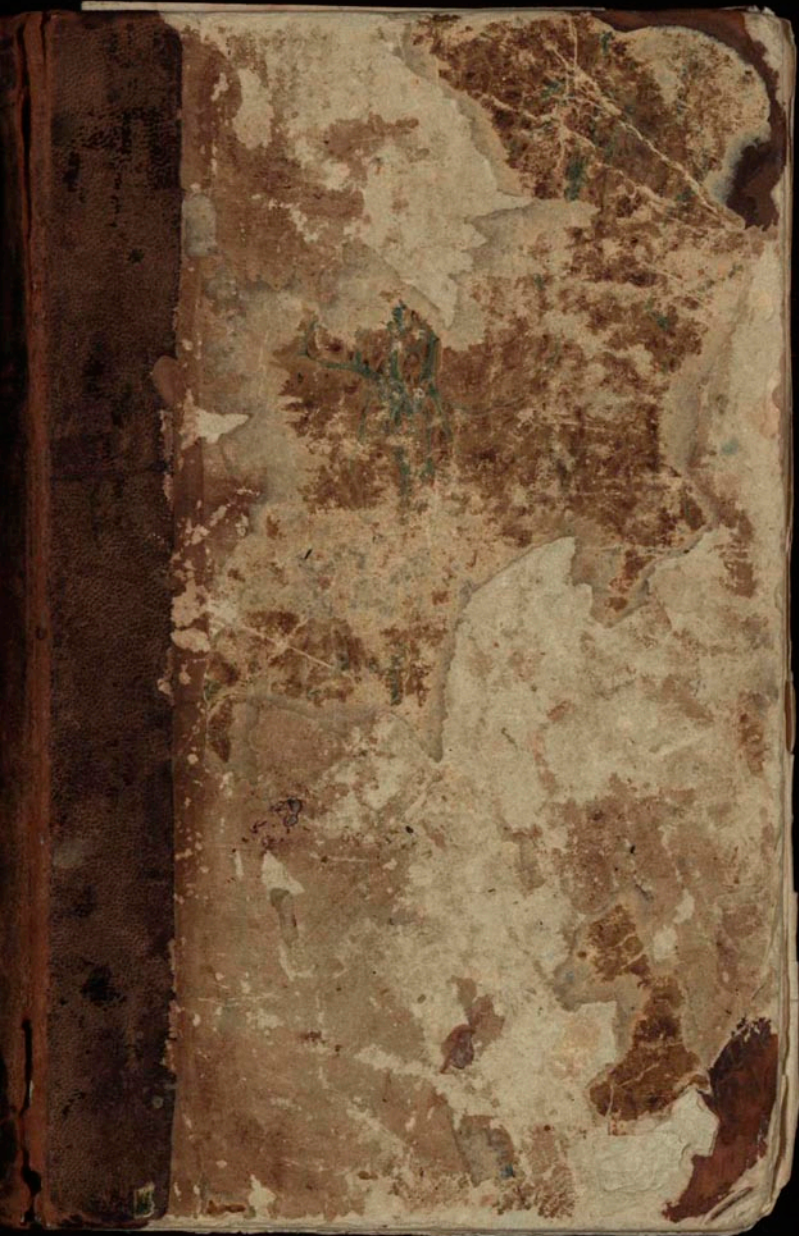




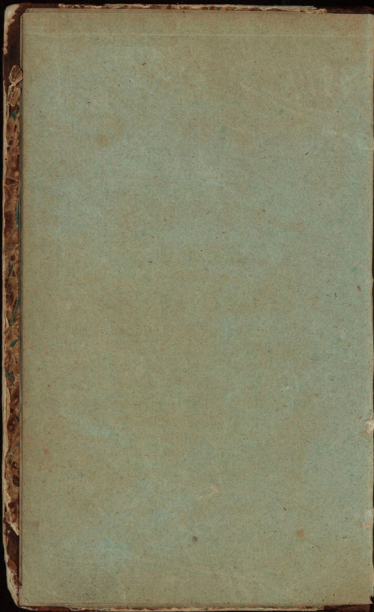
~~1755~~
3814



3814

~~8827~~

~~4412~~



24 4k

OBRAZY
Z ŻYCIA I PODRÓŻY.

EX LIBRIS
BIBLIOTEKI
POWIATOWEJ



BIAŁE PODLASKIE

Białe Podl. — sam. 899-62 — 1000 — Da-9-227

OBRAZY
Z ŻYCIA I PODRÓŻY.

PRZEZ

J. L. KRASZEWSKIEGO.

Nulla dies sine linea.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1842.

REGIONALIA

OBRAZY

R



30260

IV C Hw
30260

30260

908

IVC : IC : IC : IC : ID
BP Kod Row Kwa

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowa-
niu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.

Wilno. 1841 roku 19 Grudnia.

Cenzor, Radca Kollegialny i Kawaler

JAN WASZENIEWICZ.

Miejska Biblioteka Publiczna
Białystok



5 118200000005

WILNO.

WILNO. 1841 roku 19 Grudnia.

1841

BIAŁA NA PODLASIU.

30260

RIATA NA PODASSIE





I.

Biała na Podlasiu.

WEDŁUG mnie, niéma nic naturalniejszego nad chęć poznania i wysledzenia historij miejsc, które nas dzisiaj, pod jakimkolwiek względem zajmują. Jest to, jak kiedy u kochanego przyjaciela staramy się dowiedzieć przeszłości, żeby go znać pełnić, lepić, żeby się w niego, niejako wcielić. Gdyby każdy znajomych sobie okolic, starał się po-

znać szczegółowie choćby niebardzo odległą przeszłość, ale tę której szczątki tkwią w niej jeszcze, gdyby każdy spisywał dzieje takie; złożyłaby się wprędce zajmująca bardzo historia wewnętrznego życia kraju. Niepotrzebaby nie omijać, nie z niej usuwać, wszystko bez wyboru, co tylko pod najrozmaitszemi względami zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego później nieraz surowszy nawet dziejów pisarz czerpaćby musiał. Tylko że jedni spożywają życie swoje, nie patrząc na to, co je poprzedziło, bez zastanowienia, jaki między nimi a ich poprzednikami moralny zachodzi związek i następstwo; całkiem dniem dzisiejszym zajęci, nie poznają, że *dziś* bez *wczoraj* jest bardzo krótkie, krótsze niż *dziś* bez *jutra*, bo *wczoraj* jest naszą własnością niezaprzeczoną i nikt go nam nie wydrze; a *jutro*? Któż to wie? Pozwólcie mi więc z przyzwoitą powagą, prawić wam dzieje miasteczka, którego może dotąd i z imienia nieznaliście, o którego istnieniu nie wiecie; nie się nie dziwujcie jego i mojej pomieszanej tu historii; według mnie nawet historia starych butów mo-

glaby być nauczającą i użyteczną, cóż dopióro miasteczka i człowieka? Taki jest mój sposób myślenia w tym względzie, a że każdy swojego systematu koniecznym być musi exekutorem bądź co bądź, i ja także bez litości nad wami, bez strachu o siebie, zaczynam swoje.

Ach! w tej to Białej, przebyłem ja najlepsze z moich lat dziecinnych, w niej się moja dusza otworzyła na świat, tu poczułem raz pierwszy chętkę do pisania i raz pierwszy wziąłem pióro w rękę. Widzicie teraz dla czego tak kocham Białę i szanuję jej wspomnienie. Wy, którym moje nieustanne pisanie, może się już nieraz sprzykrzyło (choć go nie czytacie) nie wiele zapewne będziecie wdzięczni miasteczku; ale ja, ja je kocham, ja je szanuję. Mimowolnie w starości czuje każdy przywiązanie jakieś czule do pierwszej kochanki, (bodaj ta była służącą jego matki) tak ja do tego miejsca, w którym poznałem raz pierwszy roskosz wylania duszy na papier, czuję dotąd, coś naksztalt tego przywiązania. Plebanja Bialska (pod względem powierzchowności) była orygina-

lem mojej plebanij w *Panu Walerym*; patrząc na nią ukradkiem z okna sali szkolnej, opisywałem ją na okładkach sexternu jeografij. Cały *Wielki świat małego miasteczka*, osnuty już prawda później daleko, w kilka lat, ale na tle wspomnień o Białej.

Biała jest to miasteczko na Podlasiu, położone na traktcie Warszawskim, z Brześcia Litewskiego, przez Międzyrzecz i Sielce idącym; niegdyś była punktem granicznym między Polską a Litwą, a bodaj czy jej na w pół linja graniczna nie rozcinała. Leży ona wpośród równin, lasów i błot, ma ruiny zamku Radziwiłłów, kilka klasztorów, kilka kamienic, (których teraz, gdy to piszę znacznie przybyło) wszystko co zwykle składa stare miasteczko, niegdyś rezydencjonalne możnej rodziny, potem wyglądające jak futerale od czegoś, pełen pajaków i pajęczyny, gdy ożywiający je dwór i dziedzice możni znikną.

Pięknie się jeszcze za moich czasów (1825, 1827) świecił w Białej, zamek niegdyś obronny, otoczony walem, na którym rosły stare lipy, naszych przechadzek wieczornych i śpie-

wów wesolych świadki i słuchacze. Patrza-
liśmy w wyschłe fossy; dumaliśmy o zameczy-
sku na którego jedno wejrzenie, dziś mi ma-
luje całą jego przeszłość i dawniej jego mu-
ry z podaniami domysłonemi, podsłuchane-
mi, wydumanemi, zaprzętały głowę cheiwa
dziejów i wzruszeń, ciekawą powieści i la-
lnącą ich jak powszedniego chleba.

Ten zamek niegdyś obronny, te wały za-
rosłe lipami, a wśród nich, w ich wianku
późniejszego już życia, pałace, oficyny, ka-
plice, grotty, malują i przypominają i wielki
najazdów wojen, niepokojów, i wielki prze-
mocy arystokracji tak nieszczęściem silnej
w ostatnich czasach, która drąc się z sobą
i ze szlachtą, dumnie brząkała o szablę, w niej
tylko widząc kodex prawa dla siebie — aż pó-
ki i szabla i ręka co nią potrzasała, nie upa-
dły w proch na zawsze.

Cieniste, stare lipy wałów, ileżście to
dzieciennego życia scen widziały, ileśmy to
pod waszemi gałęzmi bajek sobie napletli pa-
trząc w te fossy, w których gdzieś stęchła i zielona woda, odzywała się do nas
głosem tysiąca żab, ostatnich dziedziców zam-

kowej okolicy, najgłośniej podobno, a pewnie tu najdłużej panujących.

Wchodu do zamku strzegła pięćdziesiąt dwu łokciowa wieża (wiem o tém z geometrii praktycznej) i brama ciemna, w której wiwatowe stare armaty jeszcze leżały bez nóg, sparaliżowane i umarłe, zapechane śmieciem i piaskiem. Z téj wieży dzwonił jeszcze ostatni, co przeżył wszystkich w zamku — stary zégar, ale dzwonił nie dawnym panom swoim, nie weselu i dostatkom — dzwonił nad głową kajdaniarzy w wieży zamkniętych, dzwonił godziny nędzy, upodlenia, występuku, rozpaczey. Mój Boże, myślałem nieraz o tém, gdy godzinę uderzał zimno, równo, jednostajnie, tak jak za dawnych czasów bywało; myślałem jak się pod nim ten czas, który on mierzył tak równo — odmienił. Dawniej wesela, uczty, biesiady, albo pacierze pobożnej stariej xiężnój; dziś godziny więźniów, godziny stworzeń głupich, spodłonych, występnych. — A wszystko jednakowo!

Szczęk łańcuchów tych ludzi, był dla mnie, pomnę, najstraszniejszym dźwiękiem — obawiałem się ich tak bardzo, nieśmiałem

spójrzeć na nich, gdy przechodzili ulicą i uciekałem gdym zbliżających się usłyszał.

Zameczyska dziedziniec pusty, zarosły był zieleń, zamek pusty także, straszliwie pusty, bo wyjąwszy boczną oficynę, w której mieszkał ktoś jeszcze, wydając się tam jak jaskółka pod dachem; reszta murów była mieszkaniem duchów, bajek, sów i wróbli. Sale stały, ogromne, smutne, puste, zawalone potluczonymi szklami okien; ledwie dawnego życia ślady pisały się po murach w otluczonych gipsach, w których się legły wróble, w malowanych naddrzwiach. Osobliwością zamku, były dwa żebra wielkoluda (w istocie kości wieloryba o których niżej będzie) i kociół duży, w którym jak niesło podanie, Radziwiłł któryś kapał się w winie, a tym winem potem zapewne, ślachtę sejmikową poił. Pańskie brudy, tak jeszcze spolonym smakowały!

Był tam i tradycyjonalny zwierciadlany niegdys pokój, w którym (wedle tych którzy wszystko do ostatecznych konsekwencji posuwają) miała być też i podłoga zwierciadlana. Za-

krawaloby to jednak na facecj^ę z czasów Ludwika XV, któr^ę u nas trudno dać wiarę.

Na najwyższ^{ym} piętrze zamku (ile zapamiętam) w murze był niewielki luft, który przez całą jego wysokość, aż do podziemnych schodził sklepień i kończył się studnią. Rzucałiśmy tam kamienie i nastawiali ucha, jak długo obijając się o ściany, padały coraz ciszej, coraz głębiej, aż plusnęły w wodę. Były tam i ślady małego teatrzyku na górn^{ym} piętrze. W ogrodzie objętym wałami (przestrzeń któr^ą one otaczały była wielka) zarosł^{ym} zdziczał^{ymi} drzewy, chwasty i kapust^ą dzisiejszych mieszkańców zamku, była grota z muszli i gipsatur, z któr^ę tylko to pamiętam, że w ni^ę pi^{er}wszy raz widział krzyż Ś. Stanisława trzymany przez anioł^{ów}; musiało to być na wieczną pamiątkę kawalerstwa któr^{egoś} z ostatnich Radziwiłł^{ów},—wróble na t^ęm wiele skorzystały, bo zdaje się że dla nich, nie w świecie ni^ęma wygodniejszego na gniazda, nad połamane gypsatury, przyczepione do mur^{ów}, i lubo im świergotać na zwaliskach. Była tam też wśród kapuścianych grządek fontanna bez wody, ka-

plica bez nabożeństwa i słupy bez parkanu, tak jak zamek bez panów i bez duszy.

Jedna część zameczyska za moich się czasów obalila w nocy, z ogromnym loskotem — początek putrefakcji tego trupa, którego godziny i lata wydziobią i pozrą jak krucy i sepy.

Czemuż niemogę znaleźć książeczki, w której dzieckiem jeszcze, trawiony gorączką literatury i sztuki, opisałem był sobie i wyrysowałem po dziecinnemu stare Bialskie zameczysko; byłaby to dla mnie miła pamiątka.

Mieszkalem u Rektora Preissa niedaleko zamku, naprzeciw Farnego kościoła, w domu pompatycznie zwanym Akademją (była to dawniej Kolonja naukowa). Naprzeciw okien stał murowany słup, dawniej granica Litwy i Polski. W tym to domu na strychu, pierwszy raz rozmiłowałem się w starych książkach — i jakimże wypadkiem, tam leżących!!

Uczeni owego czasu profesorowie, (wyjmując z ich liczby Adama Bartoszewicza, który pewnie o tém niewiedzial) otrzymawszy do biblioteki dar wielu książek starych, wybrali nowsze i lepiej poprawne, a resztę kazali

wyrzucić na strych. Chodziłem tam postrzegłszy to i jakim się bawił przeglądając stare holesztzycy, usiłując zrozumieć, co tam było napisano w niepojętych jeszcze dla mnie językach. Już wówczas jakiś węzeł sympatij łączył mnie z xiegami, czulem na ich widok, to co czuje młodzieniec, gdy ujrzy przeznaczoną mu od wieka — kochankę. Zdalo mi się, że gdzieś widział to wszystko, że znalazł, przypominał sobie, zdalo mi się że gdzieś, kiedyś te książki czytałem, że nie były mi obce, nie były dla mnie nowe, czulem że nie pierwszą już, kocham je miłością. Goethe byłby powiedział z Lejbnitzem, że duchowna moja monada, ślachtetniejsza część mnie, wyszła świeżo z jakiegoś bibliofila, mnie się to zdaje i zdalo prostém tylko przeczuciem przyszłości, które brało na się postać wspomnienia.

Naprzeciw naszej Akademij stał jakim powiedział kościół farny, nie stary jeszcze, ale czarny i posępny, bo brudny, wśród smętarza obmurowanego, otoczonego lipami, na którym jeden tylko kamień grobowy, w tyle za kościołem leżał. Czytaliśmy go jeszcze

z mechu odzierając, pamiętam że tam były wiersze polskie, że kamień pokrywał doktora czy aptekarza. W kościele żadnych pamiątek. Ileż to tu odbyło się wesółych festów! biegaliśmy na roraty z papierowemi latarniami, drżąc od zimna i chuchając w skóśniale palce śpiewaliśmy *Gorzkie żale* po Niedzielnym w poście nieszpórach; tuśmy stroili ołtarze na Boże Ciało, to święto tak wesołe, w które trudno się było modlić inaczéj jak duszą, bo wszyscy tak strojni, bo dzień tak piękny, tak wesoły, tak zielony i kwiecisty! Ileż tu znowu widzieliśmy ślubów i wesel! Pamiętam jedno — Szła para do ślubu, a z kościoła szarym mrokiem nieśli trupa na mogiłki. Spotkało się wesele z pogrzebem w pół smętarza i poszło swoją drogą wesele, swoją drogą pogrzeb, lzy w jedną, nadzieja w drugą stronę. Szeptali wszyscy o złéj przepowiedni — mąż wkrótce potém umarł. I jak było nie uwierzyć w tajemniczą przestrogę losu!?

Od Fary szła droga szeroka, na lewo rzucając zamek, do klasztoru PP. Miłosierdzia, któren mi jest pamiętny nie jednym



smacznym, u Panny Starszój podwieczorkiem. — Idąc tedy na przechadzki, przyglądaliśmy się ciekawie sierotkom wesółym, swawołącym z rozwianemi włosami, w białych sukienkach, po ogrodzie klasztoru. — W drugą stronę od Fary wiodła ulica do rynku, w prawo mniejsza, na której wielu mieszkało studentów, ku Reformatom i przedmieściu Woli. Tu był szpital kościelny, na którym patrzałem nieraz z okien Akademij, ciekawie śledząc wypadki życia ubogich, którego nie pojmowałem spełna, wyobrażając je sobie poetyczną mieszaniną nędzy i dziwów. Tam dalej ku Woli, częstośmy po nad zarosłym trzcinami stawem, chodzili na przechadzki. W lewo stał smutny, posępny jak życie mnisze klasztor i kościół Reformatów. Idąc rynkiem w miasto, ku końcowi jego ukazywała się dziwaczna struktura kościoła xięży Bazyljanów, którego architektem był sławny asceta Xiądz Szczurowski fundator nowego jakiegoś żeńskiego Zakonu, upadłego podobno. Jest jego drukowana Missja Bialska; a mimo tych wszystkich dzieł niewątpliwa, że miał coś nakształt spokojne-

go pomieszczenia. Dowodzi tego po części i architektura kościoła z mnóstwem galeryjek, galeryj, wschodów, wschodków, nisz, korytarzy i t. d. Nad wielkim ołtarzem złożone ciało Błogosławionego Jozafata Kuncewicza.

W rynku miasta była aptéka, kramy drewniane, poczta, traktjer i t. d.

Mieszkalem u Rektora, w staréj owéj Akademij, o którój wspomniałem. Dzień nasz schodził na nauce, zabawkach w ogrodzie, trzpiotaniu się, a nareście ukradkowych czytaniach xiążek już pożyczanych, już to tysiącznemi sposoby łapanych na drodze. W rekreacje chodziliśmy na spacery na wały zamkowe, do ogrodu Akademickiego, do Pohulanki na warszawskiéj drodze, rysowaliśmy lub tysiące czynili doświadczeń fizyczno-chemicznych, do których Gabrjelek dopomagał nam dostarczając potrzebnych ingrediencji. Chemja Sniadeckiego służyła za przewodnika. Nieraz Bóg wie, jakiego stuku i zapachu narobiliśmy naśladowając Wezuwjuusz w garnuszcuku. A co tam były za ciekawe experienze z fizyki Xiędza Nolleta, z machi-

na elektryczną i elektroforem własnej naszej fabryki; ileśmy luster napsuli do natarcia poduszek, ile opilków żelaznych i laku. Jeszcze dziś pomnę, naszą radość, gdy udało się nam, zrobić *Arbor Diannae* choć Chemja tylko z xiążkiśmy znali. — Tak to nas wszystko bawiło, zajmowało, cieszyło!

Ze wspomnień Białej, nie mi mocniej w pamięci nie zostało, nad częste miasteczka pożary. Raz pomnę, miasto zaczęło się palić w nocy, zbudził nas głucho odzywający się dzwon Reformatów, porwaliśmy się z łóżek i patrzeć wybiegli. Płomienie świeciły w rynku, czerwony dym podnosił się na czarném niebie i czerwono malowała się w oddali, oświecona luną, facjata prosta kościoła Reformatów, z której dzwonek, ciągle powolnie bił na trwogę. Ludzie biegali, krzyczeli, płakali, inni stali ziewając i patrząc, inni wstawiać z łóżek lenili się, dowiedziawszy że pożar daleko, a wiatr w przeciwną stronę. Trwa tak pożar do rana, a z rana zaczęło się miasteczko palić w dwóch i trzech miejscach. Wiatr zapewne głównie poroznosił, lecz głucha wieść rozeszła się u ludu,

że więźniowie z turiny zamkowej, dobywszy się, podpalają i będą rabować. Cóż to był za przestrah na nas dzieci! Drugie niemniej przykre i pamiętne wrażenie zrobiła na mnie śmierć biednej kobiety, która niewiem zaco osadzona w więzieniu, okuta w kajdany, z rospaczy wlaźła na topolę nad stawem, i z niej w wodę skoczywszy utopiła się. Prowadzono ją cicho, zakrytą, na wozie; widziałem tylko z pod lichego kilimka wystające nogi; lecz historia została mi w pamięci.

Zapytacie mnie, dla czego to wszystko spisuję? — Darujcie mi, rozgadałem się niechęcący, człowiek gdy zacznie o młodości swęj latach mówić to mu słowa i lzy płyną długo, długo, że je powstrzymać trudno; — lecz oto już zaraz i poważniejsza historia nastąpi, chwilkę tylko jeszcze poczekajcie.

Radziwillowie, którzy tu mieli zamek rezydencjonalny, pamiętni są jeszcze w podaniach i powieściach gminu, które z ust do ust podawane, przetwarzane, na cudałki porosły. Mówiono, że włochach będących wewnątrz wałów, otaczających zamek, znajdowano kości okutych w kajdany ludzi, w wiel-

kiej liczbie, dowody uciemnienia, przemo-
cy i ucisku, o które trudno posądzać Radzi-
willów — Lecz może to tureccy jeńcy — mo-
że, występni, a może, może z resztą i jacy
niepotrzebni xiążętom zawadzający na sej-
mikach, nudni sąsiedzi dopominający się ka-
walka pola wyszczerbionego przez Jaśnie O-
świeconych, — panowie bracia — ślachta. Je-
den jakoby z tutejszych dziedziców (mówi
podanie miejscowe) więził za coś ślacheica
trzydzieści lat w lochach, aż ślacheicowi dłu-
ga broda porosła i posiwiała nędzą i niewo-
łą, wybielała od łez, które na nią spadały,
bo wspominał zagrodę swoją i żonę i dzieci,
a wyrwać się nie mógł, a umrzeć nie po-
trafił!

Nareście przypomniał sobie pan i kazał
go wypuścić, a do siebie przywołać. Kaza-
no ślacheicowi brodę przez uszanowanie dla
Xięcia ogolić — nie pozwolił na to, chciał ją
mieć, jako pamiątkę cierpień i z nią stanął
przed panem, stary z młodego, zgrzybiały
i drżący przed czasem. Trzydzieści lat pań-
skiego życia, nie tyle zużyły pana, ile trzy-
dzieści lat więzienia zmęczyły ślacheica. Spój-

rzal na niego obrażony pan, któremu donieśli, zausznicy że brody niechciał ogolić, przystąpił, wziął brodę w rękę, potrząsnął nią i rzekł — Krótka jeszcze broda i krótka kara, nie będziesz się miał z czém pochwalić.

I kazal go znowu wtrącić do podziemia. Tak mówi Bialskie podanie, które tylko spisują.

Inny, czy ten sam, bo w powieściach gminu, niema imion, nazwisk, tytułów, spotkawszy w drodze żyda, kazal mu wleść na drzewo i kukać, a gdy ten spełnił rozkaz, strzelił do niego i zabił jak ptaszka. Coś podobnego powiadają o starój Babie i Staroście Kaniowskim.

Drugi raz spotkawszy dziegiarza, zapłacił mu za beczkę smoły sownice i kazal ją wylać na ziemię. Gdy pan odjechał, biedny wyrobnik, jął powoli rozlaną znów zbierać, ale dójrzawszy tego Xiążę, wrócił i za chciwość, okuciem w tę samą beczkę ukarał.

Powiadają, że w lecie do blizkiego pałacyku, którego już nazwiska nie pomnę, rezydencij letnićj, gdy się któremuś zachciało sannać, drogę solą wysypywano, aby mógł

swój fantazij dogodzić. Szaleństwo godne Neronowych czasów, godne śmiechu, jeśli prawdziwe. Lecz któż policzy te gadki? Tylko jedna jeszcze.

W Nieświeżu *Panie Kochanku*, utrzymywał, jak wiadomo, wojsko i artylleryą. Jednej nocy, budzi się po jakimś przestraszającym śnie zapewne, zwołuje ludzi, krzyczy na dworskich. Zbiegają się kto żyw.

— Wojsko na koń, do broni! Artylleryja za miasto, konia, panie kochanku, konia mi podać prędzój!

Ubięra się Xiążę, wszyscy śpieszą do koni, Pan Wojewoda także. Gdy siła zbrojna stanęła gotowa, wyciągają w porządku za miasto. Tu rozkazy wydane — ognia! Strzelają — strzelają noc całą. Po kilku godzinach, dowódzca siły zbrojnej, zbliża się do Xięcia z zapytaniem.

— Czy Wasza Xiążęca Mość, jeszcze strzelać rozkażesz, nie widać nieprzyjaciela, nikogo, ludzi tylko spokojnych straszym, a oto dzień już świta.

— Co? już niéma nikogo? spytał Xiążę.

— A któż to był? rzekł zeicha Pułkownik.

— Chwała Bogu, panie kochanku, że uciekł, odpowiedział z westchnieniem Wojewoda. Alboż nie wiecie, że ten lotr Celibuk, szatan o jedném oku atakował Nieświęż?

Wiadomo że Pan Wojewoda, jak sam nieskończenie pozwalał sobie *polować* (wyraz techniczny) tak też lubił kłamców i gadułów, którzy mu baję pletli i jego wysłom potakiwali — Jeden taki żartowniś, o gruby poszedł zakład z Xięciem, że mu tak skłamię, iż Xiąże uwierzyć nie zechce. Xiąże trzymał zakład, że wszystko uzna prawdą, co ten powie. Rozpoczął dworak opowiadanie najdziwniejsze, jako po sznurze kręconym z sieczki, latając się urywanym od dołu, laził do nieba, jako tam widział, wiele dziwnych a osobliwych rzeczy. Xiąże śmiał się i potakiwał. Nareszcie ku końcowi bajki dodał ów dworak.

— Co mnie najbardziej tam zdziwiło, to żem spotkał prapradziada W. X. Mości pasącego — świnię.

— A co to, to już bajka, zakrzyczał Xiąże, bajka, panie kochanku, żaden tego Ra-

dziwił nigdy nie robił; służyłem ja wprawdzie za kuchcika u Pana Galeckiego, ale to co innego i nie bez racij.

—W. X. Mość, przegrałeś zakład.

—No, no! Panie kochanku, z wami to tak zawsze, jeszcze mi opaskudził mego prapradziada!

Przy zamku Bialskim był niegdyś wspa-
niały zwierzyniec, o którym Rzączyński ⁽¹⁾
wspomina, że w nim utrzymywano sześćset
danieli, niedźwiedzie, wilki, dziki i zające
w osobnych dla nich poczynionych zagro-
dach.

Nie wiem czy nie w zamku także w Bia-
lój, widział tenże naturalista nasz ⁽²⁾ chowa-
ną sławną potworę, dziecię o dwóch gło-
wach, która mu powód dała do zawiązania
dysputy, czy to był jeden człowiek, czy dwóch
ludzi? Odnosił rozwiązanie do serca, które,
pisze, jeśli było podwójne, dwóch było lu-
dzi, bo serce jest źródłem życia. Znać w tém
Jezuitę Aristotelesowego ucznia. Tu także

(1) *Hist. Nat.* p. 232.

(2) *Hist. Nat. Cur.* p. 352.

widział ten sam naturalista wielki krajowy onyx, misternie obrobiony ⁽¹⁾.

Historja miasteczka Białej nie obfituje w fakta zajmujące, nie zaszły w niém żadne wypadki, nie stanowczego dla kraju się nie stało. Żył dla siebie i sobie. Nazwisko Białej bodaj żeby nie miało związku z nazwaniem owego Hetmana Litewskiego Jana Białego, po którego córce Kiszka wziął wszystkie majątności, a z niemi i Białę, która wprzód nim do Radziwillów, do Kiszaków należała. Jan Biały umarł około roku 1498 ⁽²⁾.

Odziedziczyli Białę Radziwillowie, dopiero po Janie Kiszce z Ciechanowca, Kasztellanem Wileńskim i Wojewodzie Brzeskim, sławnym w Polsce protektorze sekty Unitarjuszów. Tu nawet za jego czasu w Białej była szkoła Unitarjuszów, w której katechistą i nauczycielem, był Jan Falconius ⁽³⁾. O tém odziedziczeniu Białej przez Radziwillów, tak podają niektórzy pisarze, lecz bodaj czy się nie mylą w dacie i okolicznościach, gdyż je-

(1) Caput manubrii Turcico cultro apponendi.

(2) *Niesiecki. T. III. 522.*

(3) *Cf. Bibl. Antitrinitar. p. 54—82.*

nealogje, nieco inaczej okazują. To pewna, że nie po Illinicach, wzięli Białę Radziwillowie.

Jedna z najpięrszych Colonij Naukowych, zaszczyconych szumnie tytułami akademij, była Bialska, filja Krakowskić matki, założona w roku 1628, do której professorów i mistrzów sprowadzono z Krakowa. Starowolski pisze, że się to stało za jego czasów ⁽¹⁾. Upadła jednak wkrótce Colonja, a podniesienie jej X. Florjan Jaroszewicz przypisuje Xiężnie Katarzynie z Sobieskich Radziwillowej.

W r. 1726 z Synodu dowiadujemy się, że *Bialensis Colonia* (tak ją zwano) mimo odmian, jakim naturalnie z czasem ulegać musiała, trwała jednakże. W r. 1726 czytamy w tymże Synodus akcie, że professorowie winni byli czynić wyznanie wiary przed Biskupem, lub Deputatem na to przez niego

(1) *Starowolski Ed. Dant. 1652. 106.* — Biala ubi palatium ducum Radivillorum pulcherrimum est, et nunc Gymnasium publicum erectum, vocatis ex Acad. Cracov. Magistris et professoribus in omnibus disciplinis peritis.

wysadzonym. Tenże Synod ⁽¹⁾ pisze, że tu był już w tym czasie, fundusz Radziwillowski, na pewną liczbę ubogich uczniów ⁽²⁾.

Różnemi czasy powstały tu kościoły—Najdawniejszy Farny, niewiadomo przez kogo i kiedy początkowo założony. Odnowić go swym kosztem kazala, wieżami i ołtarzami ozdobiła, Xiężna Katarzyna z Sobieskich Radziwillowa. Tamże Xiąże Karol Stanisław Radziwill wybudował kaplicę wspaniałą i nadał fundusz na kilku xięży z obligacją modlitw za dusze zmarłych swych przodków. Tekla Wollowiczówna żona Xięcia Alexandra Ludwika Radziwilla, Marszałka W. X. Litew. założyła przy tym kościele kaplicę Rożańcową. Trzecią fundował X. Michał Radziwill, na ciału Ś. Wiktora męczennika, które tu, będąc do Rzymu legatem, sprowadził. On przyjmował tu w Białej Jana Kazimiérza z Senatem. Nie pamiętam tu żadnych nagrobków,

(1) *C. VIII. De Scholis et juventute instruenda.*

(2) *Et cum in Bialensi Colonia certus numerus juventutis studiosae, sumptu Coloniae alendae et sustentandae per Fundatores est definitus, ad eum conservandum perillustrem Directorem obligamus.*

pisze jednak Niesiecki, że się miał u Fary znajdować, nagrobek Zofij de Czeberek Oreszkowej Krzystofa Pickarskiego Podkomorzego Brześciańskiego żony, zmarłej około r. 1640.

Za moich czasów wisiały nad drzwiami kościelnymi znacznej wielkości, jakich pełno widuje się wszędzie, które lud dobrodusznie kośćmi wielkoludów zowie, wielorybich zapewne skeletów odłamki. Takich kości nasz Rzeczyński ⁽¹⁾ wiele po wielu miejscach wspomina, w kościele Katedralnym Krakowskim, w zamku Marienburskim rękę ogromną, w kościele Ś. Małgorzaty w Poznaniu ząb potężny, w Gnieźnie w kościele Katedralnym, w Trzemesznie, w kościele Ś. Jana w Warszawie, we Lwowie u Ś. Jerzego, w Kaliszu, Piotrkowie, Koprywnicy, Gdańsku ⁽²⁾ w Zamku Rynkowce w Prusiech, w aptece Oliwskiej, w Peplinu Cistersów zęby wielkości drugiego palca; podobny ząb znaleziono także (mammuta pewnie) w Mariampo-

(1) *Hist. Nat. Cur.* p. 8.

(2) *Auctuar.* p. 13.

lu w rozbitej skale; w Leżajsku u Franciszkanów, gdzie jeden zawieszony, a wiele innych wykopano. Zwykle wszędzie z tych szczątków przedpotopowych zwierząt, lud układał bajeczki swoje o Olbrzymach.

Klasztor i kościół XX. Reformatów założony w r. 1671. pod tytułem P. Marij Anielskiej przez X. Katarzynę z Sobieskich Radziwillową (inni chcą ⁽¹⁾) przez Michała Kazimiérza na Olyce i Nieświeżu) i we wszelki opatrzony porządek „według ubóstwa naszego, ale dosyć ozdobnie” pisze historyk zakonu ⁽²⁾. Poprawę fundacyj i uposażenie większe kościoła przyznają kazania pogrzebowe Xiężnie Annie z Sanguszków Radziwillowej, która z Paryża sprowadziła do ołtarzy jednokowe ozdoby.

Kościół XX. Bazyljanów, niewiadomo kto pierwszy ufundował. Być to musiała przed XVII wiekiem stara Cerkiew, do której się potem XX. Bazyljanie przesiedlili, w roku 1690 za fundacją Xięcia Karola Stanisława

(1) *Niesiecki. T. III. f. 837.*

(2) *X. Florjan Jaroszewicz. Matka Świętych f. 160.*

Radziwilla approbowaną Konstytucją. W r. 1747 jeszcze kościół murowany nie był dokończony; pomagała do wzniesienia poczętych murów Xiężna Anna z Sanguszków Radziwillowa. Miała nawet podobno postanowienie cały kościół zmurować swym kosztem, ale niewiadomo z jakich przyczyn, do skutku to nie przyszło. Przyczyniał się do fabryki kościoła Xiąże Karol Stanisław Radziwill Rancierz W. X. L., mąż X. Anny.

W tym kościele spoczywa ciało Błogosławionego Józafata Kuncewicza, kanonizowanego przez Urbana VIII. Leżało ono wprzód, nim kościół wymurowano, w kaplicy Zamkowej⁽¹⁾ do r. 1747 i potem jeszcze czas jakiś, od przywiezienia z Połocka, w czasie wojen z Rossją, na Podlasie. „Będąc w Białej, (pisze Xiądz Florjan Jaroszewicz, którego wyrazy pełne wiary pobożnej wypisuję) po odprawieniu przed niem Mszy Świętej otworzone było, przez X. Generała Zakonu S. Bazylego W., widziałem je memi oczyma, wonią wdzięczną i nad-

(1) X. Flor. Jaroszewicz. *Matka Świętych* t. 462.

przyrodzoną z niego wynikającą uczulem. Ciało bynajmniej i nos nawet nieskażone, ręka prawa (bo lewa slysze jest w Połocku) tak wolna jak u żywego, da się podnosić, którą ucałowałem. Ubior Biskupa cały, jak nowy etc.” Zestawują to ciało z ołtarza, w dzień świętego na inny niżki, po prawej ręce kościola ołtarz, gdzie je lud czei i całuje relikwje. Jest powieść, o odkąszonym, przez kogoś z całujących rękę, palcu z pierścieniem bogatym biskupim i cudowném wykryciu kradzieży.

Oprócz opustoszałej dziś kaplicy zamkowej, jest tu jeszcze kaplica przy klasztorze Panien Miłosierdzia, założona przez tyle razy już wspomnioną Xiężnę Katarzynę z Sobieskich Radziwillowę siostrę Jana, a żonę Xięcia Michała Kazimiérza Wojewody Wileńskiego. Anna z XXat Sanguszków Radziwillowa, wyjednała dla téj kaplicy odpust z Rzymu, na dzień Ś. Karola; opatrywała ona klasztor; co lat trzy starała się o sprowadzenie sióstr Panien z Francij, pomnożyła fundusze, dała srebra i aparaty kościelne. Za jēj czasów było panien zakonnych

sześć, a sześćdziesiąt sierot. Taż pobożna pani utrzymywała tu jeszcze szpital wdów, których jedynym obowiązkiem było, modlić się za XX. Reformatów.

Ulubioną téj Pani rezydencją była Biała⁽¹⁾. Tu ona wnuki swoje chowała, jak przypominał im, po śmierci babki, na jój pogrzebie, X. Jan Teodor Werner⁽²⁾.

— „Przypomnijcie sobie tylko jako przed trzema laty z wami się X. Teofilo i Katarzyna w Białej cieszyła. J. Oświecona Babusia wasza, jako u małego stolika z wami siedząc, potrawki krajala, talerzyki podawała, jak się z wami pieszcząc od radości nieraz łzami zaléwała.”

Niezmierne jój pochwały w kazaniach na pogrzebowych obchodach mianych, rozrzucone, tak są przesadzone, że z nich wyobrażenia prawie o charakterze jój wyciągnąć nie podobna. Taki to jest skutek przesady. Zakazała X. Anna pochwalnych mów na pogrzebie swoim, woli jój nietylko że zadość

(1) *Kazanie pogrzebowe. E odw.*

(2) *Kazanie w Uzie. d. 10 Sept. 1747 r.*

nie uczyniono, lecz zgwałcono najdziwniejszą nadętością i przesadą. Zacytuję tu z tych mów pochwalnych, niektóre charakterystyczne szczegóły jęj życia; mijając już początki jak zawsze cudowne, chorobę i uzdrowienie łaską i cudem Studzińskiego obrazu.— Wychowywała się X. Anna u babki z Hlebowiczów Sapiężynęj Wdzinęj Wileńskieję, potém oddana do klasztoru Klaryssek w Wilnie, do Wizytek w Warszawie, przeszła ztamtąd do PP. Sakramentek i wreście na dwór Marij Razimiry. Tu ją przyszedł mąż poznać, to jest zdaleka zobaczył, bo posłuchajcie, jak ją za mąż wydano.

„Gdy tandem powróciła do babki, pisze jęj biograf, JW. Hetmanowęj, przy której już w Słonimie, już w Wilnie rezydowała, w takięj karności i skromności ze wszelką subjekeją (poddaniem się) na wolą babki żyła, iż nie własną wolą nie poczyniała, żadnych sobie partij nie obiérала, żadnych inklinacij, affektu nie miała, w żadne się partykularne przyjaźni nie wdawała, lubo wielu godnych i znacznych nawijało się konkurentów. Że nakoniec gdy już babka postanowiła wydać

ją za JO. Xiążęcia JM. Karola Stanisława Radziwilla Kanclerza W. X. L. (słuchajcie przykładu który z godnych ust, samejże JO. Pani slyszałem) — pewnego dnia soboty, każe jēj babka i wszystkim dworu swego da-mom być nabożnemi do N. Panny, w cudownym w Wilnie obrazie w kościele Ś. Michała, i tam komunikować, co chętnie z partykularną dewocją Xiężniczka wykonała. Po południu widzi Xiężniczkę znaczne do wese-la przygotowania, nie wie zaś o żadnej negocjacji małżeństwa (ani pod ten czas Xiąże JMość był przytomnym w Wilnie), w tym ka-że Babka, ubierać Xiężniczkę do ślubu. Strwo-ży się na niespodzianą wieść Xiężniczka, ni o czém nie wiedząca, spyta skromnie, z zwy-klém uśzanowaniem dla babki. Z kim też to? każe brać ślub babka? Surowie za tę *cicka-wość* (?) strofowana od babki, tę tylko wzię-ła odpowiedź, iż podług staropolskiego zwy-czaju, nie prędzej aż u ołtarza zobaczy, ko-mu ma ślubować. I tak się też stało. Bo gdy z wielką pompą i paradą z palacu Sapieżyń-skiego wprowadzono do kościoła, przed tym-że Matki Najświętszej Ś. Michalskiej olta-

rzem, i przed JW. Konstantym Brzostowskim Biskupem Wileńskim, Oficjantem stanęła do ślubu, dopiero postrzegła JO. Xięcia JMości stawającego też do ślubu. Przetoż serdeczném westchnieniem Boskiej Opatrzności, oraz matce Najświętszej Opiekunce, głębokie oddała dzięki.—“

„Dodajmy do tego, że miała na ów czas lat sześćnaście Xiężniczka. — Serce się ściska, czytając o takim barbarzyństwie — Lecz dla czegoż dawniej przymus taki, powszechny w kraju, w bardzo małej liczbie małżeństw ciągnął za sobą niczgodne i złe pożycie? Inny był świat trochę, inne wychowanie usposobiało do tego. Mężczyzna jako mężczyzna, kobieta jako kobieta, każdy i każda byli równi, nie było serca jak dziś, nie było uczucia; było to sobie po zwierzęcemu, ale dla rodziców wygodnie.

— Daję ci męża, mówiono córce — Powinna była mężem jakiego dano kontentować się. — Daję ci żonę, mówiono synowi, i syn padał do nóg, dziękował nie patrząc — Dzisiejsze czytelniczki zadrżą pewnie czytając o ślubie X. Anny.

Ze wszelką czią winną dawnym czasom i zwyczajom, niepodobna nie uznać, że takie narzucanie związków, było uciemieniem rodzicielskiem, które tylko brakiem uczucia w dzieciach, i troskliwością o ich dobro, rodziców, wymówić się daje. Rodzice zwykle patrzyli w związkach na kolligację, dogodności majątkowe, względy pieniężne, na nasycenie osobistej dumy i własny interes; dzieci musiały słuchać, a że wychowanie nie szczepiło w nich potrzeby tego, co dziś zowiemy miłością, uczuciem; zaspokajały się, skoro tylko charakter spółnika lub spółniczki losu, nie przeciwil się im. I szczęśliwi byli w małżeństwach dawniej, lecz warunki tego szczęścia, dla nas dziśby nie wystarczyły.

Nie długo żyła X. Anna z mężem, owdowiała mieszkała w Białej, gdzie tak wiele śladów swój dobroczynności zostawiła. Oto jeszcze para rysów z jej życia. Bibliotekę swoją, którą dostatnią miała z heretyckich i gorszących xiąg pilnie oczyściła. W przytomności natenczas X. Wernera, dość drogo w Hamburgu zapłaconą 100 talarów xiege—pod tytułem *Clavicula Salomonis*, w koszto-

wnęj oprawie, jak skoro jęj powiedziano, że była czarnoxięzka, zaraz spalić kazala. Na lat dwa przed śmiercią, gdy tenże X. Werner na S. Annę z rozkazu jęj miał mieć kazanie w Białej, zawoławszy go w wilją wieczorem do siebie, przykazala mu aby z ambony nie o nięj z okoliczności dnia tego nie mówił, dodając:

—Świątą Annę chwalcie mój Xięże w kazaniu, a po kazaniu mnie grzesznicę świętym modlitwom proszę polecać.

Cała była oddana pobożności, dobroczynności, ubogim swoim i modlitwie—, „Widzieć było można nieraz na dziedzińcu obszernym zamkowym w Białej, seciny ubogich żebraków, którym ona jałmużnę ręką swoją codziennie rozdawała, a ci ją nie inaczej tylko *matką ubogich* zwali, i za jęj karetą tłumem chodzili.”

Chwaląc ją z życia X. Werner Kanonik Lucki, tak opisuje dawne kobięce zatrudnienia, już za jego czasów zmienione—, „Słyszycie, nad włóczką i krosienkami lub przy kądzieli siedzieć, to to *fortia* białogłowskie, to dzieła ich odwagi, w ręku igła, pałasz, to

kopja, zgola męztwo niewieście, w ręku nie-próżnujących. Bywały kiedyś staropolskiej cnoty panie, nie tylko szlacheckiego, ale i Xiążęcego Senatorskiego stanu, które przystojną robotą ręczną i włóczką się zabawiały—teraz nie moda. Palce im od wrzeciona drętwieją, igielki utrzymać nie mogą, głowa się im od kołowrotka zawraca, wszystka praca w próżnowaniu, muskaniu albo szukaniu się w zwierciadle jakby zginęły. Najczęściej u drugich zobaczysz miasto igły *piórko*. Tak one listkami po świecie latają, skrybentów chowają, Bóg wie jakie reskrypty w szkatule zamykają, w publiczne wtrącają się interessa.”

Dostojny kapłan w sam czas przymawiał kobietom, ich wdawanie się niepotrzebne w politykę, od panowania Jana Kazimiérza, nabrały były do niej smaku, osobliwie panie wyższego towarzystwa, po części już zfrancuziale.

Nie takie było życie X. Anny; która skończyła je też pobożnie wymawiając słowa: *Boże, bądź miłościw!*

Pogrzeb jęj odbył się z niesłychanym prze-

pychem. Z Białej gdzie w r. 1746 dnia 25 Grudnia życie skończyła, ciało jęj odprowadzał X. Kazimięrz Giedrojć Juraha S. J. T. do Nieświęża. Tu przy wielkięm zgromadzeniu obywateli Litewskich i duchowieństwa ciągnęły się obrzędy pogrzebu od dnia 10 Września do 16 ⁽¹⁾ z wspaniałością Królewską. Oprócz Biskupów, Xięży Świeckich i t. p. wszystkie prawie Jezuici prowincji Litewskiej, byli przytomni. Z niemi rachowano do kilkuset osób duchowieństwa. Codziennie odmieniano i na nowo strojono w emblemata Katafalk. A ileż to mów i kazań powiedziano, których nikt nie słuchał.

W ostatnich czasach w Polsce, godnym zastanowienia fenomenem, jest ten szal panegyryczny, wylewający się w nieskończonęj ilości mów, kazań, powinszowań, powitań i t. p. Nie było obrzędu, wjazdu, wesela, śmierci, chrzcina, nie było wypadku najmniejszego, którego by nie oznaczyła ilość wielka szumnych mów, konceptów wierszem i prozą;

(1) (1747) wyszły *Kazania pogrzebowe*, miane w ów czas w r. 1750 w Wil. Dr. Akad. fol. z Ryciną. *Castri doloris*.

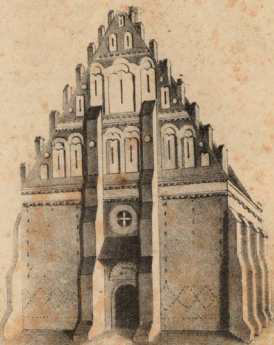
wydawali je zakonnicy, koncypowali bracia
 ślacha, mówili studenci; kto żył perorował.
 zdaje się, że cała siła żywotna w gębie spo-
 częła naówczas, w gębie mówię, bo ani z ser-
 ca, ani z głowy nie pochodził ten pathos zło-
 żony z kupy słów nawalonych bez związku,
 w której nieraz obok Kasztellana, obok Wo-
 jewody stawali do porównania Achillesy i
 Hektory. Taż sama wielomówność była cechą
 nagrobków XVIII w. nawet, wielomówność
 próżna, bezduszna, odżywiana solą konce-
 ptów, gry wyrazowej, akrostychów, chro-
 nostychów, allegorij! I gdyby zebrać, co
 po łacinie i po polsku naprawiono, napisa-
 no, bibliotekę by to złożyło, ciekawą, tylko
 dla dedykacji i niewielkiej liczby szczegó-
 łów bibliograficznych, mieszczących się w ka-
 zaniach. — Jest to rzecz pewna, że gdy li-
 teratura, bierze kierunek panegyryczny i
 staje się trybularzem kadzącym bez braku,
 wszystkim i wszystkiemu, znak to upadku
 ostatecznego, znak zupełnego braku czucia
 i obojętności na zło i dobro.



II.

KODEN' NAD BUGIEM.

MODERN NARRATIVE

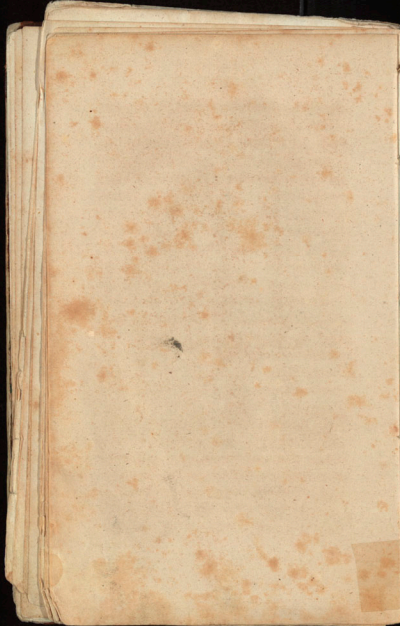


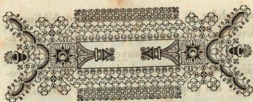
CERKIEW ZAMKOWA

u Koborn nad Bugom

z Rys. Krasickiego

Świąt. Woj. 1804





II.

Kodeń nad Bugiem.

Kodeń jakkolwiek szczupłą jest tylko
mieściną, miał już jednak history-
ków, z przyczyny sławnego, znajdującego
się w tutejszym kościele obrazu Boga Ro-
dzicy. Opisywał dzieje i cuda Obrazu, Jan
Fryderyk Sapięcha Kasztellan Trocki, a X.
Albrycht Stawski, wydał je wytłumaczone

po polsku (1) Dziwią się słusznie bibliografowie nasi, że w téj xiedze, około dwóchset autorów cytowanych znajdują. Lecz niéma dziwić się czemu, wszystka ta erudycja dla popisu i bez potrzeby. Dziesięciu czasem starożytnych autorów porusza z grobu nasz historyk, aby ich usta powiedział najpospolitsze w świecie zdanie. Chodziło mu widocznie o popisanie się z uczonością i tego dopiął, że się nią śmiesznym uczynił. Cóż bowiem wspólnego mieć mogą, z historją obrazu cudownego i Seneka i Cicero i Horacjus i tylu innych ciągnionych za poly, bez celu? Cytowanych więc dwóchset autorów, zadziwiających Chłédowskiego, wcale tu nie objaśniają rzeczy, ale występują tylko, jako dworacy, potakujący posłusznie,

(1) *Monumenta* albo zebranie starożytnych ozdób Przenajświętszój Bogarodziy Panny Maryi w dawnym wielce obrazie Kodeńskim de Gwadaluppe rzeczonym, z rozkazu Ś. Grzegorza W. Papieża ręką B. Augustyna Rzymskiego odmalowanym, oryginalną zacnością y pobożną wiernych rewerencją wslawionym etc. 1723. Typ. Coll. Vars. S. J. 4. Część I Rozd. XV. 205. Część II. XV. 302.

patetycznym parafrazom Sapielhy, któreby się przywiedzione do najprostszego wyrażenia rzeczy, zmieścily na kilku stronicach.

Dzielo jednak to i cala historja obrazu, jak wiele innych tego rodzaju, świadczą jaką cześć naszego dawniej kraju mieszkańcy mieli dla Marij Panny. Zwano ją Królową i była serc pobożnych panią. Mnóstwo cudownych Bogarodzicy obrazów rozsypanych było po kraju; że tylko najslawniejsze wspomnim, Częstochowski, Poczajowski, Żyrowicki, Ostrobramski, prócz nich ileż mniej znanych ukrytych po uboższych kościołach, gdzie lud z szczególną ufnością uciekał się pod obronę Matki Bożej; najskuteczniejszej patronki i opiekunki. W każdym miasteczku, w każdym kościele, widziałeś czarny obraz w oltarzu, osłoniiony potrojnemi bogatemi firanki, obwieszony mnóstwem błyskotek, koralu, perel; ubrany w złocistą sukienkę, z koroną sadzoną na głowie, otoczony wotami wyobrażającemi serce, ręce, nogi, głowy, czworogranne złote i srebrne blachy; strojny w kwiaty robione i żywe, u którego stóp i ofiara ubogiego chłopka z trochy lnu i ka-

walka płótna i pierścienie diamentowe bogaci składali. A na wszystkich serdeczne dary, jednakiem okiem, patrzyła Matka Boża. W Niedzielę największy tłum u Jój ołtarza, najczęściej paliły się lampy, najwięcej mszy odprawowano—Przed processją niesiono Jój ołtarzyk; a niosły go dziewczęta, strojne jak on we wstążki i paciórki. Polacy nie będąc obowiązani przywykli pościć wigilje do Świąt N. Panny, i przysłowie o tém świadczyło, że kochali Marję, Królowę swoją. Pierwsza stara pieśń dochowana do dzisiaj, była o Bogarodzicy, najpiękniejsze legendy są o matce sierot, orędownicze grzesznych, opiekunce najbiedniejszych. Tam święte Jój stopy zostały wyryte na kamieniu, któren pobożny lud całuje, indziej lzy Jój uświęciły źródło, które zdrowie daje; nad niem kapliczka i obraz Bożej Matki, bo Jój skuteczność wody winni—Indziej pracowitemu rolnikowi, Królowa niebios ukazała się na drzewie gruszkowém. A wszędzie wybierała sobie ulubionych, z najbiedniejszych, z ubogich, z tych którym świat ciężkie jarzmo pracy i niewoli nałożył, a co je dla Miłości Bożej, nieśli,

dziękując za krzyż swój—Kiedy się pełna jasności objawiła, nie ukazała się możnym i wielkim, nie wyciągnęła ręki ku panom, Matka Boga urodzonego w stajence i w żłobie; modlącym się pastuszkom, ubogim braci-szkom zakonnym, cnotliwym niewiastom; pokazywała się Królowa Niebios, Matka Miłosierdzia! W moim rodzinnym kątku, wśród błót Białych, jest także w drewnianej kapliczce, cudowny obraz Bogarodziцы; śliczne przy nim podanie. Mówią, że pielgrzym szedł z Rzymu i niósł obrazy—Znużony usiadł na wzgórzu odpocząć i usnął. A we śnie ukazała mu się Najświętsza Panna, która mu rozkazała, aby jeden z obrazów w tém miejscu zostawił. Poszedł więc obudziwszy się do pana wioski, który przyjął ten dar nieba i pierwszą kaplicę postawił naszćj patronce.

Nim wypiszemy dzieje Kodeńskiego obrazu, powiedzmy nieco o samém mieście: Leży ono nad Bugiem, o mil trzy od Brześcia; z jednćj strony miasta niezmierzona okiem rozciąga się równina, żyzne pola, ługi i niwy zielone, z drugićj Bug splawny niosący Wołyńskie skarby do Gdańska, nasze pszenice,

jagły, przedziwa, płótne; z trzeciej łąki roskoszne i obszerne pastwiska, w czwartej sinieją lasy i gaje.

Nazwisko Rodnia Tradycja tak wywodzi (1). Jakiś Xiążę Litewski, stał tu obozem niedaleko od nieprzyjacielskiego (polskiego zapewne). Zrana chcąc się do boju przygotować, kazał się słudze Rusinowi obudzić— Ten potrząsłszy śpiącego, zawołał do niego: —*To dzień* (Oto dzień). Xiążę powstał, a w skutek ранnego przebudzenia uprzedziwszy i pobiwszy nieprzyjaciela, miejscu temu na pamiątkę nazwę *To dnia*, potem zamienioną w *Rodeń*, miał nadać. Piszą niektórzy, że się to stało z Mendogiem, a gdyby tak było, mogłoby to mieć miejsce, w ostatnich jego napadach na Polskę, po zerwaniu z Krzyżakami i odrzuceniu wiary; jednakże podanie zdaje się rozciągnięte. I nie było w tém miejscu z początku nic, tylko młyn wodny na Bugu postawiony, należący do braci Rószczyców. (Za Kazimierza Jagiellończyka Jan Sunigajłowicz Sapięha Wojewoda Trocki,

(1) Sapięha.

kupił ziemię i posiadłości tutejsze od Michała, Anastazego, Chaczka i Ofanasa braci Ruszczyców; a na tém miejscu miasteczko założył, któremu za herb nadał Anioła z mieczem stojącego. Tenże Kościół tu S. Ducha drewniany postawił (umarł 1519 r.)

Iwan ten Sapięha, już tu w Rodniu przyjmował Zygmunta I. a puchar od tych jakoby odwiedzin *Iwanem* (pisze Sapięha) nazwany, długo zachowywano jako pamiątkę w Rożanie (pod Słonimem)—ja sam widziałem jeszcze w Rożanie rodzaj ołtarza, w którym go chowano, na starym pałacu; ale nazwania jego, inni wcale odmienną przyczynę naznaczają.

Syn Iwana Sapięhy, Paweł, przeniósł ciało ojcowskie do Kaplicy (Cerkwi) Zamkowej z nagrobkiem; i sam w niej pochowany. Cerkiew ta starożytna murowana, piękną architekturą do dziś dnia się widzieć na Zamku daje — Jest w niej nawet dotąd na chórze, kamień grobowy z napisem słowiańskim. Cerkiew tę pobudował Paweł wyżej wymieniony Wojewoda Nowogródzki Nestorem zwany dla długiego życia — Skarżył się później historyk Rodnia że choć ona była ozdo-

bą Zamku, dzwony jęj dość się mieszkańcom jego, naprzykrzały. —

Zamek Kodeński jeziorem między rzeką Bugiem a miastem przedzielony, mostem na przypadek potrzeby mogącym się dawniej znieść, od niego odzielony był. Dziś znikł zupełnie. Posiadacze miasta mieli dawniej, przywiązane do miejsca *Jus gladij*, Magde-burskie nadane mieszczanom i tytuł *Comesów* (Hrabiów).

Ku końcowi XVIII w. miał Kodeń dwa kościoły Rzymskie, trzeci Unjacki Ś. Michała. Za miastem jest kaplica Ś. Wawrzyńca. Na przedmieściu była *Campanja*, rezydencja letnia, którą Paweł Sapieha Biskup Żmudzki założył i nadał jęj imię Placencij. Tu były cele naśladowane z Kamaldulskich i Kartuzkich w ogrodzie, widoki dalekie na Bug i zielone łęgi. Założyciel umarł w r. 1715.

Kościół, pod opieką i nazwaniem Ś. Du-cha, założony został, w r. 1520. Historia Kodeńskiego obrazu, jakkolwiek dwakroć już u nas obszernie drukowana, tak mało jest znajomą, że nie wahamy się jęj powtórzyć; bo prawdziwie zdala nam się charaktery-
sty-

czną i malującą dawny zapal religijny nasz, często niewiele wyrozumowany, jak tego lepiej następujące opowiadanie dowiedzie.

Obraz ten ma być kopją z statui Ś. Łukasza, z Achai do Carogrodu, ztamtąd do Rzymu przeniesioną, później nareście do Hiszpanij. Kopją dokonać miał, z rozkazu Grzegorza W. Papieża, Błogosławiony Augustyn Rzymski. Trzynastcie Rozdziałów pierwszej części poświęcono opisom losu posagu i obrazu, w czternastym dziwna powieść o nabyciu jego przez Mikołaja Sapiehę rozpoczyna się. Mikołaj syn Mikołaja Sapieha, Chorąży Litewski ⁽¹⁾ za czasów Zygmunta III. żyjący, zachorzał ciężko i pokureczyła mu choroba kości w stawach. Szukając ulgi po dawnemu pobożnie ślubował, z wiarą zupełną pielgrzymkę do Rzymu; mając także na myśli poradzić się w drodze sławnych lekarzy Akademij Padewskiej. Zabrawszy żonę, z licznym dworem, wyjechał w podróż Sapieha przyjęty mile od Ferdynanda II. w Wiedniu, pociągnął powolnie do Włoch, pod to

(1) *Sapieha Hist. 182.*

niebo pogodne które samo tylu chorych uleczyło, niebo tak różne od naszego. Sapicha jednak wierze więcej niż powietrzu i Padewskim medykom, winien był uzdrowienie, które dopełniło się w Rzymie, gdzie szczególnie łaskawie przyjęty został przez Papieża. Już na wyjeździe otrzymał obietnicę błogosławieństwa i komunij z rąk Ojca Świętego, na drogę. Tu w kaplicy, po ukończonem nabożeństwie, ujrzał on cudowny obraz N. Panny de Guadalupe zwany, i nagłą niepojętą żądzą posiadzenia go, opanywany został. Tu historyk obrazu Sapicha, szczególniejszym sposobem, tłumaczy chęć przywłaszczenia sobie tego obrazu przez jego przodka, i nie tylko ją uniewinnia, ale nawet przechwala, cytując na poparcie swego zdania, jakie tylko może prozę i wiersze starożytne między innemi owo Persjusza:

Trzeba się.....na wszystko odważyć,

Choć więzienie zasłużyć, byleby co ważyć (??)

Mikołaj sam z sobą walcząc w chęci dostania tego obrazu, nie wiedział co począć, poskromić się nie potrafił, prosić Ojca Świę-

tego nie śmiał, bo był pewny że mu kosztownego daru odmówi, wykraść się wstydził, i widział prawie niepodobnem. Na myśl mu podobno nie przyszło, że kraść nadewszystko czy można czy nie można, ale się niegodzi; aważał tylko, iż strażę otaczały kościół i kaplicę. Ale los zdarzył, że w kaplicy właśnie ujrzał jakiegoś ruchawego człowieczka, którego że był posługaczem, zakrystjanem, łatwo się domyślił.—Zaraz tedy na wyjściu zaczął go ścisnąć, całować, pochlebiać mu, ujmować go sobie jak mógł. Zdziwił się takim honorem biedny zakrystjan, lecz zaproszony do domu Sapielhy, dziwi się bardziej jeszcze gdy mu chęć swoją odkrywa, zakochany w obrazie Mikołaj, ofiarując znaczną sumę, za wykradzenie obrazu. Jak łatwo było przekupić owego ruchawego człowieka, widać z naiwnych słów historyka, który pisze że dłuższy pono o konia, albo o mula, owszem o cięń osła byłby targ, niż o te nieoszacowane skarby. W nocy następnej i obraz i relikwje przy nim będące, z ozdobami do nich należącemi, wykradzione zostały. Zakrystjan chciał po takim uczyn-

ku, uciekać razem z Chorażym, ale ten potajemnie zostawiwszy go, sam tylko umknął—
A jak uciekał, jak go strach pędził?

Tym czasem w Rzymie, postrzeżono kradzież, nakazano inwestygacje, dowiedziano się kto obraz uwiozł i Mikołaj Sapieha został pozwany przed Nuncjaturę Apostolską—Sta-
nął przed nią i wyznaniem szczeréj prawdy, tylko się tłumaczył. Dekretem nakazano mu, naprzód zwrócić wszystkie relikwje, na termin wyznaczony, pod klątwą, powtóre, wysiedzieć rok więzienia, potrzebie, dokończyć zaczętego murowanego kościoła, poczwarte, podróż do Rzymu pieszo odprawić i przeprosić Ojca Świętego.

Mikołaj posłał w r. 1653 synowca swego do Rzymu z przeproszeniem i w nadziei że mu zabrane świętości, zatrzymać dozwolą. Tym czasem chcąc sobie zaskarbić łaskę papieżką, w r. 1654, Sejm na którym traktowano rzeczy dotyczące się obcych wiar ludzi i swobody sumienia, zerwać miał Sapieha (o czém nie wszyscy piszą) z wielkim duchowieństwem i Vice - Hrabiego Honorati Nuncjusza Papieżkiego oklaskiem i radością

gorliwych o wiarę. To lepiej w Rzymie, niżeli delegacja Synowca skutkowało. Urban VIII. uwolnił Sapiechę od klątwy, rzeczy zabrane z Rzymu darował, dekret Nunceiatury dawniejszy, z akt publicznych wymazać rozkazał, a za pokutę tylko dokonczenie kościoła i pielgrzymkę do Rzymu nazначył—Dodał jeszcze w podarunku, zamiłowanemu w świętościach Sapiezie, relikwie, gołeń i część głowy Ś. Kasprycego Męczennika—Dopełniając lekkiój bardzo, za niedające się wytłumaczyć i zrozumieć przestępstwo, kary, wyjechał Sapiecha do Rzymu pożegnany przez Króla Władysława, któren mu dał nawet charakter poselski, rad że się go z kraju pozbył, gdyż tym czasem nowy Sejm r. 1655 zbliżał się, na którym rzeczy wiary dotyczące się, a w ów czas tak drażliwe traktować miano znowu, i rozbierano podaną propozycją małżeństwa Królewskiego projektowanego z córką Fryderyka Xięcia Palatyna Renu, protestanta, o co hałas był wielki, gdy większość Katolicki pragnęła na tron. Mikołaj ujechał dy do Rzymu, gdzie mile przyjęty od

Papieża, i zupełnie mu już uwieczony obraz darowany został: potem przez Kommissją Nuncjaturze Apostolskiej daną, Biskupowi miejscowemu (Luckiemu) obraz wnieść do kościoła zaczętego w Kodniu polecono, a Sapiezie przysiadz, że on i relikwie też same były, które z Rzymu uwiozł. Historyk cytuje wielką liczbę napisów pokładzonych przy relikwjach i obrazach w Kościele; relikwii tych uwiozł Sapiecha z pięćdziesięciu świętych.

Mijamy już resztę mniej zajmującą historij obrazu — Wspomina jeszcze Sapiecha pamiętną dla Kodnia bytność tu z Brześcia Karola Gustawa; pożar r. 1680 któren miasto i kościół zniszczył. Jan Kazimiérz do Kodeńskiego obrazu, ofiarował wielki rubin; August II. plebanją Hoszczańską, wcielił do Infulacij Kodeńskiej. Za dwudziestego czwartego Biskupa Luckiego, Plebanje Kodeńska i Wisznicka w probóstwa przemienione, około r. 1651. Infulacja nadana w r. 1710. Tytuł nowy Kościoła Ś. Anny. W r. 1686 konsekrowany nowy kościół. Godna wspomnienia, że Sapiecha jeden, który na lampę

wieczystą fundusz postanowił, jakby na zjadliwą przekorę żydom, na ich synagodze Ko-dęnskiej, oparł go.

W ostatnich czasach (1750.) kościół miał dziesięciu księży, Infulata, Manssjonarza, Raznodzieję i Katechistę Jezuitę.

W kościele znajduje się wiele bardzo napisów i nagrobków Sapieżyńskich, niektóre niebardzo dawne, inne jako Jana Siemionowicza Sapiehy, z dawniejszego Ruskiego przerobiony.

Po lewój ręce kościoła, mury kaplicy od góry do dołu, okryte są portretami Sapiehów, poczynwszy od najdawniejszych czasów, aż do ostatniego młodzieńczego Jenerała Artylerij—Piękna, ciekawa pamiątka, najlepsza historia strojów męzkich polskich, któraby warta była upowszechnienia, rysunkiem, bo kto wie, czy kiedy gorliwym pobielaczom ścian zczerniałych nie przyjdzie na myśl, portretów tych powyrzucać? Tyleśmy już rzeczy w tym rodzaju widzieli, że się i tego spodziewać można. A jednak rysownik, artysta, mógłby tu wyczerpać wiele materjałów, wiele typów twarzy ciekawych, wiele

strojów któreby się użyć dały. Zalecamy artystom naszym obejrzenie téj Kaplicy; a równie i Cerkwi starożytnéj na Zamku, architektury gotyckiej, XV wieku, u nas, podobno, (o ile wiemy) najlepiej dochowanego pomniku. Cerkiewki téj sklepienia śmiało i zewnętrzne ozdoby zastanawiają. Z cegieł bowiem różnobarwnych, układano zykzaki, które z obu stron wchodowych drzwi są odmiennie, a wyżej w murze inkrustowane są cegielki polowane i złocone, z wyobrażeniami świętych. Część ich już ciekawi powymywali. Nad chórem jest nagrobek słowiański; a po kręconych wschodach, wdrapawszy się na sklepienia, pięknym widokiem w stronę Bugu i łęgów nasycić się można.

W kościele tutejszym znajduje się nagrobek dziecięcia, zamordowanego przez żydów. Takich wiele po różnych miejscach, bo u nas przez nienawiść dla żydów nie dającą się pogodzić, z używaniem ich pomocy do wszystkiego, posądzano ich łatwo, o podobne zbrodnie i było powszechną wiarą, że oni krwi chrześcijańskiej, na święta Wielkanocne do macy potrzebują. Praw-

dziwa czy nie, taka jest historja dziecięcia. Maciej, trzyletni chłopczyzna, w r. 1693 d. 8 Maja, w ostatni z dni krzyżowych, gdy wszyscy wyszli na processją, został sam w domu, a znudziwszy się czekając powrotu swoich, wyszedł w pole; tam go żydzi pochwycić mieli i zabić—Świeże jeszcze ciało skrwawione, pies pastucha węchem odkrył, przywieszone do Kodnia, złożone w Ratuszu, a gdy na żydów padło, w skutek tradycij o zabójstwach dzieci, podejrzenie, wzięto zaraz starszych kahału na męki, którzy acz nie nie wyznali, rzeźnik jednak żyd, miał wszystko wydać. Zatem bożnicę ich zburzono, mogilki z ziemią zrównano, żydów ścięto dwóch na rynku w Kodniu, a dziecię pochowano w kościele z szumnym nagrobkiem. Bóg jeden wie, czy Sędziowie krwi niewinnój i lez nie ponieśli z sobą na Najwyższy Jego Sąd. ⁽¹⁾

(1) *Atrox non atrum, tak się zaczyna nagrobek:—
Amaeno vultu lege fatum Viator. Codnae ignobili ortum Lucina trianulum Mathiam de lustrali fonte, nobilitavit exitu; coeca Judeorum perfidia, immortalis gloriae prospexit: Purpuratum aeternis*

Nic nie mamy więcj do powiedzenia o Rodniu, nad to, że mieszczanie tutejsi w większej niż gdzie indziej liczbie trudnią się rzemiosłem Szewskim. Przysłowie miejscowe powiada, że Rodeń na stu szewcach stoi. Trzeba dodać, że ci stu szewców nie bardzo go mocno podpierają.

initiauit annis, cruenta coede, etc. etc. etc. Quae repetitam in Mathiae sanguine Christi necem alta duorum Judeorum cruore fuso, stilit fideles la-chrymas, reposuit inhumatae innocentiae monu-mentum impietas, sublato Synagogae fauo etc. A. 1698 die 10 Maij—Nagrobek położony r. 1713.



III.

ROMANOW.

ROMANOW.

Wszystko, co się dzieje, płacze i płacze, a nie
może być inaczej. W Podlasiu dawno,
zanim jeszcze zwała się Romanowem. Piekne
to miejsce, a tyle ile bez niego, a wody i gó
może być brzyjsze, niż kiedyś. Zdobna okolica
i wiele sama, lary, starych liardów, drzew, i...

Tom I.



III.

Romanow.



A ROZLEGŁEJ płaszczynie ciągnącej się
ponad Bugiem, w Podlasiu dawném,
jest majątność zwana Romanowem. Piękne
to miejsce, o tyle ile bez biegnącej wody i gór
może być kraj jaki pięknym. Zdobia okolice
i osadę samą lasy starych bardzo drzew, je-

dna z najcenniejszych ozdób, bo jój za żadne pieniądze dostać nie można; a stare drzewo jest czémś tak piękném i prócz tego tak mówiącém o przeszłości, iż każdyby go sobie życzył u wrót swojego mieszkania. Na małym wzgórkku wznosi się nowy, murowany dom mieszkalny, poważny, milczący; przed którym zajężdża się okrążając dziedziniec otoczony zewsząd drzewy, zamknięty z jednej strony długimi drewnianymi oficynami, z drugiej odpowiadającymi im stajniami. Do koła tych zabudowań i obszernego ciemnego, cienistego ogrodu, ciągną się kanały, otoczone olchami staremi, a każda prawie z nich nosi na sobie gniazdo bocianie. Od ganku wychodzącego na ogród, wzdłuż przezeń, idzie ulica z ogromnych starych jodeł, pośępnie zawsze szumiących. Po bokach ciągną się długie szpalery z lip i grabów; a przestrzenie między nimi zajmują rozrzucone tam i sam grusze, wielkie odwieczne kasztany i lipy.

Za szpalerami łąka zielona i olchy znowu i nowy ogród, gdzie stoi chatka, łazienka i kaplica. Wyjrząwszy za rozległy ogród ujrzysz

zielone smugi łąk i dalekie lasy Kraszczyna, wsie Wygnankę i Czeputkę—Naprzeciw domu od dziedzińca przez wyciętą długą trybę lasem sosnowym prawie dójrzyć można trzeciś wioski—Sosnówki.

W takim to miejscu wychowałem się, zrosłem, tak wesoly, tak pieszczony, tak kochany (choć zapewne nie od wszystkich) jak gdyby po wyjściu ztamtąd, samo mię szczęście na świecie oczekiwać miało. Przygotowany do życia przez Prababkę i Babkę (z których jedna jest już w niebie od roku, a druga ze łzami w oczach mieszka jeszcze w Romanowie)—sposobiłem się do niego jak na ucztę wesolą.

O! wesolym wstępem do życia był mi Romanow, był to brzeg gorzkiej czary, którą Bóg słodyczą zaprawił, abym długo wspominał i długo płakał lat moich dziecięcych. I wspominam też i płaczę—z bolesném serca scisnieniem, płaczę po téj niepowrótnéj przeszłości, którą tak mam w sercu i pamięci, jakbym się z nią wczoraj dopiero rozstał. Ileż to razy w usta moich powieści bohaterów, kładłem

żał lat dziecięcych; który z mego serca płynął; sądziłem przypisując go innym, że każdy, każdy żalować musi młodości, ile razy ją przypomni; bo jój nie nie zastąpi, bo tak okropnie, tak na wieki dla nas umarła.

Lata pobytu mego w Romanowie, były bardzo szczęśliwemi—dnie mi zajmowała nauka wcale nie ciężka, wesołe zabawy, przechadzki po Romanowskim ogrodzie, przechadzki, w ciągu których poglądając po starych drzewach, po cienistych zakątkach, uczyłem się marzyć i domyslać mglistej jakiśś przeszłości, zdając się ją tylko przypominać sobie.

Już ciebie niema droga moja przybrana matko, na której kolanach nauczyłem się czytać, myśleć i modlić, już ciebie niema Aniele Święty, a Romanow opustoszał. Jedna już tylko Babka w nim płacze.—o! nie mógłbym go teraz widzieć, a jak mnie boli wspominać!! Jak tam teraz pusto i cudzo być musi, jak zimno, jak zimno! Ale dawniej, dawniej—mimo kłopotów życia, mimo nie rzadkich zmartwień, Romanow żył, Romanow był tak wesoły, tak

miły — Pamiętam jeszcze Dziadka naszego, w bajowej czujce chodzącego koło gospodarstwa i ogrodu, pamiętam Prababkę którą wówczas białą Babunią zwałem jadącą do Chmielity spokojną klaczą Jaroszewską, przykrytą od much białą kapą w pstre centki. Pamiętam — o! pamiętam wszystko i naukę czytania na kalendarzu i wieczorne zabawy i cacka dziecinne i wszystkie *Nauki Two-je*, biedna Prababko, pamiętam kiedyś mi dając łakocie, po jakiémś przewinieniu dziecinném, powiedziała:

— Tak, Józio, trzeba za złe dobrém płacić!

Bóg Twoje cnoty, zapłacił długiem choć bolesném życiem, wszedł teraz Świętą do Nieba przecierpiawszy na ziemi, co tylko najdotkliwszego dla serca matki być może, przeplakawszy nad mogiłami dzieci, i gdybyż tylko nad mogiłami!! Jeszcze, gdy to piszę, głowę tracę i pamięć — Wspomnień tych początku mojego życia zgromadzić nie mogę, tak mnie żal ogarnął.

I nigdy, nigdy, nie wróci ta przeszłość,

nigdy nie wrócą ci ludzie, tamte czasy—nigdzie już nie znajdę Romanowa—nigdzie?—Bóg łaskaw, ja mam znowu drugi Romanów, ale i pierwszego mi żal i po pierwszym płaczę.

V / Od dzieciństwa, niewiem jaki szal wrzał w mojej głowie, nie uwierzycie mi gdy powiem, że wprzód pisać zaczął, nim pisać umiałem; ale to pewna, że drukowaniem literami składał już jakieś powieści i wiersze. Przyszłość moja objawiała się wyraziście, lecz prócz dobrych Babek, reszta familij nielitościwie szydziła z tych dziecięcych wysiłen. Równie mnie wówczas zajmował rysunek, do którego też sama i dziś pozostała namiętność. Tu już, w Romanowie, dzieckiem jeszcze, marzyłem na przemiany o nauce, o sławie, o sztuce, miałem już jakieś przeczucia wszystkiego, przeczucie powołania. Nie tyle jednak zajmowała mnie nauka sama, która mi się, przyznam, wydawała dość nudną, nie byłem bardzo pilny, nie miałem pamięci do słów i formuł—ale po lekcjach kradłem książki, aby je czytać. Pamiętam dobrze, jak jeszcze

małym chłopięciem drżałem od strachu, czytając romans P. Radcliffe, na ganku ogrodowym, gdzie żywej duszy nie było i smutno tylko jodły szumiały. Byłem tak w końcu przejęty, że musiał uciec do pokojów. Trzeba przyznać, że gdy wszyscy w domu, drogie Babki, dziad, wuj, ciotki, wszystko czytało i mówiło o literaturze, wypłynąć to musiało nie mało, na zachęcenie mnie do niej. Pewna jednak, że jak siebie zapamiętać mogę, zawsze z tą wrzącą ciekawością do książek i nauki. Nie miałem w początkach innych nauczycieli nad drogie moje Babki, aż do lat w których do szkół mnie oddano. Przejście to było ciężkie, okropne, z pod macierzyńskich skrzydeł i pieszczot, pod dozór zimnych ludzi, których nie obchodziłem. Lecz wróćmy jeszcze do tego Romanowa, który dziś jest pustką i ruiną dla mojego serca, pieszczoném dziecięciem biegałem tak wesoły, tak przywykły do szczęścia, że bardzo długo nie pojmowałem śmierci, a kiedy mi o niej mówiono, najmocniej w nią nie wierzyłem. Ileż to razy od tego czasu, każdy grób

zamykający się z mojemu drogiemi przekonał mnie, iż w śmierć wierzyć potrzeba.

Późniejsze lata życia, już się zatarły w pamięci; niewiem dla czego, te pierwsze tak żywo jeszcze przytomne, jakbym wczoraj dopiero z niemi się rozbratał? Każdy szum drzew, przypomina mi Romanowskie jodły, każdy kłokocący bocian, tamtejszych bocianów, i myślę patrząc na lecącego — Może on rodem ztamtąd? — Każda olcha, przywodzi mi na myśl, stare, nad kanałami rosnące — Mój Boże — wszystko minęło, wszystko minęło, ludzie poszli do niebios, czas mignął się i nie wróci, jam postarzał! A owe chwile młodości to tylko marzenie dzisiaj, które im dalej ode mnie, tém więcej jaśnieje na tle przeszłości.

Jak pisać o Romanowie, o tych latach? Niewiem i więcej nie będę — Są rzeczy, których człowiek nie śmie rzucać w oczy światu obojętnemu, bo szyderstwa się lęka; bo gdyby jego skarbów nie oceniono, gdyby się z nich śmiać odważono,

okrutnie czuły na tém — Dość, dość tych słów kilku — wspomnienia drogich osób i lez które na papier upadły. Miałem napisać i wiele, ale nadto czuję straty, abym potrafił na nie narzekać i słów do elegij dobiierać.



IV.

LUBLIN.

IV.
L. B. L. N.



IV.

L u b l i n.



KOŃCZYWSZY wszystkie klasy w szkole Bialskiej, z pocztą powieścią, z pełną teką bajek, głową roztrzępaną, marzeniami rozbitą, żądzą widzenia i nauki, jechałem do Lublina. Ale jakaż wówczas była we mnie ta żądza nauki?—Połknąć ją chciałem bez pracy; ciężkie nabywanie wiadomości nie podobało mi się, rwałem się do xia-

żek, do pisania, czekałem, że tak powiem, aby mi nauka sama przyszła. Małom umiał, przeczuwałem wiele.

Droga Babka odwoziła mnie do Lublina, nigdy nie zapomnę mojego wstydu — Zbliżaliśmy się do miasta, wieże kościołów, już się z za wzgórzów ukazywały, biło mi serce mocno; nowe miejsce, nowi ludzie, nowi towarzysze mnie czekali.

— Powiedz mi Józefie, odezwiała się Babka—pamiętasz ty, co się w tém miejscu stało ważnego, pamiętnego?

Niestety! napróżno szukałem w głowie czerwienilem się, belkotałem, unij Lubelskiej przypomnieć sobie nie mogłem. Podpomogła mi Babka i zawstydzonemu zaleciła, uczyć się lepić historij. Kto wie, czy to drobne zdarzenie, nie wpłynęło na zamiłowanie jój późniejsze, bo pamiętam, że już w Lublinie spisywałem nagrobki stare i chwytalem jakie mogłem xiążki historyczne.

Lublin po Białej wydał mi się ogromny, wspaniały—ale pusty, zimny, bo w nim nie było jednéj twarzy znajoméj, jednego przyjaciela; a choć młodzieńcze przyjaźni

łatwo się zawiązują; początki poznania się są w pewien sposób przykre. Trzeba przejść nowicjat szyderstwa, wytrzymać próby, nim cię przyjmą towarzysze. Stałem u profesora O.... na biędę profesora Matematyki, do której nigdy wielkiego nie miałem nabożeństwa. Cóż jednak robić, gdy gwałtem weiskają ci ją do głowy? Musiałem codziennie rozwiązywać zadania profesora, mozolić się nad algebrą i jeometrią, choć mi one nie mówiły; i obiecywałem sobie porzucić je, jak tylko mi wolno będzie, pokłonić się im i pożegnać.—Tym czasem książki których łatwiej dostać było można, pocieszały po suchych zadaniach. Książki te bez żadnego wyboru chwytałem, rozprzegające wyobraźnię, zapalające ją, często szkodliwe, tyle tylko na mnie wpływały, żem coraz jaśniej widział iż pisać muszę. Pisałem więc bez odetchnienia gryzmołąc, a nie bardzo pilnie się ucząc. Z niepojętą też ciekawością biegałem po starym Lublinie. Pamiętam jak na Farnym Kościele zewnątrz znajdujący się dawny, wpół zatarty zrysowałem napis. Była to pierwsza antykwaryjuszowska próbka; a professor zna-

lazłszy ją, jakkolwiek matematyk, nie wziął mi jój za grzech wcale.

Lublin więcćj ożywiony, mniej zrujnowany, nietylko przemawiał starożytnością swoją do mnie. W nim pamiątek szukać nie można było, wszystkie pokryła pobiała i potynkowali odnawiacze. Zamek, pamiętny nauczycielstwem Długosza, tyła wojnami, najazdami; począwszy od Mindowsa i Lubart; świeżo w nowo-gotyckim szkaradnym smaku wyrestaurowany, stał się więzieniem. Jakże w nim, patrząc na żółte ściany, myśleć było można o ubiegłych wiekach?? — Dziejów Lublina, już w xiegach tylko, szukać było potrzeba. Kościół Farny założony wedle tradycij przez Leszka Czarnego podobno, najposepniejszą i najbardziej przemawiającą miał powierzchowność. On jeden i kilka pustych po przedmieściach rozrzuconych przypomniało, że tu dawniej kilkadziesiąt ich liczono. Inne w nowe się ubrały sukienki i zaparły swój dawności, którą bielidłem i fryzurą, pokryć usiłowały. Lublin z laski architektów, wyglądał za tamtych czasów, jak stara kobieta w nowych, nie do jój

wieku sukienkach, które nie pokrywając lat, czyniły ją tylko smieszną. Chodziliśmy na nabożeństwo do Kościoła Dominikanów, w którym podpisana została sławna Unja, i stół podobno ukazywano, gdzie ten akt obu państw reprezentanci, podpisami stwierdzili. Prócz tego obszerny ale nie piękny i nie smaczny z pozoru Kościół Dominikański; zalecał się relikwią wielkiej części drzewa Krzyża Świętego. Kilka w nim jeszcze przypominam sobie obrazów, zapewne krajowych malarzy, bo wyobrażających w polskich ubiorach osoby i całe sceny z legend miejscowych. Ale tuż obok szkół, które mieściły się w dawném Jezuickiém Collegium, stał opuszczony Kościół Jezuitów, będący jakiś czas magazynem wojskowym; a potem poczęty restaurować w smaku gotyckim, najnieszczęśliwiej.— W kościele tym widziałem pierwsze piękne i bardzo piękne freski. Zwrócili na nie uwagę moją, przejeżdżający P. C. i Xże J. W. z którymi razem oglądałem je po raz pierwszy. P. C. który widział Włochy, był amatorem i znawcą sztuki, unosił się nad

pięknością ich. I mnie też otworzyły się oczy zabiło serce, na widok tego gmachu, tak pięknie, smakownie, z takim bogactwem wymysłów i wdziękiem kolorytu ozdobionego. Malowania bowiem w niższej części tylko, nadwreżone niewiele, w wyższych mimo obojętności na nie, siły czasu i siły Magazyńjerów wojskowych, całe i świeże pozostały. Nie mogę sobie przypomnieć imienia malarza, które jednak czytałem zapisane, z prawej strony drzwi Róścielnych, wewnątrz. Dokończono malowanie około połowy XVIII wieku. Przypominam jeszcze zakrystję dwie, z których jedna wyobrażała na sklepieniu wybornie narysowane postacie leących aniołów i świętych; druga kształtu owalnego, zastanawiała akustycznym fenomenem. Stojący w dwóch przeciwnych ogniskach, mówiąc pocichu słyszeli się dobrze, gdy wpośrodku będących, głos ich ledwie niewyraźnie dochodził. Miejscowe podanie nieprzyjazne Jezuitom, niosło, że w dwóch tych miejscach, ustawione były konfessjonały Ukazywano tu także trumienkę z kośćmi ja-

kiegoś zwierzęcia, niewiem jakim sposobem w niej się znajdującemi. Nie daleko kościoła stał pałac Biskupi i klasztor Brygitek, a podszedłszy ulicą w miasto, czerniał jeszcze, później rozrzucony, dla uczynienia miejsca publicznemu ogrodowi podobno Kościół Ś. Ducha. Dwie bramy wznosiły się jeszcze poważnie za owych czasów w Lublinie, jedyne nie zepsute pamiątki dawniejsze. Jedna Żydowska przy wejściu z Żydowskiego miasta, na ulicę Grodzką, gdyż Żydzi osobną i tu jak gdzie indziej wyznaczoną sobie mieli część na mieszkanie; druga Krakowska, na Krakowskiem Przedmieściu. Ta ostatnia większa, ile pamiętam i powierzchowności więcej zajmującej. Stary gmach Sądów Trybunałskich, milczący już, pusty i osierocony z gwarnej palestry, stał jeszcze obiecując długie lata; tak wyglądał czerstwo i zdrowo.

Od Krakowskiej Bramy dalej poczynano się świeże, wytworne, czyste, miasto, wytynkowane, pomalowane kamieniczki, w których dolne mieszkania zajmowały sklepy.

Niemi wysadzona była droga do Kościoła Kapucynów, gmachu Kommissij Rządowej i Pomnika Unij, nowo wystawionego. — Wszystko w téj stronie nosiło cechy, młodości, niczém się stary gród nie przypominał. — Za to zstąpiwszy z Grodzkiej ulicy w miasto żydowskie, i przedmieścia, postrzegalesz stare domy, brudów do sytości i gdzie-niegdzie na wzgórzu, z czarnemi oknami, z przeświecającym się dachem, z pochylonym krzyżem, kościół konający bez modlitwy, opuszczony, spustoszały. Takich kościolków kilka pamiętam. Przedmieście Winiary zwane, sławne było lochami wykutemi w kamieniu piaskowym (z jakiego tu i domy budują) i win węgierskich składem. Za miastem ciągnęły się wzgórza, po których swawolni wypuszczeni na jeometryczne rozmiary, biegaliśmy niewiele myśląc, o stoliku, dioptrze i łańcuchu.

W ogólności rok jeden przebyty w Lublinie, nie zostawił mi miłych wspomnień — a zakończenie tragiczne jego odmówieniem nagrody, do której zdawało mi się, żem miał

prawo do reszty mnie zraziło. Wśród czytania imion uczniów wybranych, rzuciłem książkami i sexternami o podłogę i oddaliłem się z sali.—Ale dziś widzę, że słusznie bardzo zaprzeczono mi naówczas pochwały. Jako uczeń nigdy nie mogłem odznaczyć. Więcej może naówczas umiałem od innych towarzyszków, bo w ciągu tego roku skorzystałem, sam przez się czytaniem książek; ale gdzie było potrzeba nauczyć się czegoś na pamięć, wypowiedzieć *pensum* słowo w słowo, nigdy nie mogłem odznaczyć — Pamięć moja skrzętnie chowając nazwiska i daty pojedyncze, fakta, wypadki, nie mogła się nakłonić, do przyjęcia jednej seciny wierszy, półkartki prozy. Nieszczęściem w Lublinie wówczas jak i po innych szkołach dotąd robią nauczyciele, zasadzano wszystko na dosłownym wyuczeniu, które do niczego nie prowadzi i jedną tylko pamięć chyba, excercytować może. Ztąd, najłatwiej mogąc napisać zadanie, dość mając językowej wprawy, nigdy nie uchodziłem, za dobrego ucznia, bo żadnej lekcji słowo w słowo nauczyć się nie potrafiłem. Dziś gdy to piszę, z swoich

własnych nawet robót, dziesięciu wierszy nie umiem na pamięć. Niech mi tu wolno będzie, zaprotestować się kilką słowami, przeciw, jak mi się zdaje, fałszywej metodzie i złemu sposobowi nauczania wszystkiego, za pomocą lekcji dosłownie recytowanych.

Może być iż to pamięć wprawia i ulepsza, ale na nią tylko cały trud zwałając, żadnej z potrzebniejszych władz, nie uprawia. Niechby uczniowie obowiązani byli, opowiadać koniecznie po swojemu słyszana lekcja, toby dowodziło że ją pojęli, a deklamacje dla wprawy pamięci i nauki języków, ograniczyły się mogły, niewielą w różnych mowach urywkami. Jeśli potrzebna pamięć, to stokroć potrzebniejsze władze, których ona tylko jest sługą. Nareszcie, ci co nie mają pamięci mechanicznej, którzy bez myśli ustami tylko nie umieją wyrecytować tysiąca wierszy; zdaje się że się nigdy nie *nauczą pamięci*. Można ją wykształcić, w kim jest, ale nie stworzyć, w kim jej zupełnie niema. A tu nie od rzeczy przypomnieć, że Gall miał

wielką słuszość, rozdzielając pamięć, na kilka rodzajów odrębnych i nie zawisłych od siebie. Prawdzi się to postrzeżenie na wielu, obdarzonych pamięcią osób, a nie mających pamięci miejsc i t. p.



Wielka słabość rozciągając pamięć na
takie rozległości obcych i nie zawierając
o siebie. Prawdziwie to postępowanie
nie jest odłączaniem pamięci od siebie, a nie
najwyższą pamięcią najeź i nie jest
niezależnym i jest kłopotem na, w
chwilach.

Może być i tak, że pamięć i wyobraźnia, są
nie na tak tylko, jak się wydaje, i
potrzebują do siebie. Niech
by uczynione było, opowiadać
konieczność po sobie, toby
dowodząc, że ja jestem, a
wprawy pamięci i wyobraźni, w
czymś się mogły, nie widać w różnych
miejscach wyobraźni. Jeśli pamięć i
to, które potrafią się wyobrazić, których
tylko jest sługa. Niech, ci co nie mają
pamięci, wyobraźni, którzy bez myśli nie
mają, tylko się uczą, wyobraźni, którzy
wiedzą, że ja jestem, i ja jestem, i ja
jestem. Można ja wyobrazić, w tym jest,
ale nie stworzyć, w tym jest, i ja
jestem, i ja jestem, i ja jestem.

V.

SWISŁOCZ.

Swisłocz.

Widok z południa. W tle widoczny jest pałac, a w pierwszym planie staw z łodkami. Wzdłuż brzozy, która prowadzi do stawu, znajdują się liczne domy i zabudowania. W tle, za stawem, widać lasy i wzgórza. Wzdłuż brzozy, która prowadzi do stawu, znajdują się liczne domy i zabudowania. W tle, za stawem, widać lasy i wzgórza.

A

SMITHSON



V.

Swisłocz.

PRZEBYWSZY pełną tajemnic, europejskiej sławy, żubrami i łowami głośną białowieżską puszcę ujrzysz w dolinie małe miasteczko, wieżą kościółka farnego i bielejącymi murami pałacu i bram swych seńjoralnych wystawami malujące się na dolinie. Z jednej strony jego, stare drzewa ogrodu pałacowego, z drugiej drobne domki

mieszczan. Wjeżdżasz ulicą, która się poczyna od Kościoła Aniołów Stróżów. Piękna myśl była, u bram miasteczka, napelnionego młodzieżą, wystawić na wejściu Aniołom Stróżom, tak młodości potrzebnym Kaplicę! Od niej aż do Rynku, wciąż drewniane niskie ciągną się domki mieszczan, zamieszkałe przez studentów. Na szerokiej ulicy rozlegają się śmiechy wesole, tam grają w piłki, tam z xiążkami w ręku swawolą chłopięta, dalej starsi probują sił swych na skrzypcach i fletach. Wszędzie gwar i życie, wesole życie młodości, pełne ruchu. Na barjerach przed oknami domów posiadali jedni, drudzy powychylali się z okien, trzeci idą w zapasy z sobą, inni na wyprzódki biegają. Ulica ta niema pozoru miasta, sklepu w niej, karczmy, szyneczku nie ujrzysz; spokojne domki stoją w rząd jak studenci i roją się samemi studentami. Po za domkami ogródki, przed niemi ławki, w cieniu młodszych i starszych drzew na których korze kilka już pokoleń imiona swoje zapisało. — Po prawej ręce od wjazdu, zbliżając się ku miastu, może cię zastanowią, cztery starsze

od sąsiadów swych, cieniste kasztany przed wystawą drewnianego domku Huferta. Tuśmy mieszkali, tuśmy się uczyli, tu marzyli o Bożym świecie na którego wychylić się, tak pilno nam było.

Podszedłszy nieco dalej, na lewo skro-
mny obaczysz Kościółek, przed tobą już
miasteczko. W koło Ryneczku karczmy dre-
wniane pod labędziem, kogutem, bocianem,
wroty czarnemi na gościniec patrzą—Da-
lój w głębi murowane kramy, puste rok
cały, ożywione w czasie rocznego jarmarku
którego ustanowienie na wzór Żelwiańskiego
winna Swisłocz Referendarzowi Tyszkiewi-
czowi, zacnemu swemu, z ostatnich czasów
posiadaczowi, po którym mile jeszcze dotąd
zostało wspomnienie. Na lewo na placu ob-
szernym, wybitym nogami studentów muro-
wany gmach szkolny, obszerny i wcale po-
rządny bieleje. Naprzeciw niego stary dre-
wniany budynek, dawna szkoła. Dalój uli-
cą drzew cienistych idzie się ku pałacowi,
zwierzyńcowi, ogrodowi obszernemu —
Wszystko to dziś ruiny tylko bez duszy i
życia; ruiny jakich w naszych prowincjach

w jednodniowej podróży naliczysz kilka — drzewa dziczej; zarastają ścieżki, wał się budowle, zapływają mulem, i zielem zakrywają stawy — W pałacu rządzca, w salach wisi bielizna na sznurach do złożonych dawniej gzymsów, przybitych — Smutno patrzeć! I człowiek mimowolnie się siebie pyta, wszędzie to tak świeżych ruin pełno, czy u nas tylko?

Jeszcze mi ojciec opowiadał o napływie gości, o wesolych zabawach jarmarkowych za czasów Referendarza; a teraz już tak pusto?? — W altanie, w której nieraz może dobrane towarzystwo, siadywało wieczorami letniemi, słuchając muzyki; nie dawno biedny skazany na degradację Zasypkin, zastrzelił się i krwią pobroczył wielki stół podwieczorkowy dawniejszych czasów. Pamiętam, przybiegliśmy, gdy drgał jeszcze, wyciągnięty na stole, napisawszy wprzód cztery wiersze rosyjskie na ścianie których dziś nie przypominam sobie. Po ulicach wytkniętych dla panów, smutni przechadzają się słudzy i królują na zwaliskach, na zdzieczalym ogrodzie, wpół spustoszonemu zwierzyńcu,

którego daniela po jednemu zdychają; a nikt na nich nie patrzy, nikt o nich nie dba. Jeszcze lat kilka a wspomnienia obróca się w podania, gdy pałac przejdzie w gruzy, a ogród w las i zarośla.

Spokojne życie Swisłoczy, gdzie trzeba się koniecznie było zająć nauką, choćby dla tego, że czém inném nie było — i mnie i wielu innych zapewne zmusiło do oddania się namiętnego xiążkom, pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umyśle; jak tylko niéma nic, co by oderwać mogło, co by nęciło jakim powabem rzucić się musimy do nauki, potrzebując za warunek do życia, zajęcia któreby siły nasze wyczerpywało. Dla tego miasteczka takie jak Swisłocz, podobniejsze wsi niż miasteczku, ustronne, spokojne; najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się potrzeba koniecznie; lub z nudy umrzeć, i młodzi się też uczą. W większych miastach, umysł się zapala widokiem żywego, działającego świata, życia; tu wszyscy otaczający oddychają nauką, przypominają tylko wszystko; a nie od niej nie odrywa. To pewna żem ja więcćj się nauczył w cza-

się krótkiego pobytu w Swisloczy, niż przeszłych lat, po innych szkołach. Zaraz w początkach, musiałem języka rossyjskiego, którego wcale nie umiałem, uczyć się skwapliwie, aby mi nie był przeszkodą do wyższej klasy. Wprędce obeznałem się z nim i pierwszym tego dowodem, było tłumaczenie rozmowy Karamzina o szczęściu, które mi otworzyło wstęp do klas i zjednało względy Professora.

Następnie wziąłem się szczerze do innych języków mianowicie łacińskiego i greckiego. Nigdy was nie zapomnę paradoxa Cyceronowe, na których sił moich próbowałem! I tych nocy bezsennych spędzonych z Adamem u jednego stolika nad tłumaczeniem w togi poubieranych frazesów Tulljuszowych! I téj mianowicie nocy ostatniej, nocy majowej, którąśmy heroicznie przesiedzieli oba z xiążką w ręku choć oczy nam się kleiły, a po ukończeniu biegliliśmy się kąpać w rzece! A! nigdy Cyceronowe paradoxa tak zimne nam się nie wydały, jak woda rzeczki przed wschodem słońca, z której dzwoniąc zębami, wyskoczyliśmy wra-

cając do zimnej kąpieli w łacinie. I nie myślcie, że tłumaczenie to nad którym nocie nam schodziły, było zadaniem szkolnym i nie samiśmy je sobie zadali.

—Pomnisz ty to jeszcze Adamie??—

—Ja wszystko pamiętam, jednej zda się chwili nie straciłem z tej przeszłości, którą miło mi wspomnieć dziś jeszcze. Pamiętam i ciebie łagodny uczony Professorze Walicki, któryś mnie na drogę filologiczną nad językiem pracy, zastanowienia wprowadził, któryś podał myśl tej historii języka polskiego, leżącój po dziś dzień w tece, czekając rozpalonego kominka.—Pamiętam zdrowe twoje rady, serdeczne przywiązanie do mowy, której czystości broniłeś, którąś chciał nieskażoną wlać w usta uczniom twoim. I twe uszanowanie dla Kopczyńskiego i twój wstręt do wyrazu — *przedstawiam*; barbarzyńskiego, naturze języka wbrew przeciwnego.

Trzebaby też być niewdzięcznym, żeby takich rzeczy nie pamiętać.

Zaczęte w Białej jeszcze powieści, porzuciłem już, porzuciłem poezję, wziąłem się do

języków, a w szczególności języka swojego. — Zaszczepiona chęć zgłębienia jego zasad, natury przeszłości, pozostała na długo w umyśle. Pod wpływem to, nauczyciela którego już nie miałem w Wilnie, poczęłem zbierać materiały do dziejów języka, chronologiczne wypisy z dzieł; wreszcie układać *Glossarium*. To ostatnie dzieło którego bez wątpienia nigdy nie dokonam, mogłoby być użytecznem. W niem miały się zawrzeć wyrazy wyszłe zupełnie z użycia z objaśnieniem kiedy były używane, w jakim znaczeniu i kiedy je zarzucono; wyrazy które zmieniły znaczenie na inne; jakich jest bardzo wiele i t. p. Wyciagi z Lindego stały się podstawą *Glossarium*, ale przybyło do nich z czytania mnóstwo wyrazów, wiele znaczeń.

Teraz tym stosem papierów, podpale kiedyś na kominku — Kończyć już podobno nie pora; a potem, zdaloby się to jeszcze dziś, gdy z tego nieszczęśliwego języka takie dziwy wyrabiają, gdy *archaizmy* tworzą i domyślają się ich nie uczą; gdy z jednej strony neologizmy okropne, z drugiej makaro-

nizmy straszliwe zalewają i topią ostatnie szczątki starodawniej mowy.

Ale powróćmy do Swisloczy.

W tém cichém i spokojném miasteczku przebytych lat dwa, pomimo kilku nieprzyjemnych wspomnień, wpłynęły zapewne na moją przyszłość. Więcej tu pracowałem niż kiedykolwiek; ale zmieniłem kierunek. — W Białej bawiliśmy się więcej niż uczyli Fizyką i Chemią; w Lublinie męczyłem się Matematyką; w Swisloczy właściwie wziąłem się do języka i Literatury. Tu czytałem Górnickiego, Reja, Kochanowskiego, świeżo wydanych w Warszawie w małej, taniiej edycji. Prócz tego jakie mi wpadły pod rękę książki, jakich od Walickiego dostać mogłem i z niewielkiej półki P. Hołówki zarwalem; czytałem wszystkie. Trzy czy cztery razy, Molière wpadał mi w ręce; zawszem się nim jak nową znajomością cieszył. Nie kończyłem już powieści moich, bo pisałem obszerną rozprawę o przysłowiach, zbierałem wypisy z autorów XVI wieku; prócz tego słęczałem nad łaciną, uczyłem się słowiańskiego i ruskiego języka. Wypadło zdjąć plan

szkolnego gmachu, i to mnie jako lepij od innych rysującemu, polecono; o ile sobie przypomniać mogę, nie bardzo mi się udała architektura, chociaż ją nauczyciele z zadowolnieniem przyjęli: Obok tych zatrudnień, szły jeszcze lekcje muzyki, ale powolnie, nudnie, a podobno bezkorzystnie. Nie mając w domu fortepianu, czego się było można nauczyć z dwóch czy trzech w tygodniu lekcji.

Tak w mgnieniu oka, dwa te lata przebiegły, przeleciały — Ze starych szkolnych przyjaźni, nie pozostała mi żadna; towarzysze rozbiegli się po białym świecie, każdy w swoją stronę pędząc za szczęściem, za niedolą! Jednego tylko z moich nauczycieli, Walińskiego, widziałem potem raz jeszcze.

Ze wspomnień wypadkowych, nie przychodzą mi na pamięć inne nad pogrzeb Rektora, na którym miałem mowę wśród paroxyzmu febry; zapewne z wielkiem bólem uczuciem wyrzeczoną, bo głowa pękała i gorączka mnie właśnie trzymała w objęciach swoich. Dwie nagrody i patent (jak w Królestwie nazywano, świadectwo *matu-*

ritatis) otrzymałem. Teraz miałem jechać do Uniwersytetu; zdawało mi się żem był poważnym człowiekiem; ręka napierała się pióra; które później tyłu mi wytrącić chciało i teraz jeszcze usiłują—głowa paliła się nadziejami przyszłości nigdy się nie mającemi ziścić—Wyjeżdżałem ze Swisłoczy modląc się do tych Aniolów Stróżów, którzy mnie mieli prowadzić po świecie.

Straszna burza z piorunami napadła mnie na wyjeździe do Wilna—Byłaż to przepowiednia burzy, w której szwankować miałem i cierpieć tyle? Niewiem — *O Wilnie kiedyś później wam powiem.*



VI.

PRUŻANA. KARPIŃSKI.

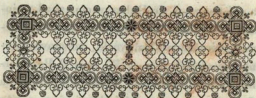
Prużana. Karpiński.

W miasteczku ma swoje pamiątki, które przetrwały jak owo namię. Po-
wstała tu jego historia, o której się jej mógł
dowiedzieć z archiwów, które Słuchotay Ma-
jowski z uwagowaniem, w kulewój szaleń-
pod chłopską masztalą chowa.

Nie było to tylko miejsce, jak
opiewał stary powieści kościelny — guj tylko,

IV

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY



VI.

Prużana. Karpiński.

 to miasteczko ma swoje pamiątki, ubogie prawda jak ono same. Powiem wam jego historją, o ilem się jęj mógł dowiedzieć z archiwów, które Slachetny Magistrat z uszanowaniem, w kulawej szafce pod dwoma zamkami chowa.

Niegdyś było to tylko *zelenoe miasto*, jak opiewa stary przywilej kościelny—gaj tylko,

a gaj ten zwał się Dobuczynem, żądał wniosek łatwy że musiał być dębowy. Iwan Semenowicz Książ Kobryński, dzierżawca ziemi Żmudzkiej w r. 1475 dnia 9 Października zbudowawszy tu Cerkiew Narodzenia Syna Bożego, nadał jej dziesięcinę z dóbr swoich i place ją otaczające. Z opisu ich, tego się tylko ciekawego dowiadujemy, że Książ miał psiarnią w Dobuczynie. Arcy ważne odkrycie historyczne, warte wielu innych temi czasy poczynionych. Prócz placów nadał kapłanowi wolność pędzenia rozmaitych napojów, na swoją potrzebę i szynk karczemy. To wszystko potwierdzili wspaniale, Książ Iwan z żoną Teodorą. Uśmiechać się musi, ktokolwiek z rozwagą ten przywilej czyta, bo jest wyraźnie w XVI wieku sfa-brykowany, sposób pisania, formy językowe i wyrazy, nie mają charakterów czasu swojego i od niego są młodsze. Same podpisy, których w owym czasie nie kładziono, wzmiankując tylko przytomnych nadaniu świadków, dowodzą tego silniej jeszcze. Zdaje się, że gdy w XVI już wieku, cho-dziło o odzyskanie nie dochodzących Cer-

kwi dziesięcin, Protopop nie mając oryginału pierwotnego nadania do złożenia przed Królową Anną; w r. 1538, ułożył sobie ten przywilój; podał go, a dobra Jagellonka dnia 15 Czerwca zatwierdziła, przykazując oddawanie dziesięciny należnej. Ekonomja bowiem Kobryńska, do której należała Prużana, była częścią dóbr stołowych Królewskich, przez Bonę, a potem Annę Jagiellonkę trzymanych.

Ta więc Prużana alias Dobuczyn, trwała wioską, do Ekonomij Kobryńskiej należąca, do XVI wieku, do Królowej Anny. W roku 1570 stanęła Cerkiew Ś. Ducha na górze, której Zygmunt August place wyznaczyć rozkazał, Panu Dmitrowi Sapiezie. Królowa Anna w r. 1538 dnia 15 Grudnia, nadała *more antiquo* téjże Cerkwi pozwolenie odbywania prąźników i jarmarków w dzień Ś. Ducha i Ś. Spasa; a kapłanowi sycenia miodu w te dni. Zwało się to *Kanonem* i ten zwyczaj sycenia miodu w czasie prąźników po wsiach, nawet na całym Wołyniu dotąd się zachowuje. Usycony miód Starosta Cerkiewny sprzedaje, a aręda lub szynk miejscowy téj swobody nie wylacza. Kiedy sta-

nęła w Prużanęj Cerkiew Ś. Praxedy—która zgorzała w roku 1810 z przywilejami i dowodami swęj rodowitości?—zupełnie mi nie wiadomo. Kościół zaś katolicki jedyny, ŚŚ. Zygmunta i Wacława, już w roku 1565 występował, o tym bowiem czasie wyznaczał dlań place Pan Dmitry Sapieha, a w r. 1647 Jan Kazimierz na biedny jego stan zważając, nadał mu roczną jałmużnę z Ekonomij Kobryńskiej, złotych sto w rok.

Jak się tylko miasto miastem okazywać zaczęło i żydzi wnieśli się w większej liczbie. A że w owych wiekach wszystko się działo przywilejami, a przywileje sypały się jak grad na wszystkie strony i żydzi też po przywilej na Synagogę i okopisko sięgnęli, ale nie prędko, bo już po zupełnej miasta na Magdeburją erekcji, za Władysława IV. w r. 1644. Przywilej otrzymany dozwolił im mieć Bożnicę, okopisko czyli smętarz, wszelkie handle sprawiać, domy nabywać w mieście, szynki gorzalczane i innych trunków trzymać, z obowiązkiem opłaty sześciuset złotych rocznie—Dozwolono im także wrębu do lasów skarbowych i t. d.; słowem

wszystkiego czego we zwyczaju było dozwalać, za piękny prezent, którego dawali przynosząc przywilój do podpisu. Jan Kazimierz gdy mu wedle zwyczaju przywilój do potwierdzenia podniesiono, pomyślał o tém aby Bożnica Żydowska, nie przenosiła się z miejsca na miejsce i nie usiadła kiedy naprzeciw Rynku lub Kościoła, zastrzegając mocno w r. 1630 d. 1 Grudnia, żeby nowego placu żydzi pod szkołę nie nabywali i modlili się w starój.

Ale — zapomnieliśmy powiedzieć jeszcze kiedy miasto miastem się stało, to jest Wójta, Sąd, Magdeburskie prawo i herb *ad instar* innych miast i miasteczek otrzymało. Stało się to za sławnój pamięci Królowej Anny, a przywilój jój potwierdził w zupełności Zygmunt III. Zaczniemy od najważniejszego punktu. Miasto dostało herb, herb niegdyś Medjolańskich Sforziów; sławnego węża pożerającego dziecko, z tą tylko różnicą od Medjolańskiego, że tamten poważniój ma pokręcony ogon i głowę obróconą w prawo, a Prużański w lewo. Zresztą Prużana wywodzi się niechybnie od

Sforziów i Medjolanu. Zygmunt III. w r. 1589 d. 6 Maja, potwierdził zagubiony już przywilég Królowég Anny, na prawo Magdeburskie, wyłączając miasto z pod wszelkich praw innych Ziemskich, Litewskich i Ruskich, uległości Wojewodom, Kasztelanom, Starostom i wszelkim innym urzędnikom; cały ciężar rządu i sądu składając na sławetnego Pana Wójta, który, jak wiadomo, w Magdeburkim prawie, miał *jus gladij* bez apellacij, to jest prawo bezkarnego ścinania, wieszania, palenia, na pal wbijania i t. d. bardzo przyjemne zaczawszy od *najlżejszég śmierci, do najcięższég.*

Ustanowiono w mieście kramy, alias *kletki* czyli jatki, bo jatkami zwały się czas jakiś wszelkie kramy (nie jak dziś te w których się tylko mięso sprzedaje); ustanowiono targowe różne, przywilég woskobojni, wagi, miary, nadano na dochód miastu. Jak za zwyczaj dozwolono u bram wybierać od chłopów podużne, pomiarne, stolpowe, łopatkowe i t. d. Od szynków piwa, miodu i wódki warowano od każdego, tym słachetnym trudniącego się przemysłem, po kopie

groszy opłaty do skarbu, a osobno jeszcze od
przedaży wódki sto złotych rocznie, które
in manus Pana Ekonoma Kobryńskiego Wójt
rok rocznie, *cum debita reverentia* miał skła-
dać. Często jednakże i rewerencja i pienią-
dze mijaly Ekonoma. Na zapotrzebowanie
Wójta i Burmistrzów, polecano dawać pod-
wody; dozwolono mieszczanom wrębu do
puszczy Kobryńskiéj; nareście ufundowano
dwa jarmarki, jeden nazajutrz po Ś. Trójcy,
drugi w dzień podniesienia Św. Krzyża,
w czasie których wolno było wszelki towar
kupcom osiadłym i przybyłym przedawać,
zaczawszy od postronków, aż do diegciu
inclusive. To wszystko znaczyło że Prużana
zrównaną została w prawach i przywilejach
z innemi miasty, a mianowicie Brześciem Li-
tewskim. Dopiero ten zasadniczy przywilój
potwierdzali wszyscy wstępujący na tron;
jako Jan Kazimierz w r. 1649 d. 29 Marca—
Pisano — *Confirmamus, ratificamus etc. in*
omnibus punctis, articulis, clausulis etc. a
Sekretarz J. K. Mości, jeśli mu się dobry
podarek nie dostał, dodawał jedno nic: —
in quantum jus publicum non contrariunt;

lub coś podobnego, co znaczyło, że wszelkie przywileje mogły pójść w nie, bo dość było tak ogólnego frazesu na zwalenie największych obietnic. Był to wyłom w murze.

Dla tego się tak długo nad treścią przywilejów rozszerzał, że z tych niejako poznać można normę wszelkich innych nadawanych miastom i miasteczkom. I cóż te wszystkie przywileje miasteczkom, przez lat trzysta na nich siedzącym, przyniosły? Ani urosły, ani pobogaciały; podupadli mieszczenie, rozmnożyli się żydzi, opustoszały Kościoły, a bożnica coraz tylko wyższa i wspanialsza. Po tylu léciech wzrostu, dziś ledwie 5,000 dusz z żydami w miasteczku; a w téj liczbie więcej niż połowa dzieci Izraëla. Domów murowanych trzy, i te skarbowe; z pozostałych 570 i kilku domostw, żydzi mają 186 i karczem 11, szlachta 15, duchowni pięć, mieszczenie 157, kramów aż czterdzieści i cztery. Z grubszego końca sprzedają się w nich powrozy i garnki, z cieńszego perkaliki, żelastwo, tytunie, wina, co chcesz i czego nie chcesz. Dla dokompletowania i dokładności opisu dodać należy jeszcze jeden

młyn wiatrak, jedną aptekę, dwa szpitale, jedną łaźnię, cztery browary, osiem kuźni, i jedną garbarnię. Otoż po przemyśle i fabrykach. Co się tycze rzemiosł, te w równie świetnym są stanie; w cechu garncarskim, najliczniejszym, najpoważniejszym, trzydziestu czterech majstrów, szewców aż dziewiętnastu; dowód jak nogami pracują mieszkańcy i t. d. i t. d. i t. d., bo już w końcu i mojej się cierpliwości przebrało, cóż dopiero waszój czytelnicy?

Prużana leży nad Muchawcem, w dawnych przywilejach zwanym, rzeką *Muchą*, na której, dla nie zawodnego zalania łąk i pól pobrzeżnych, ludzie postavili byli młynek mielący cztery korce do roku; ale go czas nauczyciel wywrócił. Już doprawdy nie więcej powiedzieć wam nie umiem o Pruzanie. Zalecam tylko doskonale cygara hawańskie, wina wyborne, hollenderski sér i śledzie które się tu sprzedają w wielkiej ilości, z wielką kupujących i sprzedających satysfakcją. Za to—co za charakterystyczny rys!—trudno dostać dobrego sukna, lub lepszych do ubrania tkanin. Jest to dowodem,

że u nas zawsze więcej na wewnętrzną spokojność—żołądka, niż na zewnętrzne, marne pozory zważają. Wniosku tego nie potrzeba większą ilością dowodów popierać. Ogólna fizjognomja miasteczka tego, składa się z rysów właściwych innym jemu podobnym, z błota przerzynanego brukiem, brudnych, (choć nie wszystkich) domków, żydów poważnych, żydówek brudnych, pijanych mieszczan w szarych kapotach, kilku starych inwalidów załogi, wyschłego zawsze Muchawca (nie bez przyczyny rzeką Muszą nazwanego) urzędników powiatowych i obywateli. Niéma tu ani kontraktów, ani sławnego jarmarku, ani nie oryginalnego, excentrycznego. Ma jednak powiat swoje ciekawości, bo gdzież ich niéma, poszukawszy? Białowieżską puszcę, żubry i pamiątkę Karpińskiego.

Pisało już tak wielu o téj puszczy, że mnie od tego ochota odpadła. Żubr, którego Białowieża, jest ostatniem schronieniem, znajduje się litografowany po wszystkich magazynach. O Karpińskim chociaż także dosyć pisano, łatwo się coś dodać

znajdzie. Zubr jest jak był zawsze Żubrem tylko, Karpiński jako człowiek codziennie prawie był inny, choć ciągle jeden na pozór; dla tego tysiąc rzeczy nowych w jego życiu znaleźć można. Naiwny ten poeta mieszkał w Kraśniku, gdzie do dziś dnia, skromny jego drewniany domek, stoi niedaleko od drogi. Dwa ganki z daszkami, dwoje drzwi, żadnego okna od dziedzińca—oto powierzchnia jego postać; za nim gęsty las jodeł, w koło wytrzebione pola ocienione lasami, las, las i las na wszystkie strony. Tu poeta serca mieszkał długo, tu razem, ze swemi chłopkami, jak w pamiętnikach wzmiankuje, wydzięrał i uprawiał rolę; modlił się do Boga, o wschodzie słońca na poblizkiem wzgórzu. Znaligo dobrze wszyscy i szanowali. Ciągłe jego utyskiwania na niewdzięczność ludzi, które bezzenna starość podsycala, nie były ze wszystkiem sprawiedliwe. Lubił się skarżyć i ubolewać; lecz któż winien że nie dostał ani Biskupstwa, ani Starostwa, ani pieniędzy, chociaż się delikatnie do nich przymawiał i na niewdzięczność użalał! Za Sielanki, zapłacono

Sielanką, kawał prostéj ziemi, zakawał prostéj i prostodusznój poëzji. Inne były nagrody Naruszewicza, bo jakże też inne poëzje! Wiele tam Ód do różnych osób, wiele Od na różne uroczystości, w jednym tylko tomie. Z wielu listów autografów Karpińskiego, które mi się czytać zdarzało, żaden poëtycznej duszy nie objawia, dopiero podpis, oznajmuje sławnego kochanka, trzech Justyn. O smutna doło! umrzeć tak w kącie odludnym i przeżyć siebie! Bo przy schyłku Karpiński, nie już nie pisał i wierszy swoich nie pamiętał nawet. Talent jego wprzód uleciał, niż dusza.

Pan Franciszek za życia był dość próżny, lubił pochwały, kadzidło, poważania i uwielbienia dowody odbierać, lubił w obec ludzi bogatych i znaczących, ze swoją arystokracją talentu wystąpić; czuć też umiał żywo każdą najmniejszą grzeczność, przez którą przeglądała cześć dla jego dzieł. Nie miał on wysokiego, wszechstronnego i silnego talentu; lecz prosty, naiwny, szczéry, często energiczny mocą prostoty swojej, pisał tak jak wielka część ludu myśli, śpiewa

i mówi; nie zdając sobie sprawy z myśli i śpiewu. Z oryginalnych jego poezij te są najmocniejsze, które są egotyczne, opierające się na uczuciu własném, wewnętrzném, nie na obserwacji i wcieleniu się w inną indywidualność. Tak powszechnie i zasłużenie chwਾਲony *Powrót do domu*, jest najsamolubniejszą, najpiękniejszą z jego elegij; kto wie czy nie z dzieł wszystkich. Zupełnie zfałszowany smak XVIII wieku, umiał jednak tę piękność prostą ocenić—sercem.

Dla ciekawych muszę tu dołączyć genealogją Karpińskiego, którą własnorecznie zapisaną znalazłem w księdze imion szlacheckich powiatu Prużańskiego, w roku 1798 Stycznia $\frac{1}{12}$ dnia.

„Pradziad Piotr Karpiński, który podpisał się na Elekcij Augusta II, z ziemi Nurskićj; Prababka Teressa Zielińska, dziad Krzysztof Mikołaj; babka Marjanna Winnicka, ojciec Jędrzej Karpiński, matka Rozalja Spendowska. Franciszek syn Jędrzeja Karpiński, ma lat 54 (1798 r.) bezzenny. Dom Karpińskich pieczętuje się herbem Korabiem czyli Łodzią (sic) z masztem bez żagłów,

korab żółty, w polu czerwonym, z masztem szarym jak się przylacza wyobrażenie (tego brak) Franciszek ma possessją prawem emfiteutyčnym nadaną sobie, Kraśnik zwaną, w powiecie Prużańskim leżącą, na którą przywilėj składa się. Takowa Kolonja podług ostatniej rewizyi ma dusz męzkich 21, żeńskich zaś 18, żyje w powiecie Prużańskim, folwarku swoim Kraśnik, rangi niema żadnej. Takową procedencją domu mego ręką własną podpisuję—Franciszek Karpiński.”

Mylił się Karpiński, herb Korab z Łodzią mieszając. W istocie pieczętował się Korabiem; jego rodzinę, z Nurskiej ziemi pochodzącą, wspominają genealogowie iż wydała kilku sławnych wojowników, mianowicie Szymona z Karpina Korabczyka, który był pod Cecorą i w wielu innych bitwach tamtych czasów.

Grób naszego Karpińskiego jest w Łyskowie, nie daleko majątku Chorochowyszczyny, kupionego przezeń w ostatnich latach. Kształt nagrobku, jest niezgrabny, zupełnie—Napis na nim, jaki sam obrał, z pierwszego wiersza elegij: *Powrót do domu*

„Otóż mój dom ubogi.—”

Lecz koło Kraśnika, w małym lasku, są śliczne drzewy zieleniami ocienione mogilli, na których przyzwoiciejby było spać Sielaniście, niż pod murem Łyskowskiego kościoła. Tam w kątku, prostym kamiennym płotem opasanym, tam było jego miejsce, na ziemi, którą oblał swym potem, rękami uprawiał, pieśniami wslawił. Tam, gdzie jeszcze wytarte dwa wiersze nad bramką, przypominają poëtę, uczuć smutnych, spokojnych, łzawych, egotycznych.

Trzeba było odpocząć, utrudzonemu w biegu.

I my tu nie na zawsze, tylko na noclegu.

Nie sądźmy go surowo i żegnając cichy Kraśnik, powiedzmy — Pokój prostéj duszy jego! Bo i on był z wielkiéj liczby ludzi, którym świat z uścisku swego zostawił kolce w piersiach i marszczki na czole.



Niektórzy krytycy nasi, uznają Karpińskiego narodowym poëtą; nie umiejąc sobie inaczéj popularności pieśni jego wytłumażyć. Słów kilka o tém jeszcze: Karpiński

zawsze, (zdaniem naszym) jest tylko poeta XVIII w. niehardziej od innych narodowym.

Dla czegoż jest popularnym? pytają.

Bo Karpiński przemawia do serc ogółu, tém właśnie na com wyżej napomknął—egoizmem. Natchnienie jego z tego tylko źródła pochodzi. On jeden prawda ze swojego wieku przemawia do serc, bo cała plejada jego społecznych którzy pieli pieśni konwencjonalne, pieśni odlane w formie zużytej, wytartej i starzej, złożone z ogryzków myśli i ułamków obrazków; nie ma w sobie elementu serdecznego, nie, z czémby sympatyzować można. Jak na zimno tworzyli i szlifowali swoje dzieła, tak na zimno się ich czyta. Jako artyści mają oni swoje zalety, lecz pytam artysta tylko artysta, czém może być dla tłumu, jak może być popularnym, gdy jedynie formę artystyczną ma na celu?

Naruszewicz więc, Trębecki, w części Krasicki, że nie są popularni, a Karpiński nim jest (niezbite fakta tego dowodzą) to nie z powodu, że Karpiński hardziej od nich narodowy. Dla tego tylko, że poeta—egotysta czerpał z serca, uczutém sercem być

może, gdy tamci tylko rozumem krytykowani, rozbierani, ocenieni.

Tém jest Karpiński wyższy od nich i tém ma prawo do popularności, którą jego śpiewy zyskały, że śpiewając o sobie, o tém co istotnie czuł, malował z prawdziwój natury, może więc być uczutym przez każdego; mianowicie gdy uczucia śpiewane przez niego są z rodzaju tych, na które we wszystkich sercach jest miejsce.

Czémże się tłum przejmie w Naruszewiczu, Trębeckim i t. d. tak aby mogli stać się popularnemi i namiętnie zrozumianemi od powszechności? Czy odami do Króla, do JO. i JW. Panów, do piesków Jaśnie Wielmożnych; odami na pokoje, imieniny, portrety, medale, urodziny, zaślubiny??? Okoliczności do których przyklejone były te poezje, z niemi razem poszły w przeszłość i z niej tylko jak ciekawe napisy grobowe, jak materjał historyczny wyglądają.

Przeciwnie, w Karpińskim, *Justyna*, *tęsknota za nią*, *ubolewanie nad losem*, *żale rozstania*, *żale po latach ubiegłej młodości*, i t. p. w czyjémże się nie odbijają sercu? Kto

nie kochał? Kto nie płakał lat nadziei, kto nie westchnął nad biegiem czasu, za którego mgłą, tak się wszystko czarowném wydaje? Powiem więcćj, w tym wieku w którym pisał Karpiński, gdyby był narodowym (czém wówczas nikt nie był całkowicie, bo wszyscy żyli myślą w kraju konwencjonalnym, na Parnasie Kosmopolitycznym) gdyby nim był—można ręczyć, że by go nikt tak nie uczuł, nie zrozumiał, nie chwalił, jak go rozumiano i chwalono; bo wiek ten nie był jeszcze przysposobiony do przyjęcia poezji wyrosłej z ziemi swojej bez pomocy obcego słońca i cudzych wzorów.—Ale to co w poezjach Karpińskiego daje się uczuć, co je czyni popularnemi, co im da długie życie, jest to rzeczą wszystkich lat i krajów. Jest to prostota i naturalność, a nie narodowość—prostota i szczerość wybijające się z trudnością z pod twardej skorupy form konwencjonalnych. Brakło mu też do narodowości, podstawy—uczucia religijnego. A! zawołają wszyscy rokoszujący się nad psalmami, wieczorną jego i ranną modlitwą.—Byćże to może?—Tak jest, Karpiński jak widać

z Pamiętników jego, był nie katolikiem, nie chrześcianinem, tylko Deistą. Toż samo wi-
dać z Rozmów Platona; toż mówi opiesza-
łość w uczęszczaniu do Kościołów, do któ-
rój się przyznaje. Miał on wiarę, ale nie na-
rodową; wiarę swego wieku, religją marzoną
przez francuzkich filozofów. Był cnotliwym,
wierzył w Boga, ale nie okazuje się chrze-
ścianinem, ani pismami, ani życiem. Dla
tego także nie mógł być narodowym. Poëta
narodowy, winien w sobie skupić, wszystkie
uczucia cechowe, zasadne ludu, towarzy-
stwa, które przedstawia. Wpływ XVIII w.
zabił w nim wiarę i może to właśnie nie
dozwoliło mu zostać narodowym poëtą.

Psalmę przekładał jak piękne poëzje, a
sławne swe modlitwy ranną i wieczorną tak
ułożył, że mogą je wszelkiój wiary ludzie
odmawiać.

Nigdy mi się też nie zda, aby Karpiń-
ski w całym znaczeniu wyrazu, był wielkim
poëtą; — że był poëtą *serca*, jak go pospo-
licie mianują, to mimo złego smaku wieku
w którym żył i którego obyczaje powierz-
chownie przejść musiał, mimo form nie-

smacznych, mimo wszystkiego co zaciemia i mroczy jego serdeczność, chętnie zeznają.

On jest z liczby tych poetów, którzy się dają bez uszczerbku tłumaczyć i zarówno uczuć wszędzie. Niéma w jego dziełach tego języka przesiękłego wyziewami swojskimi, niéma w stylu charakteru rodowitego, który by go odznaczył od innych współczesnych. Nareście ducha poezij, okoliczności co je dyktowały, przedmioty, proszę rozbierać, poczynawszy od Justyny do Platona — gdzież są narodowe? Bywają historyczne, lecz takie tylko temata, które są jakby wspólne wszystkim historjom i w sercu każdego Kosmopolity oddźwięk znajdują. Odmień w nich tylko imiona własne, a już po narodowości.

Niech przeto nikt nie myśli, iżbym uporczywie chciał sławie Karpińskiego ubliżyć i ujmować, chcę go tylko, jak umiem i pojmuję, wytłumaczyć.

Karpiński jest dla mnie poetą niepospolitym, w tém, że potrafił w wieku zimnym, formalistycznym, w wieku fraz i dowcipnych faccij poëtycznych, pisać z żywego serca. To mimo często niesmacznych form, mimo

pastérskiego jakiegoś konwencjonalnego świata, mimo Korydonów, Filonów, Lindor przypominających nudny Florjanizm — widzę i przyznaję Karpińskiemu—*Lecz wielki* poëta, poëta twórca, byłby zostawił więcej coś, niż tęschne westchnienia i elegje smutne, niż xiążkę dla dzieci; rozmowy Platona; nie byłby pomyślał o *Bohaterze Straszny* (obacz pamiętniki) którego sam plan jest dzieciństwem.

I ten *Bohater Straszny*, o którym wspomina w *Pamiętnikach*, dowodzi według mnie, pierwszego założenia. Karpiński bowiem, gdy w nim uczucia egotyczne mogące się upoëtyzować ostygły, gdy ochłódl z tęsknoty za Justyną i żalu za nadziejami fortuny i honorów—cóż przedsięwziął? Niepoëmat swój-ski, nie poëtyczną historją, nie narodowego, nie poëtycznego nawet, — zimne marzenia platoniczne i xiążkę dla dzieci, niższą od wszystkiego. Szcęściem jeszcze nie stało mu czasu na uskutecznienie projektu poëmatów dydaktyczno-edukacyjnych, któreby jak wszystkie podobne nie były ani narzędziem

nauki, ani dziełem sztuki, ani natchnieniem serca.

Zostaje Karpińskiemu zasługa, prostoty, czułości; malowania z natury, gdy wszyscy rysowali z wyuczonego świata jakiego nigdzie nie bywało—tych mu nikt nie odejmie.



VII.

ZAMEK I STAROSTWO KO- BRYŃSKIE W ROKU 1597.

w roku 1597.

... ..

... ..

IV

... ..



VII.

**Zamek i Starostwo Kobryńskie
w roku 1597.**



ZDAŁO SIĘ nam ciekawém wyjąć opis
starego Zamku Kobryńskiego i nie-
które szczegóły o samém Starostwie, z da-
wnego inwentarza, dla pokazania jaki był
stan Zamków w środku spokojnego kraju le-
żących, jakie ich opatrzenie, a nareście jaki
zarząd w Starostwach i z nich dochody być

mogły. Opis następujący zasadza się na Inwentarzu z r. 1597 zrobionym przez Kommissarzy Królewskich na rewizją wysłanych, PP. Malchera (Melchiora) Rajskiego, Daniela Domarackiego, i Jarosza Zwierza Podstarościego Brzeskiego.

Zamek jak dziś jeszcze z wałów widać, wedle powszechnego zwyczaju, składał się z górnego i dolnego, w których obrębie mieściło się wiele pomniejszych budowli. Oba Zamki otaczały wały, parkany dranicami kryte i wiele wieżyczek drewnianych także, rozmaitej wielkości.

Wchodząc mostem na rzekę Kobrynkę rzuconym, przechodziło się zaraz Bramę, opatrzoną we wrota i furtę dla pieszych. Na dole w bramie było kilka komór, nad nią górne mieszkania z gankiem, w sieniach wszędzie dla wojska, dworu i czeladzi, wielkie murowane kominy. Drzwi wszystkie w bramie i innych budowlach zamkowych, zamykały się na wrzeciędzie, skoble żelazne, kolea, łańcuchy i kłódki. W porządniejszych świetlicach nawet nad Bramą były kłamki i antaby u drzwi, pobielane. W środku stały

wszędzie lipowe lub sosnowe długie stoły, ławy z poręczami lub bez poręczy. Piece były kaflowe, pisane (rysowane) ceglane lub czarne; okna z blon szklanych w drzewo lub olów oprawnych. Nazwiska blon, pozostały przywiązane do szyb, z czasów, w których okna istotnie w pół przezroczystymi blonami zaciągano. Ławy i stoły lipowe jak się domyślamy, z powodu wyboru drzewa, musiały być niejakiemi rzeźby ozdabiane; o tych jednak nasz inwentarz nie mówi.

Od bramy w lewo ciągnął się parkan dranicami kryty, a nad nim podobnaż wznosiła się wieża narożna. Dalej był dom z komorami, świetlicami, komórkami, alkierzami, w którym ku wygodzie i ozdobie służyły stoły proste, ławy, piece, kominy. Niekiedy stała skrzynia dębowa pod stołem. W lepszych izbach, okna były w ołowiu, za kratami żelaznemi. Przy świetlicach pełno składów, komórek i sionek; wiele drzwi bez zawias i klamek; a ledwie jeden w całym zamku znajdował się zamek wewnętrzny. Za domem stała znowu na parkanie wieża piętrowa, pusta; potem jeszcze, mniejsza narożna. Dalej cią-

gnął się sad ogrodzony w którym kilka śliw, grusz i jabłoni, piwnica i rodzaj altany nazwany gankiem, spiżarnia z piecem czarnym i kominem glinianym; potem dom jeszcze podobny opisanym. W następującej wieży był młyn szrubowany. Z niej wychodziły drzwi na rzekę Muchawiec. Dalej jeszcze stały w podwórzu: stajnie, studnia, znowu wieża i brama do górnego Zamku. Pod parkanem wiodącym ku górnemu Zamkowi, był lamus zameczysty z żelaznemi drzwiami i wieża w której złożono stary wzwód (most zwodzony) piętrowa.

Most do Zamku górnego stary był i chwiejący na palach, wpośrodku jego stała łaźnia dosyć porządna, z piecem polewanym i kominami; zameczysta. W bramie u mostu był wzwód na biegunach żelaznych i fórta osobna. Brama ta równie jak pierwsza była mieszkalna, piętrowa. Od bramy zaczynały się na okół wieże górnego Zamku, połączone z sobą zabudowaniem, stanowiącém jakby mur okólny.

Niektóre drzwi wież były łańcuchami zawlekane i zamykane kłódkami ze skoblami

i kolcami. W środku stały inne budowle opuszczone. Blankowanie wszystkie Zamku dranicami pobite, cieśninami pomoszczone.

Cale opatrzenie zamku w r. 1597 stanowiły dwa tylko działa lane, z których jednemu brakło szruby; cztery serpentyny cale a piąty rozerwany, hakownie szesnaście, a jedna rozerwana, z której tylko sztuka została (kawal), rusznice siedemnaście, prochownic osiem, ładunków do serpentyn sześć, kije do nabijania mosiężny i żelazny, różnów żelaznych dwa, siarki kawal na dwie piędzi, ołowiu sztuka niewielka, kul żelaznych niespełna trzy kopy, kamiennych, kop trzy! Strzeż Boże od nieprzyjaciela!

Zwracamy tu uwagę na kule kamienne, których znajdowanie na horodyszczach, czasem biorą, za oznakę oblężeń wytrzymanych w XIV wieku. Pokazuje się ztąd, że w XVI jeszcze nie wyszły były z użycia zupełnie.

Nadzór nad tą bronią, miał puszkarz Zamkowy jeden (drugi był umarł) stary — trzymał za to dwie włóki gruntu. Powinien był strzelby opatrzyć, ochędożyć i co rok zrobić rusznice sześć. Przez wzgląd na siwe

włosy, dozwolono mu ich robić tylko po cztery; gdyż sam sobie wprzód dozwolił nie robić. Materiał skarb dostarczał. Było też do opatrywania żelaztwa dwóch kowalów Zamkowych; ci także trzymali grunt i robili co było potrzeba do Zamku, z materiału skarbowego.

Trzój gontarze Zamkowi dostarczali na poprawę i pokrycie nowych dachów, po trzydzieści kop gontów. Poddani obowiązani byli, wedle przywileju Królowej Anny (a raczej wedle starodawnego zwyczaju) zamczysko naprawiać, potrzebne nowe budowle stawiać, grobel i upustów młynowych doglądać.

Wyrabiali oni jeszcze rok rocznie Komięgi z drzewa puszczy Kobryńskiej z włosci po jednej, w ogóle sześć; temi do portu zboże ze Starostwa i działkielne dostawiano. Podwody na zapotrzebowanie, każdy dawał po dwie fury w rok, o mil dwadzieścia, nie więcej.

Dochody z miasta Kobrynia stanowiły najglówniej opłaty od placów (wyjawszy Pana Wójta Ostaphieja Buchowieckiego

trzymającego półczwartęj włóki). Wielu mieszczan miało od téj opłaty uwolnienie za listami Królewskimi, inni się składają zwyczajem nieplacenia i także nie placili. Dochody czynszowe z miasta wynosiły kop 98, 5 $\frac{1}{2}$.

Karczmy różniano: miodowe (tych było piętnaście) i piwne (liczono ich dziewiętnaście). Placono od nich po kopie. Niektórzy trzymali szynki bez opłaty, jako Panny Konstancja i Anna, Piotra *Włocha* córki i t. d.

Placili też rzeźnicy; a od Sądów Wójtowskich szły dwa grosze na Króla, trzeci na Wójta, z tego się w r. 1597, zebrały trzy kopy! Cały dochód z miasta wynosił kop sto dziewięćdziesiąt osiem, (52, 5 $\frac{1}{2}$).

Jeszcze słów kilka o włościach i folwarkach Starostwa. Tam gdzie nie było paszni folwarcznej do obrabiania, chłopci placili z włóki czynsz, za odwóz owsa, za siano, za gęsi, kury, jaja, za niewody, za stację, osadę, tlokę i stróżowszczyznę.

Grunta w siołach były pomierzone i rozklasyfikowane, co do gatunku; młyny i karczmy szły arędą. Tak zwani ogrodnicy

(osadnicy na ogrodach) robili tylko dzień w tygodniu; kobiety dni sześć.

Oto jest próba urodzaju i dochodów ze zbioru. W folwarku Zamkowym Kobryńskim w r. 1596 na pięciu włokach użęto żyta kop osiem, namłócić z nich miano korcy pięćdziesiąt, wysiać trzydzieści, a zostawało, na *wychowanie urzędowe* (utrzymanie rządcy i pomocników) dwadzieścia. Jakże to były kopy pojąć nie można. W niektórych folwarkach, zaprowadzono gorzelnie, składające się z kotła i dwóch kadzi.

Z wszystkich dochodów starosta (rządca) brał trzecią beczkę zboża i dziesiąty grosz z gotowizny, za pracę.



VIII.

DROHICZYN.

Podróż po szybach karczemnych.



VIII.

DROHICZYN.

Podróż po szybach karczemnych.*1858. 11 Kwietnia.*

—  NOCZYŚCIE mnie mieli ukamienio-
wać, zabić, ukrzyżować lub głodem umorzyć za mój ciężki grzech — ja taki muszę pisać! Tak jest muszę — nie nazwę tego inaczéj jak musem. Oto trzeci dzień drogi, a już nie mogę pohamować nieszczęsnego popędu, chwytam żydowsko-obrzydliwy,

splugawiony kałamarz, pióro wycheltane brudnemi ich rękoma, papier pogięty i chropawy—zamykam się w sobie i piszę. Nie tyle mi dojmuję niewygodą podróży, nie tyle reumatyzmy, nie tyle głód, nie tyle krzyki całej Synagogi przez ścianę sahedrynującą—ile ta potrzeba pisania, pragnienie wylania się. Jakże teraz słodko dorwać się pióra i znowu wjechać w ten świat o tyle lepszy od rzeczywistego, w świat myśli, marzeń, rozpraw, świat pośredni między dwoma które znamy, przedśionek świata którego pojąć nie umiemy—duchów i aniołów.

Jednakże zmuszony do pisania trzydniowym spragnieniem, byłbym zapewne wcale co innego pisał, gdyby nie jedno słowo na szybie okna. Jedno, raczej dwa, ale zadziwiające, jak sami zaraz uznacie, jeśli się zdobędziecie na potrzebną do przeczytania tych kilkudziesiąt wierszy, cierpliwość.

Jechałem z Wołynia do Litwy, przebywszy pustynie piasków od Kolków do Janowa rozciągające swe płowe cielsko, jak polip-monstrualny w morzu, napatrzywszy się jednostajnych wsi, lichych mięscin, dużo

błot kępiastych, młynów, karczem i drzew
 jeszcze niezielonych w Kwietniu; zbliżałem
 się do celu. Po takiej drodze, którą osła-
 dzał dość nie wygodny z formatu Volumen
 historij Heidensteina, wjechałem nareście do
 Drohiczyna. (Jest to miasteczko podobne
 innym, o których nie szczególnego powie-
 dzić nie można; chyba to może, że wspólne
 imie mając z Drohiczyńnem drugim, mogło
 być także, stolicą doczesną, jakiej wędro-
 wnej gromady Jaćwieżów.) W położeniu
 piaszczysto-blotnistém, ciągnie się nad gro-
 blami kilka uliczek z chat i żydowskich do-
 mów złożonych; wpośrodku nad głowami
 przechodzą symboliczne Izraelskie sznury łą-
 czące pokrewne domostwa; na drodze gniją
 w kałużach połamane koła i kupy pazdzie-
 rzy. Gdzieniegdzie sunie się ścieżka wysła-
 na słomą, ceglami, kawalkami drzewa, gro-
 ble na oceanie błota, gdzieniegdzie karczma
 rozdziawia nienasycone wrota — Dalej kra-
 miki puste i spokojne, kramiki w których
 raz na tydzień targują. Brzegiem ulic skaczą
 obdarte dzieci, przechadzają się żydzi powa-
 żni, podlatują pracowite ptaszęta, szukające

ziarna, które dla nich Bóg sypie przez nieostróżne a zazdrosne ręce człowieka.

W tak lichój to mieścinie do noclegu się zabićiałem, mimo protestacji wszystkich pięciu zmysłów, cierpiących od wrzawy, brudu i woni różnorodnych. Chcąc Reinolda Heidenstejna lepićj umieścić od siebie, położyłem go spać w powozie, przekonawszy się, że nie boi się reumatyzmu.

Chodziłem, myślałem, patrząc to na wrzącą w samowarku wodę, to na gołe ściany, to na fizjognomje Izraelitów mimo surowego zakazu przesuwających się po izbie to na pocziwego Lubka, wachającego po kątach i swoim sposobem badającego przeszłość. Aż niespodzianie, gdy tak chodzę, spójrzałem na okna, spostrzegłem na nich napisy.

Jakkolwiek one bywają zwyczajnie dość głupie (przepraszam za wyraz, ale w tej chwili nié mam innego pod ręką) wziąłem się jednak do czytania ich, bo i to jest gałęź literatury popularnej a zaprawdę bardzo charakterystycznej. Wprawdzie niekiedy w nich *vox populi* odzywa się dość grubo i tłusto, ale któżby tego naiwnój prostocie nie przebaczył,

co się czasem umyślnemu naciąganiu plazem puszcza? Wprawdzie często niéma sensu w tych napisach, ale dziś tyle osób pisze bez sensu w xiążkach za pozwoleniem Cenzury drukowanych i dedykacjami, przemowami i spisami opatrzonych, że szybowym literatom wolno toż uczynić przecie. — Wprawdzie — jest jeszcze kilkadziesiąt przynajmniej zarzutów przeciw téj literaturze, ale samo miejsce wymaga pobłażania, karczma bowiem jest to w dzisiejszym stanie towarzystwa i sposobie życia, jedyne miejsce swobodne od etykiety i przeklętych, niecznośnych konwenansów, które spowijają człowieka, tak, że się ruszyć nie może, tylko tam gdzie mu raczą pozwolić.

Przystąpiłem więc uradowany z pełną do pobłażania skłonnością, ku oknom Drohyczynskiej gospody. Wyznam wam że z początku ta praca w decyfrowaniu rękopismów szklanych, była bardzo ciężka, nigdy się tyle nad Aktami Slachetnego Magistratu Wileńskiego nie napocił. Lecz ciekawość a raczej potrzeba zatrudnienia przemogła wszystko.

Pierwszy stał napis:

— Tu nocował Leonard roku 1829 d. 15 Marca.

Kto to był? po co się zapisał?—Ani śladu! Washington Irving, co tak dowcipnie, śledził Shakspearą, po jego pamiątkach w Londyńskiej gospodzie, tuby nawet sam nie nie potrafił zrobić, dla najzupełniejszego braku materiałów. Czemż ten P. Leonard, choć dwóch słów więcej nie dodał, byłaby Biografja do Encyklopedij gotowa i zaiste warta wielu innych w niej zawartych. Myślałem jeszcze o nieznanym P. Leonardzie, który tak dobrowolnie pozbawił się zaszczytu figurowania w dwukolumnowej, dziesięciotomowej Encyklopedij, gdym trafił na tę wyborną piosnkę ruską, wyciętą pochyło na szybie:

*Piszou Oponas,
Po horyłku dla nas.
Zaczepiwsia o peń
I stojau cilyj deń.*

Nie jestże to obrazek dostateczniej malujący charakter, od niejednej amplifikacji we XXIV pieśniach, lub XCIX Rozdziałach nowomodnych?? Widziemy żywemi oczyma

tego Oponasa, jak gdybyśmy go od stu lat znali, lub sąsiadowali z nim; widzimy jak idzie, jak się w głowę skrobie, jak się zapatrzywszy na latające wrony o pień zawadza i w dobrodusznój cierpliwości, czeka żeby go kto odplatać raczył! Wieluż to Oponasów w literaturze naszej, co muszą prosić ludzi, żeby ich odplatali, gdy się o co nieostróżnie zaczepią! Biedni Oponasowie!

Żegnając to arcydzieło szybowej literatury, przeniosłem się z badaniem na drugą szybę, na której leżała, stała czy wisiała niewiem, sentymentalna cyfra—

J. P.

z wykrzyknikiem—Ach! dopiskiem—Souvenir! a u spodu ze szkaradnym bluźnierstwem dopisanem ręką obcą, przywiązanem do niej jak psu do szyi kamień, wiedzionemu na utopienie. Odczytałem dopisek ze zgrozą, jak gdybym miał szczęście kochać kiedy tę *J. P.* i być kochanym wzajemnie, co mi się najmniej zdarza. Pelen oburzenia podniosłem jeszcze oczy i znalazłem się w obliczu wierszy których powtórzyć nie mogę—

Zostawuję je Balzakowi za dewizę do

nowego dziesiątka: *Contes drolatiques*. Gdybym kiedy jednak doszedł do dostatków tych ludzi którzy noszą brylantowe pierścionki, wytarlbym z szyby dewizę, a z xięgarni xiążkę Balzac'a—gdyby to było podobna.

Następowała data.

—M. P. 1829. dnia 15 Maja. Koło mi się złamało i cały dzień w karczmie się nudziłem.

Drugi dopisał:

—Głupiś kiedyś się z sobą nudził—(Otwartość szczególna!)

Trzeci dodał:

Kochasz się bardzo, gdy się sobą tak umiesz delektować!—

Czwarty znowu:

—A ty się sobą brzydzisz, kiedy siebie znieść nie możesz—

Na tém koniec polemiki. Znalazłem ja tém mianowicie lepszą od naszój w gazetach i dziennikach, że prosto i lakonicznie trafiała do celu; co się innym nie zdarza. Długo one objeżdżają swój przedmiot, jak ciężkie wozy kalużę błotnistą.

Na drugiem oknie były pojedyncze wy-

krzykniki i cyfry, chętki i nagabania do napisów, próby nieforemne, które rękę niewprawną i źle szlifowany brylant, jeśli nie z drogi uchwycony, prosty krzemień zdradzały. Były to występy (debut) młodych autorów szybowych, poczynających.

Między niemi jaśniał napis:

— „Salut, o douce èsperance!

Francuszczyzna kazała mi o szczerości westchnienia powątpiewać — Czemuż raczej nie—

Witaj mi słodka nadziejo!

Byłoby to tak harmonijnie, tak patetycznie i tak giętko do rymu, że ci, co się poświęcają ciekawemu zatrudnieniu dobiérania podartych lachmanów, starych myśli do rymów, byliby z tego jednego początku, cały arkusz blade - różowej poëzji, latwiuteńko utworzyli.

Daléj po rusku zapisał się podporucznik huzarów, lecz za pozwoleniem wszystkich podporuczników i wszystkich huzarów, a nadewszystko moich przyjaciół, jakich mam lub mieć mogę, na tym wysokim stopniu — co można za uwagę zrobić nad podporucznikiem

huzarów! Gdyby jeszcze siedział na koniu, byłaby mowa o koniu—Tak zaś o pieszo idącym po szybie — najmniejszój uwagi niema sposobu zrobić.

Już mi do dalszych badań cierpliwości trochę brakło, gdym napotkał historją arcy ciekawą, a dotąd nie wydaną, pod tytułem—Ach!

Że też nikt dziś, w XIX wieku, nikt tyle nie wzdycha, co szyby karczemne! Dalej było :

—„Kochałem cię długo, wiernie, stale, ty mnie troszkę, od niechcenia — Kochasz mnie teraz (?) ale ja już nie. F. D.

Otóż masz! Proszę jednak, czy w tych dwóch wierszach, niema całego romansu, półtora wodewila, czterech piosnek i piętnastu Epigrammatów! Nigdzie, tyle materjałów dla belletrystów, literatów, poetów, co na szybach karczemnych — A jakie materjaly! Nie tknięte, nie zużyte! Ci co ciągle wachają tylko kogoby naśladować i przeдрzeźniać, nie umiejąc sami sobie materjałów znaleźć, powinni by się do szyb obrócić—

czeka ich plan niespodziany i pole sierpem nie tknięte.

Następna szyba dolna, wielka, czysta, zapisana była charakterem wyraźnym, pochylym i wprawnym. Spójrzałem na nią, przeczytałem napis, nie wierzyłem oczom moim, przetarłem i czytałem znowu, powtórę, potrzączę, poczwarte. To Imię! w Drohiczyń-
nie, i gdzie?? Na szybie karczemnej! To imię!!

Pozwalam wam zgadywać do stu razy, ręczę, że nie zgadniecie imienia.

W powiecie Kobryńskim, miasteczku Drohiczyń-
nie, w karczmie, na szybie napisano było:

Victor Hugo!

I jakże nie mają dowodzić, że szlachta nasza, pokrewna jest Gallom? Ze wszystkich dowodów na stronę tego przypuszczenia, moralne sympatje, są podobno największym, najmocniejszym!

Pokaż mi drugi kraj, w którego odludnym kącie, stałoby to imię??



IX.

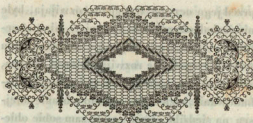
DOMY I LUDZIE.

Wędrówka 1856 roku.

IX

DOMY I LUDZIE

Wychódka 1876 roku



IX.

Domy i ludzie.*Wędrówka 1836 roku.*

GZY UWAŻAŁ Z WAS kto kiedy, że jak żółwia po skorupie, człowieka poznać można po jego mieszkaniu? że (wyjawszy tylko niektóre przypadki) człowiek zawsze kącik w którym żyje, takim czyni jak jest sam, sobie podobnym? Kto się o tém przekonał, dla tego najmnień zajmująca podróż jest wiele znacząca, bo wszystkie symbole charakterów

przed jego oczyma w niej się rozwijają, byle nie jechał stepami lub pustynią. Nie potrzeba nawet do środka domów zaglądać, tam tylko szczegółowie rozwija się myśl główna, widoczna już z samój powierzchowności. Zbudowania, dziedzińce, samo obranie miejsca na siedzibę, (jeśli je kto sam sobie obiecał) dostatecznie mówią.

Chwałą nam z porządných mieszkań niemieckie kraje, lecz tam jeśli jedno obejrzysz, już prawie znasz wszystkie i resztę drogi spać możesz; zmieniają się położenia, ale domki zawsze też same, czyste, białe, z zielonemi okiennicami, z wymiecionym dziedzińcem, jednakowe jak bliźnięta, czyste jak Niemeczki, ciche jak praca, a zimne jak rozum Germanów; tam chcąc lepij poznać charaktery mieszkańców, trzeba być w środku—U nas! u nas! to zupełnie co innego.

Naprzód—spostrzegasz dom wielki, drewniany, z wysokim dachem, z gankiem o kulawych, wyszczerbionych wschodkach, długie stodoly, obory, gumna wysokie, kilka wiśniowych drzew, zwieszających się na drogę, przez splecioną wartę wirginjowych

gałęzi. Na dziedzińcu kury, gęsi, kaczki, stado indyków, gosposia w brudnym szlafroczku, ekonom z batogiem, namiestnik w słomianym kapeluszu, żyd z rękami w kieszeniach, (bo żyd trzyma zawsze ręce w kieszeniach; jak astronom oczy w niebie) wózek albo dobrze nazwana bięda (z biędy się nią tylko jeździ) przywiązana u wrót połamanych, przez środek podwórza przewieszony malowniczo sznur długi, na którym używają świeżego powietrza, różnego wieku, kształtu i barwy, koszule, chustki, prześcieradła. Znajdziesz w téj ciekawéj kolekcji, godnéj nie jednego prowincjonalnego muzeum; zabytki odległej starożytności, obok świeżych wcale utworów; szarą jeszcze bieliznę domową i dziurawą hollenderską, dziecinne stroiki i kobiece fartuszki i męskie — (nie lękajcie się państwo) kamizelki z wyżółkłej piki. Wiecie kto tu mieszka? Nieochybnie dzierżawca, nie właściciel. Jest to majątek skarbowy lub wielkiego jakiegoś pana, który z niego ciągnąc soki pożywne, nie raczy w nim mieszkać, ani tu nawet zajrzeć!

Jedźmy dalej—Domek malenki skurczony,

zgarbiony; przez jedynak komin słup się dymu wysuwa, ławeczki na ganku, pies na dziedzińcu zarosłym murawą, ogród zasiany konopiami, wśród których powiewa fantastyczne godło krytyki—straszydło na wróble—
 Dalej stara grusza, pod nią sielankowa altanka z fasoli.

Na oknach widać geranium i kornaliny, w sieniach wiszą wianki dożynkowe i kapelusze słomiany, zielonym alepinem podszyty.—
 Cicho—tylko kogut pieje na płocie, i w stodołce słychać bicie cepów i śmiechy. Przy stajni chłopak, tłusty, rumiany a brudny, naprawia siodło. Jest to mieszkanie ubogiego szlachcica.

Ruszajmy jeszcze! Szeroka, wysadzona droga, kuźnia murowana, kołowroty same się zamykają za tobą (nie odmykają się jednak same) w dali widać klomby topoli, lip i świrków, a nad niemi wygięty dach domku chińskiego — Jedź cicho woźnico, nie klaskaj z bicia, powoli, powoli, tu mieszkają panowie, — ach! panowie — ci, co to się rodzą w batystowych koszulach, a umierając kładą w axamitem wybitych trumnach.—Zbliżamy

się — dziedziniec zielony, nie ogrodzony, wkoło droga żwirem wysypana na środku dwie lipy stare, pod niemi gotycka ławka z lanego żelaza, na ławce biały szal wisi, xiążka leży — Nie prawdaż że miło siedzieć tu spokojnie i nic nie robić i dumać i czytać i mieć jeszcze cały świat na usługi, cały świat! mój Boże! Gdyby mi kto dał takie życie bogacza, gdzie w kątku, zachciałoby mi się żyć niezmiernie długo, gdyby — gdyby — Jest tu ludzkie, *ale i gdyby* — Wszak to oni na spleen chorują? oni chorują na nieplacenie długów; na — Nie będę więc wyliczał.

Na ganku pełno kwiatów, wśród których z jednej strony wyżeł faworyt śpi na poduszce, z drugiej dwóch lokajów gra w karty. W oknach widać dwufarbne firanki i dźwięk wiedeńskiego fortepianu wylatuje ku nam powoli — Jedź zwolna — O Mejerberze, czemuż cię dłużej posłuchać nie można!

Na boku oranżerja, dalej wejście do ogrodu, drzwiczki gotyckie, mostek gotycki — jesteśmy w Anglii, albo w średnich wiekach. Zwolna jedź, zwolna. Czy widzisz tam kocz zaprzężony przed stajnią i dwa konie osio-

dlane; jadą na przechadzkę—ale nas nie wezmą z sobą—Ruszał woźnico dalej—Za nami nikną klomby, aleje, furtki, mostki i powiewne firanki i dźwięk fortepianu.—Ustępuj z drogi, dogonili nas panowie; zdejmijmy kapelusze, ukłońmy się im nisko—W koczach siedzą dwie kobiety, na koniach dwóch chłopczyków—Szczęśliwi! panowie śmieją się z naszej bryczki i chudych szkap—My się nie śmiejemy z ich długów i wytartego czoła—litujmy się nad niemi—Minęli nas! odechnąłem—

A toż znowu co z za drzew wygląda? fabryka czy pałac? szpichlerz czy karczma? zaraz zobaczymy, zaraz. Zwolna otoż jesteśmy. I to pałac, i tu pan mieszka; ale jakiś wczorajszy; tu wszystko wczorajsze jeszcze, ogród nowo założony, w którym widać same kolki; wielki pałac pogardzający architekturą, skarbiec nakryty dachówką, kuchnia z pierzastym kominem, i jeszcze coś małego murowanego. Wszystko to otacza mur, na którym z rzadka gliniane urny stoją (naśladowanie). Tuż za murem pod pałacem stodoła w ruinach, obora bez dachu, wieś błotnista,

kaluże niezgruntowane, mosty leżące na drodze obok rowów, kupy gruzów, śmiecia, gnoju—Jasny Pan niemiał czasu się jeszcze urządzić, świeżo, świeżutko zrobił fortunę na podradach, i świeżutko kupił majątek—Gdzieżeśmy to zajechali? zawróć woźnico, to mieszkanie Geldhaba. I obiady nam nie dali i w karczmiaby zdarli. Czy widzisz tam, na frontonie malują herby, worek z mąką w złotém polu i świeca lojowa na helmie! Kocz i dwie karęty złociste wyglądają z wozowni, krzyk słychać—Kogoś biją! Za węglem oglądając się chłopiec odarty w piaskowej liberij suszy butelkę wina skradzioną. Mówię ci że to mieszkanie Geldhaba, ruszajmy dalej, nie zatrzymujmy się—

Znowu dwór jakiś. Grobla rozbita zupełnie—muszą tu być bogate panny (albo bardzo ładne) na wydaniu. Domek drewniany, obrosły drzewami, kompas i latarnia na środku dziedzińca, stoją przeciw sobie, jak do pojedynku. U drzwi koczyk wytworny z obdartym woźnicą, bryczka tłustemi końmi zaprzęzona, angliczowany koń wierzchowy i drożka ruska. Wszystko to powozy konkur-

rentów. Na oknach widać bukiety, róże. Szpie tłusty szczeka wysadziwszy głowę z za wazoników, słychać gitarę, śpiew, śmiechy. Na dziedzińcu hoże pokojówki, nie tracąc czasu, którego ich panie tak dobrze używają, uśmiechają się do lokajów, którzy z gapowatą miną przysięgają im stałą miłość w obliczu pełnych podziwienia, trawionych zazdrością furmanów; ściskają, całują serdecznie, platonicznie, czerwone i nakłute łapy panien fraucymerowych. Za cóż Linneusz — ale tego nie dokończę lepiej — Na boku, w folwarcznym domu, namiestnik umizga się do kluczów wiszących u pasa szafarki, dwa koty na dachu, miauczą do siebie miłośnie, dwa psy kręcą ogonami patrząc się sobie w oczy.

W ogrodzie altana, na której dachu, zamiast chorągiewki, kręci się, biędne, samotne, przebite serce (z XVIII wieku mdłych Florjanowskich Idylli). Na drzewach pełno cyfr, achów, wierszy i napisów. Jest to stolica miłości widocznie, wyjątek z karty kraju, przez Sapho-Seuderi odrysowanój na wieczny śmiech potomności, lub na wieczne

lzy (to zależy od dyspozycji)—Świadczą daty na starych lipach i brzozech, jak dawno zajął się tu serdeczny pożar—Kiedyż go zgasi święcona stula? kiedyż?

Na środku wsi bardzo romansowie, słup osadzony *smętnemi* swierkami, pod nim ławka, w koło niej róże! Brak tylko Pani de Genlis lub Marmontel'a, żeby te dziewiczych sere dziela, dziewiczych miłostek jawne ślady, opisem unieśmiertelnili—Brak tylko profana, coby, podjawszy różową zasłonę, pokazał nagą prawdę pod spodem—ach! jak nieplatonieczną, jak mięsisto-plastyczną—Biedne ludziska—Dość już tego, popędzaj, popędzaj!

Znowu dwór.

Ale przed samym dworem dwa młyny ogromne, tartak, słodownia, browar z pompą ubraną w pokrowiec słomiany, wołownia, owczarnia, hollendernia, ogród zasadzony w kwadraty, a w środku kartoflami zasiany. Wrota mocne, nad każdą różgą wisi *ad intente*, tym coby ich za sobą lenili się zamykać, różga na łące, hieroglif łatwego wykładu *ad usum* pastuchów; różga z fajką na słupie, ostrzeżenie jasne dla niepohamowa-

nych fajkarzy, wszędzie różgi. Żyję tu na świecie!! Domu mieszkalnego nie widzę! Przepraszam, stoi on między chlewami, studnią, stajnią i folwarkiem; drzwi i okna pozamykane, na dziedzińcu myją owce, strzygą owce, doją krowy. Wszystko tu oznacza gospodarza lecz czy ten człowiek tak wybornie zrozumiałwszy Kurowskiego, zrozumiał i pojął życie? Zbiera i chowa pieniądze, to cały jego rozum; przedziwny żydowski rozum; używa tego co ma, jak tego czego niema, przez przeczcucie mocy posiadania. Zresztą wolno mu i tak być szczęśliwym. Ale—czy widzisz tego ubogiego odchodzącego od drzwi z próżną torbą i poszczutego psami, któren się im broni gdzie indziej wyżebrany chlebem! Biedny ubogi, po co tu zaszedł!

Czy widzisz chłopca, którego biją za to, że owca stara zdechła? biedny chłopiec!

I tego otylego rumianego jegomości, który chodzi w koło z fajką, podparłszy się w boki. Szczęśliwy pan, żaden krzyk nie zmarszczył mu czoła! Ekonomuje u siebie z prawdziwą gorliwością i poświęceniem; dalbym mu trzy-sta złotych, żeby chciał służyć u mnie.

Trochę dalej domek niski, w koło leszczy-
na, szpaler lipowy i grusze stoletnie, na któ-
rych drobne owoce, zmalale wiekiem, wiszą
(jak ulotne poëzje starego, zdziczałego i za-
rdzewiałego klasyka) — W ogrodzie krzyż
stoi, na progu mężczyzna w długiej sukni
z xiążką w ręku, udaje że nie słucha gdaka-
nia podżylłej gospodyni, która mu w uszy
wrzészeczy, udając sobie że gđerze na chłopca
posługacza. Witam cię xiężu plebanie — Nie
przeszkadzam, kończ nieszpór.

Niedaleko znowu inny widok. Ploty po-
rozwalane, dom nowy ale brudny, powierz-
chu nawet; komin pęknięty i okopcony,
czarny dym, bucha z niego bezustanku. Na-
przeciw drzwi, na pagórku, sklepiki, tuż
lodownia. Na dziedzińcu tarcza postrzelana,
stajnia przez ścianę od domu, na bramie
rozpięte zwłoki zabitego jastrzębia, z roz-
dartemi skrzydły. Na barjerach porąbanych
schną ubiory myśliwskie; psy wyją, konie
rżą, kobiety krzyczą, panowie się śmieją,
słudzy klaskają z biczów i trąbą. Krzyk,
hałas! Popędzaj — Czuję po stęchliznie sta-

rego kawalera myśliwca z nudów i nalogu.

Jedziemy znownu.

Spuszczamy się z góry. Co za śliczny widok! tam na pagórku domek biały, świeży, w zielonym wianku topoli, u stop jego w dębowych zaroślach, płynie rzeczulka, klomby jaśnieją kwiatami naszych lasów; altana nie chińska przecie, ale spleciona z brzozowych gałęzi; dalej, pod brzozą także, krzyż stoi nad drogą, a pod nim kamień szeroki. Tuż i mogiłnik wieśniaczy z krzyżkami białymi, kamieniami, domki i żółtymi piaszczystymi groby. Słońce wschodzi! Stary żołnierz w świątecznej odzieży, stoi na grobie, który jako w dzień pierwszy Zielonych świątek, przyszedł posypać zielonym liściem tataraku i odświeżyć dom śmierci. Biedny wysypawszy liście które przyniosł, stoi nad mogiłą z założonemi rękami, ze spuszczoną głową—Jakże tu nie zawołać z Molièrem. — Gdzież się szczéry żal chowa! Gdyby nie było nadziei za grobem, cóżby warte było to życie.

Powoli. Oto stary dom ogromny, z dachem we dwie kondygnacje nastrzępionym

kominami, połowa okien zaklejona papierem, dach połatany słomą, na środku podwórza kałuża, zabudowania garbate, krzywe, wszystkie drzwi otworem. Trzech żydów na progu, w stajni słychać skrzypce i śpiew ochrzypły, w kuchni klótnie, w domu trzaskanie drzwiami i krzyki. Długi opasały tę nieszczęsną siedzibę, exdywizja rozwiesiła nad nią pstrokate skrzydła swoje, z obligów uszyte—Uciekajmy! uciekajmy.

Tu zupełnie co innego — pomieszkanie państwa młodych. Wszędzie świeżo, wesoło, jak pierwszych dni wiosny, pierwszych dni po ślubie, jak wszystkich pierwszych dni. Bo los każdemu stworzeniu daje zjeść przysmak na początku żeby się przez resztę życia obliżywało. Domek biały i czysty, nowe wrota, parkan nowy, drzewka poprzywiązywane do kolków (symbol małżeństwa) — Cicho jeszcze! Śpią! ale już jakiś Kasperek Fredrowski czyści na progu tacę, na której im kawę poniesie. W pokojach bawialnych okna otwarte, widać nowe fortepiano, lampę i książki na stoliku, kanwę samą pani, fajkę samego pana i niewinną sia-

tkę ubogięj panienki, którą sobie młoda mę-
żatka dobrała na spektatora swojego szczę-
ścia. Dla niej niewiem czy tak dalece przy-
jemnie patrzeć na to, czego się uboga, niela-
dna, nie prędko, może nigdy—nie doczeka.

Czy widzisz tam na górze stojący gołę-
bnik i stary dom wielki czarny, między dwie-
ma sadzawkami, naprzeciw drogi? Jest to
mieszkanie dwojga staruszków. Jeśli tedy
przejeżdżać będziesz, o ósmej, postrzeżesz
niechybnie oboje rozmawiających na ganku
z ekonomem wąsatym, który tylko dla czy-
stěj ceremonij przychodzi się pytać o rozka-
zy, gdyż sam tu rządzi i mógłby pańskie
konie ze stajni wyrugować, gdyby dla jego
stadniny miejsca zabrakło. O dwunastej po-
słyszysz niechybnie dzwon kuchenny i ujrzysz
urzędników dworu ciągnących się poważnie
na obiad. O dziewiątej wieczorněj żadnego
światła w oknach, wszyscy śpią; tylko Eko-
nom gra jeszcze na skrzypcach dla gardero-
bianěj, która wychyliwszy się z okna słucha,
słodką z wirtuozem prowadząc rozmowę. Za-
usznik pana Ekonoma, gumieny stoi na boku
i cierpliwem znoszeniem ostrych żartów

Panny Petronelli, zasługuje się w oczach wszechwładnego Ekonoma, pewien będąc w nagrodę pośladów dla wierzchowca.

Pałac i fronton, na którym pół herbarza Niesieckiego odmalowano i pokryto wyobrażeniem korony o symbolicznych dziewięciu perlach. Zdejm czapkę woźnico, ukłoń się, pan stoi, pan, w oknie swego arystokratycznego gniazda. Dumny jak ostatnia kolumna, która pałac przetrwała, spogląda stoicznie na wróble, za łożę małżeńskie obierające sobie gipsową koronę frontonu, w której gniazdo ścielą świergocząc. Zdaje się im wyrzucać profanacją! Lecz nie pierwsza to ani ostatnia. Widzisz jak się tam wali jedno skrzydło pałacu, którego okna już deskami pozabijano, widzisz zarosły dziedziniec, opuszczone szerokie mury, wypelzłe malowania ścian, porozbijane gżemsy—pójdą i herby za niemi; zostanie kawał ściany, trochę dachu, przytulisko dla sów i puszczaków — Dziewięcioperłowa korona dłużej wróblom zapewne niż swemu panu służyć będzie. Smutny widok każdej ruiny, gołe mury, puste okna, spelzłe napisy i malowidła, schody nie

mające końca, jak życie bez celu, mimowoli przypominają te dni, w których tu było życie, wrzawa, śmiechy po których miały nastąpić sowy i jaskółki dziedzice w prostej linii, nierządu i głupstwa. Ruiny smutniejsze są od grobów: za grobami jest przyszłość wiary, za ruinami przeszłość tylko.

Jeszcześmy nie widzieli nic podobnego. Domek małeńki, dziedziniec małeńki, drzewa stare; cicho, spokojnie, na ganku kołyska dziecięcia, na podwórzu niańka z dzieckiem nad sadzawką dwoje dzieci na kijach. Sam pan koło stodoly, sama pani koło spiżarni, wszędzie ruch i praca i wesołe głoski małych cherubinków, których świat może w Belzebubów przerobi. Na oknach widać lalki i koniki, dziecinny wózek przed gankiem, ogródki dziecinne, u progu, sadzaweczki, sklepiki. Czyż nie rozumiesz tych ludzi, którzy tylko w dzieciach i dla dzieci żyją?

Ruszajmy dalej.

Stary dom z obitym tynkiem, ganek na dwóch słupkach się chwieje, okiennice po jedném uchu tylko mające, wiszą w prawo i w lewo, kolkami popodpiérane; ale dzie-

dziniec pełen powozów, koni, ludzi, w domku brzmi muzyka. Wesolo się bawią państwo, a poddani piszczą, a dłużnicy się skrobą, a balik po baliku doganiają się bez oddechu. Już dziesięć lat brzmi tu muzyka; Długo jeszcze tak będzie! — Póki stanie latwowiernych, żydów, chłopów, pieniędzy i życia.

Zjeżdżamy z góry, u stop naszych na wzgórkach porozrzucane malują się liczne wioski, gaje, dworki, bieleją cerkiewki. Bliżej w topolach i lipach, w zaroślach leszczynowych, za białą bramką, zielenieje trawnik szeroki. Domu nie widać — Na tomiast w lewo stara babusia stodoła na kulach z rozwianym włosem (słomą na dachu) uśmiecha się do ciebie — Za nią nowa owieczarnia czerwienieje, dalej studnia, a w lewo jeszcze folwarczny dom niewielki. Dom ukrył się w ogrodzie umyślnie zapewne, żeby nie bił ludziom w oczy; wkoło niego klomby zielone szeroki trawnik i ogród cichy, na którego wierzchołkach gruchają dzikie gołębie.

Zmordowaliście się podróżą! Jesteśmy też w domu — Wróćcie i wy do swoich a od-

poczywając pomyślecie czy możecie nad drzwiami napisać, jak Feliński z Ariostem.

Parva sed apta mihi, sed nulli obnoxia, sed non sordida, parva meo etc.

Powinszuję jeśli szczerze — *apta mihi i nulli obnoxia* powiecie; jeśli z Seneką i P. T... szczerze u drzwi waszych wypiszecie: *Satis mihi sunt multi, satis mihi sunt pauci, satis mihi est unus, satis mihi est—nullus.*



X.

PRZYWILEJE MIASTA BRZE- ŚCIA (LITEWSKIEGO).

pożyczyć pieniądze czyżbyś nie chciał
mi użyczyć, jak Falsch i Argos.

Parce nie apte miły, co miły alimena,
i nie naciąg, parła, i nie etc.

Porównajcie jeżli możecie -- i nie miły i
nie oburza powieści jeżli Sienka i P. T.
niechce a dwoi waznych wypisze. Sienka
miły i nie miły, i nie miły i nie miły, i nie
miły i nie miły, i nie miły i nie miły, i nie
miły i nie miły, i nie miły i nie miły, i nie

X

PRZYWIŁĘ MIĘSTA BRZE-
SCIA (LITWAŃSKIEGO).



X.

**Przywileje Miasta Brześcia ⁽¹⁾
(Litewskiego).**



Brześć Litewski, położony na równi-
nie między Bugiem a Muchawcem,
dawniej stolica Województwa, granica Koro-
ny z Litwą. Posada jego dawna dziś zmie-
niona z powodu założenia twierdzy; była

(1) Przywileje umieszczone tu w treści i całości, win-
niśmy łaskawej uczynności P. Wład. Kościuszki
który je z familijnego spisał zbioru. Składamy mu
publiczne za to dzięki.

w ramionach Bugu i Muchawca. Zamek wznosił się na wysokim wzgórzu; lecz nie musiał być obszerny, gdyż Górnicki pisze, że Zygmunt I. na Sejm tu przybywszy, nie mógł się w nim z całym dworem pomieścić; a Zygmunt August nadjechawszy z Wilna we dworcu Biskupim nad Muchawcem, zajął mieszkanie. Założony Zamek przez Kazimierza w r. 1179. Dwakroć oblegany i brany przez Lwa Xięcia Łuckiego i Gedymina w r. 1519. Sławniejsze Sejmy były tu w latach 1425, 1455, 1460, 1461, 1478, 1505 (gdy za poradą Glińskiego, Alexander panów Litewskich przeciwnych jemu, chciał uwięzić; co do skutku nie przyszło, bo się namowy wydały) 1454.—1655. W r. 1595, tu się zebrał ów Synod Greków sławny, na którym zyskano podpisy do Unij.

Za Jana Kazimierza; oblegał Brześć Gustaw Król Szwedzki i Rakocy Xiążę Siedmiogrodzki. Po zdaniu się miasta, zamierzał Gustaw je fortyfikować; projekt ten widzieć można rysowany, w dziele Puffendorfa — W XVI wieku były tu drukarnie, z których najznakomitsza Radziwillowska, wydała Bi-

blją, dziś wielce rzadką, bo później wykupioną na spalenie. Drukarnia dostała się Jezuitom Wileńskim.

Synagoga tutejsza, wedle Sapielhy ⁽¹⁾ uważana była za jedną z najpiérwszych w Europie. Herb miasta łuk z napiętą strzałą.

Za Bugiem przeciw starego Brześcia miasteczko, dawniej Blołkowem zwane, potem Terespołem; dość porządne w ostatnich czasach, lecz szczuple.

Oto kilka dawnych aktów, objaśniających Historją Brześcia Litewskiego.

1. Przywilój Władysława Jagielly, nadany mieszczanom Brzeskim, w Krakowie w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny Marij 1590 r. Oryginał po łacinie, na pargaminie z pieczęcią przywiesistą na jedwabnym sznurku zielonym. Przywileju tego mamy tylko tłumaczenie nie dość dokładne aby je wypisać w całości, treść więc tylko przyłączamy. Zawiera na-przód: Nadanie prawa Magdeburskiego, Teutońskiego, obywatelom i mieszkańcom, cudzoziemcom, Polakom i Rusi, jakiegokolwiek bądź stanu, Chrześcianom, z ekłuzją wszel-

(1) *Monumenta.*

kich innych Ziemskich Juryzdykcij i praw Polskich i Ruskich: ustanowienie Wójta, z mocą jaką mu prawo Magdeburskie nadaje, od którego apellacja do Króla lub Sądów Powszechnych Królewskich i t. d.

Nadanie Brześciowi sześćdziesięciu włók frankońskich czyli Łanów gruntu, mającego się karczować, od którego z łanu co rok w dzień Ś. Marcina czynsz miano opłacać.— Działo się w Krakowie w sam dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny Marij 1590 roku, w obecności Spiteny Wdy Krak. (Spytka) Piotra Kmity Kasztell. Lubelskiego, Dragona Sędziego, Krzesława Podśędka Krakowskiego, Paszkona Kasztell. Biaunsk. (sic) i Demetrjusza Podskarbiego etc. Oddano przez ręce Sz. Zakicze Dworu naszego Kanclerza etc.

II. Przywilej W. Xięcia Witolda nadany mieszczanom Brzeskim w Wilnie, we Czwartek, nazajutrz po święcie Nawrócenia Ś. Pawła Apostoła, 1408 roku. Ten jest, Jagiellowego rozszerzeniem i rozwinieniem, z kilką dodatkami tylko. Powtórzono w nim naprzód nadanie Prawa Magdeburskiego; jak

gdyby po raz pierwszy; z pod którego jednak wyjęto Litwinów nowochrześciców, i Rusinów zostawując ich pod dawnemi. Zastrzeżono, aby, jeśliby kto zostający pod prawem Magdeburksiém miał sprawę z takim, coby temu prawu nie ulegał; naówczas miał zasiadać wespół z Wójtem Starosta lub jego zastępcą. Dla rozszerzenia miasta, wcielono w jego obręb i nadano mu wieś Kozłowicze, z całą jej obszernością, postanawiając opłatę z lanu czyli włók, czynszu zwyczajnego. Dozwolono dla korzyści miasta zaprowadzić Postrzygalnię i Woskobojnię i ciągnąć z nich pożytki. Postanowiono pobór czyli opłatę na wzór innych, a mianowicie Lublina, z którym porównano Brześć w prawach i przywilejach. Data jak wyżej—W przytomności Mindykwilona (?) Widymina, Monwida, Czuparna, Marszałka Dworu Gildygaldona (sic) Olechna i t. d.

III. Pod rokiem 1440, mamy kopią przywileju na prawo Magdeburskie nadanego Brześciowi przez *Króla* Kazimierza, (w Piątek, w dzień Ś. Magdaleny). Kazimierz nie był jeszcze Królem naówczas, ale mógł na-

dać przywiléj jako obrany W. X. Litew. —
Przeciw autentyczności przywileju, jest także,
jakoby znajdujący się na nim podpis Króle-
wski; nie wypisujemy go tutaj.

IV. List Korola Polskoho Welikaho
Kniazia Litowskoho Zyhimonta Perwoho,
pisany z Krakowa do Uradu Mestskoho Be-
resteyskoho Puszkaru Beresteyskomu Marku
Zubryckomu wyzwolajuczy Dom jeho od pod-
wod i poplatow Mestskich i roboty Parko-
nowoje. W lieto Bożeho Narodzenia tysiacz
piastsot trydecat semoje Mieseca Henwara de-
wadecat szestoho dnia Indykta desiatoho.

Zyhimont, Bożej Miłostji Korol Polski
Weliki Kniaz Litowski etc. etc.

Wojtu i Burmistrom i Radcom Miasta
Naszeho Beresteyskoho. „Bil nam czolom
Puszkar Zamku naszoho Berestejskoho Marko
Zubrycki i powedzil pered nami szto kotory
dom majet on w miescie naszom Berestejskom
ku Zamku iduczy na rohu ulicy Peseckoje,
hdez jeśmo perwe seho, tot dom jeho od
podwod i od Kapszczyzny i od inszych popla-
tow Mestskich i od roboty parkonowoje wy-
zwolili, na to on List z podpisju ruki Na-

szoje w siebie miel niżli jak z Bożeho dopuszczenja miasto nasze Berestejskoje horeło w tot czas tot list Nasz w Neho zhoreł i bił nam czołom, a bychmo i teper Jeho zachowali wodle pierwszoje Daniny naszoje, proto hdyż tot list Nasz u Neho zhoreł; a budet li on potyje Lieta podwod i poplatow Mestskich niedawau i w tom wolnost sobie miewau, przykazujem Wam, azby ješte u Neho samoho i u żony i dietej Jeho i potomkow od toho domu w ktorom oni samy mieszkajut podwod i poplatow Mestskich nie brali i roboty im parkanowoje robity nie kazali i dali im w tom pokoj wodle perwaho listu naszoho. Dla bolszoj twierdosty pieczat Naszaju Korolewskuju przyłożyty rozkazalijeśmo ksiemu listu. Pisan w Krakowie pod lieto Bożeho Narożenia tysiacza piatsot trydeat siedmoje, miesiaca Henyvara dwadecat szestoho dnia, Indykta desiatoho.

Zyhimont Korol

(L. S.)

Michajło Pysar W. K. L.

V. Przywilej Jeho Miłosty Korola Stefana dany Jendrychu Petersynu Cyrulniku

Beresteyskomu na grunt podle domu Jeho w Beresti na Zabudowanie komory dla reczej Aptekarskich Jemu samomu i potomkom Jeho. Roku 1585 Miesiaca Nojabra osmoho dnia (na papierze z podpisem i pieczęcią).

Stefan Bożeju Milostju Korol Polski Wielikij Książ Litowski i pr.—Prowadyl pered Nami Pan Wileński, Rancier Nasz Welikoho Książestwa Litowskoho, Starosta Berestejski i Kobryński Pan Ostafiej Wołowicz, iż Jeho Milost uważajuczy potreby wsiakije ludskije Miasta Berestejskoho a zwlaszcza choroby kotoryje czasto na ludiej nachodiat w tom miestie czelowieka chotiaczy wielmi potrebnoho zaderżaty dał służe swojemu Cyrulnikowi miasta Berestejskoho Andrychu Petersynu (Heinrich Petersohn) gruntu naszoho Zamkowoho Berestejskoho na zbudowanie komory na uskładanie reczej Aptekarskich (bo podobnoj komory miasto Berestejskoje jeszcze żadnoj nie maje) z odnoje storony podle domu Jeho własnoho, a z druhoje storony podle Szpiehlera Naszoho od Ulicy welikoj aż do Reki Muchawca, a w szir na dwa sażni, czoho tot Indrych wodluh Daniny Pana Wi-

leńskoho wolno od wsiakich platow, podaczok i powinnoſtej Zamkowych i Mieſtſkich do sieho czasu derżał i żedał nas Pan Wileński abychmo to Jemu listom naszym utwierdili. My na żądanie Pana Wileńskoho to czyńnieczy tot plac werchu opisany pomenenomu Jendrychu Petersynu samomu i potomkam Jeho potwierżajem sim listom naszym tymże prawom i pod tojuż wolnoſtju jako on i Dóm swoj derżył; do ktoroho Jemu jest tot Plac prydan, kotory grunt majet byti zawżdy pod prysudom Zamkowym Berestejskim i na to Dalijeſmo sej Nasz list, z podpisom ruki naszoje hospodarskoje do ktoroho i pieczat naszaju Korolewskuju kaſalijeſmo prytisnuti. Pisan w Berestiu Leta Bożoho Narożenja tyſiacza piatsot osmdesiat tretioho, mieſiaca Nojabra osmoho dnia. Podpis naszoje ruki hospodarskoje.

Stephanus Rex (L. S.)

Lew Sapcha Piſar W. K. L.

VI. Przywilėj Zygmunta III. roku 1614
Stycznia 15 dnia, nadany na myto od przepieczyń słodu i drow.

Zygmunt III. z Bożej Łaski Król Polski

Wielki Xiążę Litewski, Ruski, Pruski, Żmudzki, Mazowiecki, Inlandski, a Szwedzki, Gotski, Wandalski Dziedziczny Król.

Wszem w obec i każdemu z osobna komu by to wiedzieć należało. Oznajmujemy iż My mając wzgląd na utrapienie i zniszczenie mieszczan naszych Brzeskich do którego z wielu miar jako przez żołnierza rozmaitego, tak pogotowiu teraz świeżo przez ogień, z dopuszczenia Bożego przyszli, i aby tym do przyszłego poratowania przyjść mogli, zkażdy mieli potrzeby miejskie odprawować, z łaski naszej pozwoliliśmy onym i tym listem naszym pozwalamy, aby od Słodowników, którzykolwiek słody do Brześcia na targ przywożą, od każdój beczki słołu brali do skrzynki Miejskiej po groszu jednemu Litewskiemu, od wozu drew po polanie jednym, czego zażywać do woli i łaski Naszej Królewskiej, co do wiadomości wszystkich którym by to wiedzieć należało, mianowicie obywatelom tamecznego Województwa donosząc, chcemy mieć i rozkazujemy, aby pomienieni mieszczenie Nasi Brzescy w obieraniu przerzeczonego tego targowego sobie od nas danego dla

woli i łaski naszój nie byli ni od kogo [turbo-
wani, ale cale w onym według tego listu na-
szego zachowani byli, inaczěj nie czyniąc
dla łaski Naszój Królewskiej, na co dla
lepszój wiary rękośmy się naszą podpisali
i pieczęć Naszą Wielkiego Xięstwa Litew-
skiego przycisnąć rozkazaliśmy, pisan w War-
szawie Roku Pańskiego Tysiącznego sześć-
setnego czternastego, miesiąca Januarij pię-
tnastego dnia.

Zygmunt Król

(L. S.)

E. Wołowicz Pisarz i Referendarz

W. X. Littgo.

VII. Jan Kazimierz z Bożej Łaski Król
Polski Wielki Xiążę Litewskie, Ruskie,
Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Infant:
Smolen: Czernichowskie; A Szwedzki, Got-
ski, Wandalski Dziedziczny Król, Oznay-
mujemy tym listem Naszym komu to wie-
dzieć należy. Boskiey to szczegolney przy-
pisuiemy providentey, iż za nastąpieniem ze
wszech stron na państwo Nam od Pana Bo-
ga powierzone, nieprzyacielskich conspira-
tij, podał wszechmocną Rękę z nieba, ze na-

chyloną y w zamęcie oppressiey nieprzyjacielskiej Oyczynę tę zostaiącą ad portum pristinae libertatis reduxit. Co jako grata memoria recolimus tak z wrodzoney naszej ku poddanym clementiey po recuperowaniu z rąk i oswobodzeniu ex iugo niewoli Moskiewskiej jako innych miast tak y miasta naszego Brzeskiego y mieszczan w nim mieszkających za błogosławieństwem Bożém, a za odwagą i pieczelowaniem Naszym Oycowskim. A widząc iż publica Calamitas przez zruynowanie nieprzyjacielskie tak ich dotknęła, że nie rychło, ani snadnie, ad pristinum vigorem fortun swoich, przyść mogą—nie jesteśmy od tego abyśmy ich osobliwą naszą clementią wesprzeć nie mieli—Zostawiwszy zatym tychże mieszczan naszych Brzeskich; to jest Magistrat y pospólstwo, których imieniem sławetni Gabryel Romanowski y Roman Matwiejewicz Burmistrze na Sejm terażnieyszy sześć niedzielny wysłani, nam suplikowali, przy wszystkich prawach, wolnościach, swobodach od nayiasnieyszych antecessorów naszych miłościwie im nadanych y od nas konfirmowanych, waruiemy im to: aby od wszyst-

kich ciężarów exactij podwód dawania, chleba, stanowisk, też noclegów, pokarmów, tak żołnierzom i w zaciagu Rptey będącym, jako y kommandantowi y żołdatom na fortecy zostającym wolni zawsze zostawali. A ponieważ za dawnieyszymi assygnatami naszymi różnym osobom y przełożonym woyskowym osobliwie na chorągiew naszą Usarską, pięć tysięcy złotych, oraz wydać musieli y insze expensy wielkie narożne podeymowali y za następowaniem Chowańskiego Moskala z woyskiem nadzwyczaj od ludzi in praesidio zostających są uciemiężani, i snadnego do wypłacenia się kredytorom swoim, za wyniszczeniem intrat swoich, nie mają sposobu, przeto: ad coequationem wszystkich mieszczan tak Jurisdictioney Mieyskiej jako Zamkowej y innych wszystkich stanu Duchownego y Swieckiego poddanych, tudzież y żydów w podeymowaniu ciężarów y składanek tak na żołnierza jako y na inne expensy osobliwie na budowanie mostow y na poprawę o-nych y na inne wydatki Mieyskie przywo-
dząc chcemy mieć exulantes y co za czasem do Miasta przybędą, tudzież y żydzi, nie

pierwey do handlow, rzemiosł, szynkow przystąpili, aż na zniesienie długów ducta proportionie fortun y możności swojej quotą pieniężną realiter przyłożą się. Więc przywróciwszy temuż miastu y Magistratowi omni modam et plenariam potestatem Judiciorum warujemy to, aby odtąd trybem zwyczajnym Sądy się w mieście naszym odprawowały, a Lantwóyt terazniejszy i na potem będący w żadne się Sądy y Rządy urzędowi Burmistrzowskiemu y Radzieckiemu, należące nie wtrącał, tak aby oprócz szczególnych criminalnych spraw y Actij przyznania o grónty y wieczności do Act swoich nie wazył się przyjmować ani o nie usurpował sobie władzę do sądzenia sub paena judicio nostro irroganda. Ale Burmistrz terazniejszy y potem będący z Raycami to co wieczności y przyznaniu na grunty należy y inne potoczne sprawy podług Plebiscitu miasta Wileńskiego odprawował, we wszystkich sprawach podług zwyczaju starodawnego, zupełną moc y powagę, w odprawowaniu Sądów, Rządów, ferowania dekrétow, y ich executij (salva appellatione nie do Uro-

dzonego Woyta Brzeskiego, ale do nas y
 Sądu Naszego) mieli y oney na potomne
 czasy zażywali z taką powagą y od ludzi
 pospolitych poszanowaniem, jaka w mia-
 stach inszych naszych, zachować się zwy-
 kła: a gdzieby się jaki wyuzdany w języku
 targnął na Urząd u Jego osoby, przy Ses-
 sicy, taki bez żadney folgi, w kunę ma
 bydź wsadzony. Nadto przykładem ynnych
 miast naszych, w Wielkim Xięstwie Litew-
 skim będących, osoby w Magistracie będą-
 ce ab onere excipiendorum hospitum, na
 jakiegokolwiek zjazdy główne i partykularne,
 do Brześcia zjeżdżające się wolnemi czynie-
 my. Stosując się przy tém do dawniejszych
 y świeżey konstytuciey anno 1659 sub titulo
Assecuratio miast naszych y wszelkich pro-
 wentow publicznych, uchwaloney; ponieważ
 wszelakie *Jurisdictione* przy miastach będące
 zniesione są y przychodniowie tak *ex Eque-*
stri spirituali statu quam civili, którzy fun-
 dos przy miastach zasiadłszy domy, Dwory,
 Browary y domy szynkowe, pozakładali *Ju-*
risdictioni do czego Ich przywiley Świętey
 pamięci R. J. Mei Pana Oyca Naszego od

nas pod datą w Warszawie na Seymie walnym dnia XVI Miesiąca Czerwca Roku Pańskiego MDCLIX stwierdzony, y szerzey o tém opiewaiący stringit—tedy warujemy to aby ci wszyscy którzykolwiek w mieście naszym Brzeskiem mieszkają y pożywienia w nim z handlów, Rzemiosł y szynkow nabywaią tudzież osiadłości y grunty swe w mieście mają, tak Chrześciane iako y żydzi y Tatarowie nietylko onera civilia równe pociągając z Chrześciany pełnili, ale *ex bonis et fundis*, przed Magistratem Brzeskim *respondero et iudicato parere* byli powinni, w czym na nieposłuszne y uporne y charde Urząd Mieyski Brzeski, ma serio nastąpić y do posłuszeństwa y *coequat*iey w pełnieniu powinności mieyskiej tak osiadłych iako y lożnych przywozić. A chcąc aby się ciż mieszczenie Brzesey za ufolgowaniem iakimkolwiek w dostatkach y handlach swoich, ratować i *ad sufferenda in posterum onera publica* sposobnieyszymi zostać mogli, uwalniamy ich od podatków publicznych podług konstytucy anno currente w Warszawie uchwaloney, do wyjścia lat

w teyże *Constituciey* wyrażonych, przytém stwierdzamy y zachowujemy mieszczan Brzeskich przy trzech Jarmarkach iuż w przeszle lata ogłoszonych, tak aby na zwykłym *exactiey* wolności odprawowane były warujemy y to aby *Landwoyt* Brzeski terazniejszy y napotem będący nie ważył się osob *Burmistrzowskich* y *Radzieckich* o potoczne sprawy sądzić, ale *Burmistrze* z *drugiemi* *Raycami* na takowe sprawy *contra personam in offitio existentem* decydować, życząc nadto aby in dies toż miasto nasze Brzeskie pomnażało się w dostatkach, dajemy mu i *conferujemy* dobra wszystkie *Juri Caduco obnoxia* po iakich kolwiek osobach do dyspozyciey Naszey przypadłe, a te do trzech lat a data *praesentium computando*. Tak jednak aby nie *violento modo* ale *juris ordine*, ad *apprehensionem ejus modi bonorum* przychodziło — na ostatek *Mostowe*, *Brukowe*, *Targowe*, *Pomierne*, także skład soli jako y przed tym bywało aby na oprawe *Ratusza* zostawały *cavemus*. Na co dla lepszey wiary Ręką się naszą podpisawszy pieczęć *W. X. Litt.* przycisnąć kazaliśmy. Dan w Warszawie

Dnia XXVII. Miesiąca Julij Roku Pańskiego
MDCLXI. panowania naszego polskiego y
Szwedzkiego XIII. Roku.

Johannes Casimirus Rex.

Andrzej Kotowicz Pisarz W. X. Litt. Sta-
rosta Grodzieński, Horod. Wileński.

(Pieczęć wielka przywiesista, na sznurze zie-
lonym jedwabnym, w puszcze ołowianej).

VIII. Jan Trzeci z Bożej Łaski Król Pol-
ski, Wielki Xiążę Litt. Ruski, Pruski, Ma-
zowiecki, Żmuydzki, Kijowski, Wołyński,
Podolski, Podlaski, Inflantski, Smoleński,
Siewierski, i Czernichowski.

Wielebnemu Alexandrowi Andrzejowi
Kosciuszce Suffraganowi Smoleńskiemu Re-
gentowi Cancelarię Naszey W. X. Litt. i
Urodzonemu Razimierzowi Łyszczyńskiemu
Podsędkowi Brzesk. Commissarzom Naszym
wiernym y Nam zawsze miłym, Łaska Nasza
Królewska przesyła się—Wielebny Oycze U-
rodzony y wiernie Nam y Rzplitey miły.
Oznajmujemy Wam iż doniesiona nam jest
supplika przez PP. Rad y Urzędnikow na-
szych Dwornych przy Boku Naszym będących
imieniem mieszczan y żydów Naszych Brze-

skich, iż w zachodzących differentiach, między pomienionemi mieszczany naszymi, a Ka-
 hałem Brzeskim, które uspokoić zleciliśmy
 byli zeszłemu z tego świata Wielebnemu An-
 drzeiowi Osowskiemu Pisarzowi W. X. Litt.
 z kolegami Jego. A że w prędkim czasie
 z tego świata cessit, zsyłaliśmy Wielebnego
 A. M. Galnskiego, a teraz Wy Wielebny i
 Wier. Na: Których Nam w wielu functias
 dexteritas dobrze wiadoma i doświadczona,
 za Commissarzow Naszych naznaczywszy zsy-
 lamy chcąc mieć abyście o czasie wyjazdu
 swego z sobą się zniósłszy i o nim stronom
 przez Innotenscentie swe obwieściwszy, do
 Brześcia zjechali i tam po ufundowaniu Ju-
 ryzdyki swey Commissarskiej we wszystkie
 prawa y przywileje tak mieszczan iako y Ży-
 dow Brzeskich weyrzeli, grunta y place Ju-
 ryzdyk Świeckich y Duchownych w mieście
 Brzeskim będących o które między niemi
 spor idzie zrewidowali i rozsądzili, i wszyst-
 kie zachodzące differentie i pretensje omni
 meliori modo et forma rozsądkiem swym
 commissarskim uspokoiłi postrzegaiąc iakoby
 Nas dalszey co nomine nie zachodziły skargi,

salva jednak do Nas i Sądu Naszego Assessor-
skiego obodvom stronom in quantumque
który dekret z ubliżeniem prawa widział się
non nisi ad definitiva sententia appellatione
dopuszcili. Inaczej nie czyniąc dla Łaski Na-
szej Królewskiej. Dan w Jaworowie dnia
szesnastego Mca Aprila Roku Pańskiego
MDCLXXXII. Panowania Naszego VIII.
Roku. Jan Król. (L. S.)

IX. Mamy jeszcze w ręku naszym oryginal-
nał nadania uczynionego w roku 1651 dnia
6 Pazdziernika, przez Józefa Weliamina Rut-
skiego Metropolitę i Gabriela z Jelna Jeleń-
skiego Sędziego Ziemskiego Brzeskiego, na
Monastér Bazyljański ŚŚ. Piotra i Pawła
w Brześciu; do którego osadzenia sprowa-
dzeni byli Zakonnicy od Ś. Trójcy z Wilna;—
Dla zamoknienia pergaminu na którym pisa-
ny, szczegółów trudno wyczytać. Zaświadców
podpisani: Jan Szuijski Chorąży Woiewodz-
twa Brzeskiego mp. Teodor Stanisław Bu-
hraba Podsedek Brzeski—Constanty Szuijski
Pisarz Ziemski Brzeski ręką swą. Z drugiej
strony podpisany Jeleński, a naprzód Metro-
polita.



XI.

DUBNO W CZASIE KON- TRAKTÓW.

Dubno w czasie Kontraktów.

Kto widział kiedy Dubno, w ciągu roku, gdy
początek, wicher, Zima tylko zaledniła, a doje
nie spać czekając przechodziła swego pier-
wotnych dni Syczenia; i kto je widział w czasie
tak zwanych kontraktów, mał terych bardzo się
malo kontraktów rany, a drna, że je wów-
czas prawie potrafił trudno, tak się bardzo
odbyła, tak się aż miernie odalienia.

salvo jednak do Nas i Sąd Naszego Arcybiskup-
skiego obowiązuje strzeżenie in quantumque
huius dekretu i obediendum prout videtur eis
non aliter ad defectum sententiae appellatōne
deponant. Datemy nie czyniąc do Laszki Na-
szego Biskupskiego. Dnia w Jarocynie dnia
czternastego Mca Apryla Roku Pańskiego
MDCLXXXII. Panowania Naszego VIII.
Roku. Jan Król. (L.S.)

IX. Mamy jeszcze IX rękopis namianu oryginal-
nej notulacji uctynionego w roku 1631 dnia
22. **W CZASIE WÓJNY**
biskupa Metropolitę Jeleni. Jeleni
biskupa Siedzię Ziemskiego Brzeskiego, na
Monaster Brzyski S. Piotra i Pawła
w Brześciu do którego podżeczenia sprowa-
dzani byli Zakonnicy z 15. Trójcy z Wilna.
Dla zamoknienia parafii na którym piśmie
ry, szczegóły trudno przytoczyć. Z świadków
podpisanych Jan Szulski Chorąży Wzrostowa
Brzeskiego m. p. Yndur Starosta Be-
hraba Podcudaj Brzeski - Constanty Szulski
Piotr Ziemski Brzeski ręk. swa. Z drugiej
strony podpisany Jeleni i naprzód Metro-
polita



XI.

Dubno w czasie Kontraktów.



Kto widział nasze Dubno w ciągu roku, gdy puste, ciche, Żydami tylko zaludnione, zdaje się spać czekając przebudzenia swego pierwszych dni Stycznia; i kto je widział w czasie tak zwanych kontraktów (na których bardzo się mało kontraktów zawiera) uzna, że je wówczas prawie poznać trudno, tak się bardzo ożywia, tak się niezmiernie odmienia.

W ciągu roku rynek Dubiński, ratusz, owe sale zaciasne na zgromadzenie styczniowe, stoją pustkami. Po ulicach wlecze się Żyd z kramikiem, odarta Żydówka, jaki morejne, jaki faktorek niuchający podróżnego, strażnik miejski, urzędnik nareście lub ofi-cjalista zamkowy. Żadnego turkotu powo-zu, żadnego ruchu, kramy stoją wprawdzie otworem, ale nikt w nich kupującego nie zo-baczy; przed ratuszem samotna warta równym krokiem chodząc strzeże chwiejących się z wiatrem topoli. U Dobrzyjałowskiego mil-czenie, kuchnia zagasła, billard nakryty, po-sługacze śpią; po innych mniejszych garku-chniach brzęczy tylko gitara, na której przy-grywa swoim nudóm siedząc w oknie gospo-dyni. Na Szerokiej ulicy, gdzie w czasie kontraktów mieści się w skupionych domach zajezdnych cały tłum kontraktowy średniej klasy, gdzie tyle wrzasku i hałasu, milcze-nie także; w oknach brudne firanki wiszą ra-zem z festonami pajęczyn, wrota podparte dragami, szynki obozują w stancjach mają-cych służyć naszój szlachcie za legowiska i miejsce obrad. Słowem Dubno podobne jest

instrumentowi bez artysty, świecy bez płomienia.

Ale zbliża się Styczeń—patrzajcie—wszystkie ławy, stoły, krzesła, kanapy zajezdnych domów stoją w rynku, po ulicach myją się, szorują, skrobią, bejcują, latają, czyszcza, ściany izb bielą i malują, piece naprawiają, drzwi reperują, podłogi odnawiają; szyby w oknach nowe wstawiają (łatwo je poznać po dziewiczym nietknięciu brylantem i jaśniejszym obliczu), gospodarze i gospodynie wynoszą się do ostatniej komórki na tyle, aby jak najwięcej mieć do najęcia. Ruch już się poczyną w mieście, przez ulicę snują się ludzie roznoszący od stolarzy, od szklarzy, od rymarzy, ponaprawiane lub całkiem nowe sprzęty. W sklepach do góry nogami przewracają wszystko przewracając. Brodzkie bryki ciągną wszystkimi traktami ku Dubnu wioząc towary, kupców, artystów (tacy to i artyści!) i wiele, wiele jeszcze rzeczy i osób różnego rodzaju. Zgiełk i gwar w ratuszu. Dobrzyjałowski wynajmuje miejsca w sali, przedsieni, izbach ratuszowych, księgarzóm, modistkóm, galanternikóm, kupcóm norym-

berskim, i t. p. Dobijają się o lepsze, targują, przymocowują półki, ustawiają stoły—słysząc stuk młotów, brzęk naczyń plakowanych i srebrnych wydobywanych z pak, któremi całe sale zastawione, schody ich pełne. Tam Żydek krzemieniecki w stroju wykwiutym kręci się rozwieszając warszawskie wyroby, cenione na wagę złota, dalej optyk Szein układa okulary i kamer-obskury, indziej sam Dobrzyjałowski rozdziela cukiernię na dwoje, rozpina stoły, aby wszyscy do jego pożądaných cukierków dostąpić mogli. W miasteczku tenże ruch, zamęt, krzyki—niektórzy poprzysylali swoich totumfackich dla najęcia stancij na kontrakty, inni najmują całe domy na ciąg zapust, które tu przepędzić myślą. Żydzi już zwąchali o co chodzi i oto rozbijają się i pchają, wrzeszczą, szarpia nieszczęśliwych, usiłując ich każdy ku sobie pociągnąć. Często bardzo straż środkami dobitnemi rospędzać musi zbyt liczne i hałaśliwe zgromadzenia żydowskich faktorów upędzających się za przybywającemi, jak myśliwy za zwierzyną.

Otoż i pierwsze dni kontraktowe.

Już muzyka czeska ulokowała się na górze w traktjerni, już z sklepów zdjęte płócienne pokrowce, kurzy się w kuchni Dobrzyjałowskiego, miga tysiące afiszów i znaków przed gospodami, tam trupa żytomirska objawia wystawienie nowój dramy (!) *Nienawiść i Żal*, dalej kamieniecka zwiastuje ci świeżą sztukę (?) *Inez de Castro* i przybyłe towarzystwo skoczków i akrobatów, berejterów i mimików, drukowanemi afiszami i wysoko wywieszoną oznajmuje się banderą, powiewającą na równi z kominem gospody, w której tajni cyrk urządzono. Na Szerokiej ulicy menażerja, kilka traktjerów doczesnych, kilka kawiarni warszawskich — jedna z nich lokuje się w rynku zwykle, pod bokiem ratusza, i oświeca transparentem gdy nadejdzie noc. Żydów przybyło drugie tyle, ścignęli z całego Wołynia kupcy bogaci, aby korzystając z czasu, w którym potrzebne są pieniądze, kupić tanio produktu, handlarze z towarami wszelkiego rodzaju; Żydzi księgarze, Żydzi numizmatycy, Żydzi galanternicy, Żydzi z starymi srebrami, z obrazkami i t. d. Bo czémże Izrael nie handluje? Żydek z szejnac-katryn-

ką chodzi i gra już w ulicy, inni z paczkami kalendarzy berdyczowskich, z pudełkami *be-spiecznych* zapalek, z których pożaru nie będzie, bo ogień być nie może, z króbkami pełnemi fraszek *angielskich*! snują się wołając swój towar. Kramy, sklepy i sklepiki, poprzyczepiały się wszędzie. Najparadniejsze przykleiły się do ścian wielkiej sali ratuszowej, do ścian przedsienia, bocznych izb, wejścia; inne ulokowały się na dole, inne na ulicy, inne najlepij, bo na plecach, z którymi się przenoszą z miejsca na miejsce. Idźmyż i czatujmy wjeżdżających; a że najwięcej ich podobno wsuwa się do Dubna Łucką bramą, stańmy pod murem bliskiego kościoła i patrzmy. Kocz, pięć koni pocztowych, jemszczyk z konia popędza, lokaj na koźle siedzi, na tłumoku uczepił się jakiś odartus; w powozie tłusty jegomość ze znaczkiem u futra przyczepionym — admirujcie! w futrzanj nabakier czapce, rozparty siedzi i podobno drzémie. Załedwo przebył Łucką bramę — nieszczęśliwy! budzi się w krzyku i hałasie, któż go nie pojmuje.

— Panie, Panie! Jasny Panie!

— Niech Pan tu zajedzie.

— Jasny Pan tu zawsze stoi! Jasny Panie! Pan Marszałek u mnie kwateruje.

— A wój, na co ten krzyk, prosim do nas, stancja ciepła! owies tani, wygodna wszelaka!

— W rynku zajęto! w rynku zajęto!

Tak wrzeszczą faktorowie, których ciżba otacza powóz, zatrzymuje konie za cugle, czepia się koł, uwiesza na drzwiczkach, na próżno Jasny Pan i jego dwór lają, krzyczą, biją, odpędzają, chcą uciekać, już ich Żydzi niepuszczą, aż ulokują w bezpiecznym miejscu i pokrwawia się między sobą klóć, o odmówienie gościa.

Przez całą Szeroką ulicę (na której mimo nazwiska dwóm powozóm ominąć się trudno) wiodą z tym krzykiem Jasnego Pana Żydzi, wiodą go aż w rynek, tu ledwie się uszy końskie z ulicy pokazały, nowa zgraja ze wszystkich domów zajezdnych wylatuje, pędzi rozbijając, popychając, klóć i osiada powóz.

— Do mnie, do mnie, do mnie!

Targają konie, szarpią ludzi; aż nareszcie pan wysyła sługę najać lokal. Nieszczę-

sny sługa, bo ledwie wysiadł, już wpół uduszony, podszedł krok, rozdarli mu płaszcz, dalej już i ruszyć mu się nie podobna. Druga połowa Żydów oblega powóz i biada źle strzeżonym węzelkom podróżnego. Nareszcie jakoś tam umieścił się pan, zajeżdża powóz we wrota. Pozostali faktorowie śmieją się!

— Ha! ha! dobra stancja! złodziejski dom! czarna izba i t. d.

My wróćmy do Łuckiej Bramy.

Toczy się wózek małeńki, trzy w nim koniki tłuste w prostych szlejach, na kilimku paradnym otyły jegomość w siwój barankowej szubie—i on jedzie pewnie ulokować swoich pięćset karbowanych,

Koczyk i cztery konie pocztowe, młody z wąsikami jegomość wygląda z niego przez okulary, za nim wiodą konia łożnego—to gracz z kilkuset dukatami śpieszący na diabelfka, od którego powróci na perekladnej sam jeden.

Kareta sześć koni, kocz cztery, furgon z kuchnią, bryka z kaszą—Jaśnie Wielmożny wiezie pół procenta wierzycielom, z projektem pożyczania kilkunastu tysięcy rubli.

Ewikeja na regularnych wypłatach procentu (w trzech pierwszych latach).

Jeszcze karetą, ledwie na nią za błotem rozeznasz hrabiowską koronę, karetą stara, ale liberja przy niej wieszająca się nowa, błada fizys wygląda oknem, Graf w wytartój antenatowskiój szubie, jedzie klaniać się tym, którym zapłacić nie może. Najął dom drogo, straci na kontraktach i zapustach kilkadziesiąt tysięcy; nie zapłaci jednak nikomu, nie wie nawet czego mu się ci ludzie naprzykrzają tak niecznośnie. Mój Telembesiu! powie do swego plenipotentą, zrób tam z nie-mi co, żeby mi ta szlachta w oczy nie lazła.

—Zapłacićby im!

—*Mauvais plaisant!* zapłacić, *quand on n'a pas le sou.*

—Kilkadziesiąt.

—*Taisez vous donc*—jeszcze kto posłysz, zawsze wyjeżdżasz z tém, ależ ja muszę żyć, poodnawiaj im skrypta, albo układaj się, albo zamknij im drzwi przed nosem.

—Przynajmniej JW. Pan, téj biédnej wdowie.

—*Vous la protegez!* Telembesiu! musi

mieć córkę czy co? Zawsze mi nią głowę obijasz. *C'est impossible.*

— Ale ona z głodu umrze.

— A mamże ja umrzeć dla niej z głodu!

— To nie tak wiele.

— *C'est impossible*, wczoraj przegrałem 300 peców w djabelka, gdyby nie to — nie podobna mi — jeśli się odegram.

— Ale ona płacze JW. Panie, ona przeklina.

— *Vous êtes dur, Telembesiu!* I ja płaczę, cóż chcesz? i ja płaczę, i ja przeklinam, *enfin* na to jesteś plenipotentem, *pour faire mes affaires.*

— Zapewne, ale bez pieniędzy i kredytu.

— Chcesz mnie w pole wyprowadzić! Ja rozumiem coś przecie! Hm! hm! Długi! dług! Czyż to moje dług! mego ojca! *Rien n'empêche*, żeby się nie układać o nie, jeśli płacę, to łaska, to dla pamięci.

— Ale JW. Pan nie płaci!

— *Que voulez vous!* Nigdy mnie nie rozumie! wszakże się nie wypieram żem winien.

— Cóż z tego?

— Śmieszny człowiek z ciebie Telembe-siu! Już cię kiedyś odbiorą, jak —

— Kiedyż JW. Panie, jak im powiedzieć mam?

— Chcesz, jak chcesz — kiedyś — spodziewam się sukcesij, *cette vieille qui ne meurt jamais!* Może się ożenię bogato.

— Ale tymczasem wypadaloby coś niecoś, trochę, choć w części zapłacić.

— No to płac kiedy ci tak pilno! Daje ci dwa tysiące rubli, spodziewam się że to bardzo dosyć.

— Na procenta od trzechkroć — i —

— Dość, dość, nie mam czasu, nie durz mi głowy.

Świeża warszawska landara, siwych w niej ogierów, młode małżeństwo widocznie przyjechało się bawić. Należyż ono do arystokracji? do towarzystwa dobrego tonu? Nie wiem, z imion miarkując wnoszę, że ich nie odepchną, z wytworności wszystkiego co ich otacza, domyślam się pieniędzy! *Ils seront bien venus!* A gdy wyjdą?

— Słuchajcie co mówią gdy wyszli z salonu.

— Cóż za śmieszny człowiek; *mais c'est*

à en mourir! Uważałeś jak się kłania! Jak tańcuje mazura!

— *Et la dame?*

— *Très comme il faut.*

— *Elle est des nôtres.*

— Co za szkoda, że wszędzie za nią mąż być musi.

— Największa szkoda dla niej, tak dobrze wychowana; musiała pójść za niego, bo bogaty. *Mais il m'a bien l'air d'un paysan enrichi.*

— Kasztelanic? historyczne imię.

— Ale facjata.

— Wolisz P. S.—z jego gburowatością, z jego pretensją do arystokracji, którą popiera jednym drążkowym Senatorem, *étant on ne sait d'où!*

— Przyjmujemy go jednak wszyscy!

— Cóż chcesz — *Il est si riche!*

— A D....

— Koczodan ze swoją Panią Dobrodziejką.

— A historyczne imię!

— I dla tego przyjęty, bo inaczej —

I tak jedni przyjęci dla imienia, drudzy dla związków, trzeci dla pieniędzy, ostatni

dla wychowania, jedni serdeczniej, drudzy zimniej, a wszyscy gdy wyjdą za drzwi wyśmiani, wyszydzeni. To wyższe towarzystwo, do którego mimowolnie się człowiek ciśnie, bo w niém swobodniej oddycha, czując się między dobrze wychowanými ludźmi; jak płacić okrutnie każe, za przestąpienie progu! płacić uczuciem upokorzenia, przeżuciem wyśmiania. Nie możesz w niém rachować na uśmiech, uścisk, powitanie grzeczne, lękasz się odwrócić głowy, aby nie spotkać szyderskich wejrzeń, boisz się szeptów, grożących ci obmową. Zajdźże niżej, a wyziewy tytuniowe, i huczne towarzystwo braci szlachty, atmosfera do niezniesienia, obejście nie do wytrzymania, rozmowa nieznośna, jadło nieprzelknione, serdeczność podejrzana. — Cóż robić? zostać w domu między swemi.

Ale otóż turkocze koczobryk Pana S... ładowy tuzinami kart i szkatułą z pieniędzmi — jest to amator gry, który na niej nienajgorzej wychodzi — niesłychać aby kiedy przegrywał.

Ten jegomość w koczuku przybywa bawić się tylko, znać to i po rozjaśnionej na

widok miasteczka twarzy. Wiezie kilka tysięcy z sobą, drugie kilka dopożyczy jeszcze i potrafi to wszystko stracić w parę tygodni w Dubnie! osobliwa!

Toczy się wózek ubogiej wdowy, co roku ze łzami przybywającej po należne pieniądze od Grafa, których nigdy nie odbierze. Konie jej stoją w rynku, bo nie ma za co nająć stancij, ona sama śpi na wózku, zapłakana, wywiedła, wyschła, zestarzała niedostatkiem. A przecież niedawno kłaniał się JW. Graf, gdy sto tysięcy, ostatni fundusz, pożyczal. Teraz wyprowadzają ją za drzwi. O! jeśli przekleństwa tej kobiety nie wyproszą piorunu z nieba, chyba go tam niema na rozbójników i złodziei.

Cóż to za osobliwy zaprząg? kocz to i karetą? landara? Co to za konie, zpod których skóry sterczą tak wybitnie kości?—Widzisz tych sług opitych, brudnych, odartych a ugalonowanych jednakże, widzisz Jaśnie Wielmożnego z ogromnym brzuchem sapiącego w powozie? Otoż wystawił głowę i pogląda. Czego? Czy kassa je dzie za nim. Kassa! zielona bryka ciągniona sześcią koni—i próżna, kassa, o której gada

co chwila, a w której są beczółki, ale próżne niestety! Plenipotent z czerwonym nosem, jedzie z J. Wielmożnym, będą wypłacać dłużnikom!! tak mówią głośno — Chcemy trochę pożyczyć, tak powiadają pocichu każdemu na ucho. Przy kassie dwóch Rozaków na koniach z pistoletami i nożami za pasem! Śmiało, — śmiało; rozbójnicyby nawet nie pokusili się na was, tak zdala słysząc niedostatek, czuć skępstwo, nierząd, szachrajstwo i goliznę. Jedni tylko biędni possesorowie waszych dóbr odłużonych, zasilić będą musieli próżne beczółki, bo cóż poczną? gdy ich postraszyć processem, pogrozicie im wyrzuceniem i okażecie z uśmiechem zadowolenia, że kontrakt zawarty nie *legalny*! Nie *legalny*! zrobiliście go takim umyślnie!

Otoż i nejtyczanka possesora, który straciwszy przez gradobicie, nieurodzaj, mokre lata, suche lata i t. d. jedzie jednak brać nadal possesję! Biédak ma żonę i dzieci, a gdzie się podzieje — będzie musiał dać aukcję (podwyższenie płacy) niezawodnie.

A to drugi possesor, possesor wyciskacz, suchy, chudy, blady, bez jednego oka

i bez całego sumienia. Za nim do jurysdatora ciągną się płacząc chłopi ze skargą. Cóż kiedy possesor daje aukeję jurysdatorowi, a tu zapusty tuż, tuż.

Ten młodzik, ciężkim starym koczem a trzema tylko końmi jadący, kandydat do ożenienia, potrzebuje pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy. Wiezie z sobą plenipotentą dla pisania skryptów i półsetek płótna na worki. — Niezawodnie dostanie pieniędzy, ewikeja na posagu dobra, a plenipotent zręczny człowiek, dowiedzie kapitalistóm, że panna zrobiła zapis narzeczonemu oddawna.

Oto w szaraczkowój kapocie, drzémiący i napily Procentowicz z jednym chłopakiem na koźle, konno na szkatule z trochę rubli i mnóstwem obligów, staje w najuboższej karczemce, jé domowe prowjanty, koniom daje sieczkę z trochę bajecznego owsa; a pożyczca na wysokie nadzieje, skąd nigdy nie odbierze. Co rok się zaklina, że nie zaufa tak łatwo, co rok da się spoić, przekonać i pożyczyć.

Za nim drugi szaraczkowy szlachcic, i ten pewnie z pieniędzmi, ale u niego nie tak la-

two pożyczyc, bo nie goni za procentami, a szuka pewnej lokacji. Załedwie mieli czas zająć izdebki ciasne i ciemne w karczmach, pochylonych wiekiem i obrosłych mchem i popodpieranych ze wszystkich stron, już za nimi pędzą wysłańcy Jaśnie Wielmożnych.

— Szanownego Procentowicza — odzywa się plenipotent Grafa na progu.

— A! i Aspan tu, he! Jak się masz! No! co! a przywieźliście procent?

— Procent? he! A! a! Będzie to, będzie — ułożyłem się, Graf teraz trochę —

— Tak z wami zawsze, ale ja —

— O! o! to ci przypiszem do kapitału! Graf prosi cię na śniadanie?

— Nie chcę — Bez ceremonij, chodź no chodź — Ale nie pójdę — Musisz pójść na bigos, umyślnie czekaliśmy czy nie nadjedziesz! A staruszkę naszą znasz? Na wspomnienie staruszki Procentowicz się udobruchał i mrużąc a marudząc, wyszedł ciągniony przez pana plenipotentą.

— A szanownego i najmiłszego gościa! tak go Graf wita, cisnąc do ogromnego swego żołądka i całując zatabaczonym nosem.

Héj! śniadanie! napijem się wódki! Poda-
wać, w ręce szanownego!

Procentowicz nadto dobrze jest wycho-
wany, żeby kieliszka odmówił piérwsze-
go, drugiego i trzeciego. Szklanka porteru
zdaje mu się też nieszkodliwą, wręście i
francuzkiego wina lampeczka jedna i druga
niezawadzi znużonemu podróży. Gdy pokra-
śniał od śniadania, sadzają w alkierzyku na
kanapie, Graf z jednój i plenipotent ze
szklanką z drugiej przesiadają się strony.

— No, czas przystąpić do interesu. Przy-
wiozłem ci procent moje serce, ale moja du-
szko, ten mnie nagli, ten, ten, wiesz—mam
nadzieję, że ty mi pofolgujesz.

— A, Pan Procentowicz to zrobi, mówił
mi, że dla Grafa niéma nic do odmówienia,
wtrąca plenipotent.

— Ja, ja, baka podpily, ale ja potrzebu-
ję kapitału, pisałem nawet.

— Pisałeś! hm! ja nie odebrałem!

— Jakto? Graf odpisał!

— Ja? ale to nie może być—ja? Zresztą
moja duszko, jakoś to będzie, ale—masz ty
pieniądze?

— Nie mam, cicho szepcze podpily, i właśnie potrzebuję swoich — plenipotent mruga na Grafa.

— E! ty żartujesz! ty masz jaki tysiąc rubelków, pożycz mi na ósmy, jak cię kocham na przyszły rok bar-geld oddam.

— Dalibóg że nie mam!

— Pewnie nie masz?

— Pewnie, czyż jabym —

Graf już powstał — A co się tyczy twego procentu, mówi niewyraźnie, o tém pomówimy później, bo teraz tyle interesów na głowie. Przepraszam, ale — muszę wyjść — i waćpan ze mną. Daje znak plenipotentowi, oba wstają, Procentowicz szuka kija i czapki. Odtąd aż do końca kontraktów niéma dla niego Grafa w domu.

U drugiego szlacheica wartuje u drzwi dumny kamerdyner.

— JW. Graf prosi Pana na obiad!

Szlachcic odmówić nie śmie. Jak tylko wszedł, wita go u drzwi Graf — Prezentuję Państwu mego przyjaciela Workowicza! Sam gospodarz go bawi.

— Jakże tam godna familja jego?

— Łaska pańska zbyt wielka; zdrowi.

— Co to za lebski syn jego! A córeczki? grają, grają?

— Uczą się — Ślicznie wychowujesz dzieci — bo to fundament wychowanie, (poziwa) — A urodzaje tego roku?

— Nieszczególne — Słyszałem — O! u mnie wymokło w wielkiej części — Proszę!! milczenie — Powszechnie też teraz uskarżono się na — suszę — Suszę! JW. Pan żartuje? Albo co? U mnie wymokło! — A przepraszam.

— Siadajże przy mnie. Nalać ci wina francuzkiego czy węgierskiego? he?

— Co łaska.

— Bez ceremonij. Po obiedzie naprowadza JW. Pan rozmowę na ciężkie czasy.

„A gdym wspomniał o tém —”

Żąda tysiąc lub dwa tysiące rubli.

Szlachcie utraktowany, posadzony na pierwszym miejscu u stołu, grzecznościami naszpikowany, nie umie odmówić — pożycz — w procencie zjada jeszcze jeden obiad. W następnym roku drzwi dla niego zamknięte.

Ale czas na salę kontraktową. Muzyka gra, sklepy polyskują, z cukierni i traktjeru

dolatuja nas zapachy różnorodnych jadel i rozmaitych tytoniów, tu bowiem palą się fajki i cygara bez ceremonij. U drzwi ogromny szwajcar stoi dla proporcij, lecz wpuszcza wszystkich bez braku i prawdziwie nie wiem co tu robi. Zgiełk i ciasnota, tam targują perfumy, okulary, paletot nieprzemakające, rękawiczki i t. p., ówdzie w głos czytają przybite obwieszczenia sprzedaży i posesij. Dalej uklada się interes wśród szturchańców przechodzących, dalej jeszcze wesoluchna brzmi rozmowa, jeszcze dalej jedzą i piją i witają się i popychają i zapraszają i targują i kłócą. Pomieszane głosy, uczucia, twarze, postaci.

Na ścianach drugiego pokoju, artyści wywiesili obrazy. Tu ujrzysz, *Ecce Homo* z *Carlo Dolce*, z podpisem duk. 50, za któregoś nie dal 5 groszy; dalej z cenami 100, 200, czasem 500 dukatów, bazgraniny, na które patrząc srodze czujem żeśmy daleko od Europy. A tuż nagromadzeni znawcy kontraktowi krytykują.

— Ta Zuzanna między starcami, co za nogi! jakie uda Mości Dobrodzieju! bestja nie malarz!

— Cha! cha!

— Oto panie malowidło! A a a! (zajmuje całą ścianę). Co to panie jest?

— Chodkiewicz oddający buławę.

Głos z tyłu cichy — Pan Pietkiewicz sięgający pod ławę?? He?

— A tak koloryt jaskrawy. Jak on udał tego starego, bladego jegomości. To jakiś święty! Jużciż święty! I to kosztuje sto dukatów — Gdyby to człowiek tak miał, był bogaty! Toć zapewne! — Przed drugim obrazem wyobrażającym *Venus*. Jeden — To Ewa. Drugi — S. Cecylja. Co to za ten kawalek płótna każe sobie płacić, tfu! trzydzieści dukatów, trzydzieści korcey pszenicy. Słychana to? Chodźmy na śniadanie.

Rozmowa w innéj stronie.

— Jak się masz! — Jak się masz! Dawno tu? — Dziś rano przyjechałem — Co słyhać? — Jużem się zgrał w diabła — Gdzie będziesz wieczorem? — W zamku — Jadłeś śniadanie? — Jeszcze nie — Chodź ze mną.

Wywiędła arfistka gra i śpiewa. Młodzieź chichocze patrząc na nią; od niéj idzie przed sklep, u którego śliczna Niemeczka najlepszym

afiszem. Targują, kupują i śmieją się do niej długo i odchodząc spoglądają na nią jeszcze.

— Dalipan nie dam grosza aukcij, wrzeszczy ktoś z boku, a chce niech mnie wyrzuci, poprobujem.

— Majątek w pszennych gruntach, wola drugi, pyszna ziemia, 50 chat, ciągli wszyscy, osypy, daniny, czynsze, arenda.

— Na siódmy inaczéj nie dam i zaraz skrypt w akta do roku, a jeden procent *anticipative* do ręki, bo prawo nie pozwala.

— Kto da więcéj! kto da więcéj! Historia Rzymska, groszy piętnaście—Ośmnaście, dwadzieścia! po raz, po dwa, po trzy! kto da więcéj! Nikt, groszy dwadzieścia. I szczęśliwy nabywca historij rzymskiéj za groszy dwadzieścia unosi ją do domu, opatrzywszy się po czasie, że nabył tom drugi bez pierwszego i trzeciego. Cóż kiedy tak tanio.

— Będziesz na pikmiku?—Jestem ze składkowych, dałem pięć dukatów—Ja z proszonych, mam bilet—Zabawim się doskonale.

Wieczór nadchodzi, z nim ów pikmik. Na ówczas sklepy się zaslaniają, żeby go nie widzieć, zabrania się palić cygara wsali, wypy-

chają za drzwi niemających biletów, i wszystkie sale zmieniają się w sale zabawy, ostatnia zaś zwykle zamknięta, z niższą dla orkiestry, oświecona suto, wywoskowana, stroi się damami i mężczyznami tańczącymi. Na piknik, na który wchodzi zaproszeni tylko i składający towarzystwo wybrane; mężczyzn średnich klas więcej, kobiet prawie niema. Piękniejszą połowę pikniku stanowi arystokracja, tak zapalczywie tańcząca, jak najdrobniejsza szlachta. Na codziennych ressurсах, na które kupują się bilety, różni się wciskają; ale towarzystwo kobiece, zawsze też same. Niechby tylko kto nieżądany wszedł, odwróconoby się od niego lub wszyscyby powychodzili. To się zdarzało. Cóż więc o tych zabawach powiedzieć? co o innych po domach możniejszych! Są to zabawy jak wszystkie inne, jak wszędzie polowa gra w karty, polowa tańcuje; wszyscy razem z wszystkich razem szyczą, śmieją się, i tańcząc i grając i przed i po zabawie!

Tak przechodzą kontrakty. Po kilku dniach hucznych, po grach wielkich, po piknikach, po szumnych śniadaniach do wie-

czora trwających, po pijatyce, hulance, oszukaństwach, obmowie, zaczynają się rozjeżdżać. JW. Panowie podładowani przez Procentowiczów, jeśli w karty się nie zgrali, szlachta z obligami za nadrą, i kilką dwózlótkami w węzelku. Jedni weseli, drudzy smutni, inni chorzy i kaszlący, inni bladzi i senni. Wypróżniają się domy zajezdne, coraz rzadziej na sali, coraz mniej osób w traktjerze i stół gorszy, Czesi grać przestają, sklepy opinają się zasłonami nie mając komu pokazywać, niektórzy jadą na kontrakty do Kijowa, inni do domów, inni zostają zapusty w Dubnie przepędzić. Ci ostatni jakiś czas jeszcze ożywiają miasteczko, które wkrótce potem drzémac zaczyna i usypia twardym, snem aż do przebudzenia nowego w pierwszych dniach Stycznia.

Gródek dnia 23 Listopada 1841 r.

KONIEC TOMU PIÉRSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Strona.
I. Wstęp do Tomu I.	7
II. Wstęp do Tomu II.	43
III. Wstęp do Tomu III.	63
IV. Wstęp do Tomu IV.	77
V. Wstęp do Tomu V.	91
VI. Wstęp do Tomu VI.	105
VII. Wstęp do Tomu VII.	120
VIII. Wstęp do Tomu VIII.	135
IX. Wstęp do Tomu IX.	150
X. Wstęp do Tomu X.	173
XI. Wstęp do Tomu XI.	189

SPIS BODIVIAE

SPIS ROZDZIAŁÓW.



Stronica.

I. Biała na Podlasiu	7
II. Kodeń nad Bugiem	45
III. Romanów	65
IV. Lublin	77
V. Swisłocz	91
VI. Prużana. Karpiński	105
VII. Zamek i Starostwo Kobryńskie w roku 1597	129
VIII. Drohiczyn. Podróż po sztybach karczemnych	139
IX. Domy i ludzie	153
X. Przywileje miasta. Brześcia Litewskiego . .	173
XI. Dubno w czasie kontraktów	195



SPIS ZAWARTOŚCI

I. Wstęp	7
II. Rozdział pierwszy	45
III. Rozdział drugi	55
IV. Rozdział trzeci	65
V. Rozdział czwarty	75
VI. Rozdział piąty	85
VII. Rozdział szósty	95
VIII. Rozdział siódmy	105
IX. Rozdział ósmy	115
X. Rozdział dziewiąty	125
XI. Rozdział dziesiąty	135

OBRAZY

Z ŻYCIA I PODRÓŻY.

ΟΕΞΕΥ

ΑΝΘΡΩΠΟΥ ΚΑΙ ΔΙΟΤΗ

OBRAZY Z ŻYCIA I PODRÓŻY.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Nulla dies sine linea.



Z dwiema rycinami.



Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO



1842.

OBRAZY

WYCIĄGI I PODRÓŻY

WYCIĄGI

J. J. KRASZENSKI

Wydanie drugie

Pozwólono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowa-
niu egzemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury.
Wilno. 1842 roku 15 Lipca.

Cenzor, Radca Kollegialny i Kawaler

JAN WASZKIEWICZ.

Wydanie drugie

Wydanie

Wydanie drugie

WILNO

Wydanie drugie

Wydanie

1842

I.

WSPOMNIENIA WILNA. (1830—1835).

I

RESPONSES TO THE

(1830-1832)



I.

Wspomnienia Wilna.



I. Spójrzanie na miasto i mieszkańców 1830 — 1835.

NIEGDYŚ miało Wilno fizjonomją swoją własną, oryginalną, charakterystyczną, odrębną, której dziś hardzobyśmy w niém dostrzedz radzi; cóż, gdy teraz jak większa część miast i miasteczek którym szczególne położenie jeograficzne, udzielne stosunki handlowe, napływ cudzoziemców nie nadają fizjonomij właściwój, podobne one do wielu a wielu innych, i niczém się szczególném

nie odznacza. Nowożytnie upiększenia miast, budowle, gmachy, drogi, mosty i t. p. wszędzie są prawie jednakowe u nas, mieszkańcy różnych stanów powierzchownością do siebie się zbliżają i jedną bezfarbną całość stanowią, starożytności tylko nieco wyszczególniają miasta, Wilno zaś z mnóstwa pamiątek starożytnych, niewiele bardzo zachowało nienaruszonych i nieprzeistoczonych, już to z koniecznej potrzeby, już to z niepojęcia wartości pamiątek. Wojny, pożary i sama niszcząca powolnie, niewidomie siła czasu skruszyła pomniki, po których wspomnienie głuche (na krótko) i miejsce (niepewne najczęściej) pozostało. Na resztę niedobitków przyszli ci ludzie bez smaku i uczucia starożytności, którym się zdaje, że najlepiej się przysłużą pamiątkom dawnym, gdy je odmalują na nowo i przerobią tak, żeby się wydawały *nowe*. I na gruzach wzbudzających wspomnienia, stanęły gmachy wżółtych sukienkach, na miejscu szczytów gotyckich, frontony greckie; gotyckie budowle pobielono, stare nagrobki wyłożono na nowo, wyrestaurowano — Ale to historia nie naszych

tylko pamiątek — jest to już naśladowanie z francuzkiego — dajmy temu pokój.

Ze wszystkich prawie stron od wjazdu nieosobliwie Wilno się wydaje, a od Lidzkiego gościńca najniekorzystniej, bo go się domysławiając, niewidzim aż w bramy miejskie wjedziemy.

Jedziesz, jedziesz, powiadają ci, że miasto jest już blisko, wleciesz się po piaskach, chudemi szkapami z Jedlińskiej stacji wziętemi za wielkim targiem z pisarzem, co ich mimo podorożnej dać niechciał, czujesz już miasto, po jego mefitycznej atmosferze, poznajesz je po dziadach ubogich siedzących nad drogą i śpiewających gdy się podróżny ukazuje, dalszy ciąg wczoraj zaczętych godzinek; — poznajesz po spotkanych powozach widocznie miejskich, czujesz miasto tuż przed sobą; podnosisz się na siedzeniu zniecierpliwiony — nie niewidać: a gdy upadłeś znowu kwaśny i zły, postrzegasz rogatki przed sobą, oglądasz się, jeszcze niema miasta — Już przecie wjechałeś do niego i niewiesz kiedyś wjechał, jakim cudem cię otoczyło nagle.

Od Pohulanki i Trok zjeżdżając z góry przynajmniej całość tych ściśnionych w dole między górami murów spostrzedz możesz i policzyć wieże kościelne wyglądające (przepraszam za porównanie) jak palce z podartej rękawiczki. Nad miastem panują góry trzykrzyska, zamkowa i bekieszowa, ono opasane niemi, ściska się nad rzekami w dole zamknięte. Wieża Ś. Jańska, ten kolos przez Jezuitów wystawiony, August-jańska, szczyty kościółka Ś. Anny i wiele innych wybiegających w górę strzał kościelnych, ukazuje się po nad piętrzącymi dachami. Z góry poglądając na ten ścisk domów bez żadnego pobudowanych wdzięku, ledwie dójrzysz ciasnych ulic, przeciskających się jak strumyki pomiędzy skalami. Możnaż uwierzyć patrząc na to, że w XVI. już wieku, była tu mowa, były urządzenia o prowadzeniu ulic pod sznur.

Mówiłem już że w fizjognomij Wilna niema nic oryginalnego. Domy stare nawet niemają charakteru i oryginalności; domy nowe ładne są, ale także bez charakteru, takich domów pełno wszędzie, gdzie tylko Bóg po-

karal uczonym architektem i wzorami sztychowanemi budowli, równie stosownych dla Stockolmu, Paryża, Londynu i Wilna; bo w żadném z tych miast, nie oburzających kształty swemi, ale nie zastanawiających też stosownością swoją do potrzeb miejsca, klimatu, obyczajów. Ulice Wilna po większej części nieregularne są, ciasne i ciemne, zaułki ciasniejsze i ciemniejsze jeszcze. Pragnącym oryginalności koniecznie, zalecamy żydowskie wązkie zaułki, tu charakteru nie brak.

Kościółów nowych tak jak niéma, za to stare są wybornie poodnawiane, tak że do starych i do nowych nie podobne; cechują je tylko (wyjmuję dwa Bernardyńskie) wieże, ciężkie, niesmacznie ozdobione, widocznie XVII i XVIII wieku. Na niektórych z nich kwitną w murowanych wazonach, blaszane kwiaty, zasadzone sto lat temu; wyobraźcie sobie, jak to zdobi! Widzisz z góry wielki kościół Ś. Jański, gmach bez kształtów widocznych, z wieżą panującą po dziś dzień, jak tu niegdyś panowali Jezuici, i przylepionym gankiem odmiennego smaku i

stylu. Katedra piękna, ale zimno piękna, bo jęj główna cecha pięćsetletnia starożytność, znikła całkiem w odnowieniu pod czystą i prostą sukienką dorycką Gucewicza. Jest to jakiś pantheon, nie Katedra Jagiellowa, nie Witoldowy grób—ledwie kopuły kaplicy i odpowiednia jęj druga, napominają, że to Kościół i że Zygmunt III. pobożną swą rękę, przyłożył do niego. Ale tém smutnięj widzieć ślad po Zygmuncie gdy go niema po Jagielle i Witoldzie.

Powiadają wszyscy, że to stary także Ratusz, a przynajmniej na starego stojący gruzach, ale pytam kto się domyśli jego wieży z zegarem, jego pręgierzy i pilata, jego gotyckich kształtów, z tego frontonu klasycznego? I tak czas, pożary, brak artystycznych pojęć, zaparły drogę wspomnieniom, przeistoczyły wszystko. Kawał tylko muru na Turzėj górze, relikwja XV wieku, Kościółek Ś. Anny, Bernardyński, stara cerkiewka Ś. Mikołaja, podobna do pudelka, oto wszystkie prawie budowy, dawne czasy na myśl przywołujące.

Jeśli ci się podoba potém, z budowli rzu-

cić okiem na mieszkańców, niepostrzeżesz w nich nic, czegobyś gdzieindziej już w podobnej amalgamie niewidział. Brudne sklepiki żydowskie i żydzi dość brudni, szynk w każdym prawie domu na dole, ze swoją właściwą czeredą pijaków, kramiki z drzemiącami w nich żydowicami, o kilku półkach spleśniałych towarów, o krzykliwym posługaczu, co gwałtem do nich nęci, w najniewinniejszej myśli przechodzących spokojnie ludzi.

Ubiory jak wszędzie i ludzie jak wszędzie;—kilku starców w kapotach szarych i czapkach z barankami, z laskami na rzemieniu u ręki wiszącymi, kilka pań w różowych kapeluszach, kilku młodzieży mniej więcej umundurowanej z nosami do góry, kilku pokornych xięży dążących do klasztorów, żołnierze idący na wartę wymierzonym krokiem, kolporterowie ze słoikami, laskami, parasolami, miotelkami; bukiniści z obszarpanemi książkami pod pachą, dziewczęta niosące wodę od Ś. Jana w dzbanuszkach; z wielkimi kolczykami u uszów, z piosnką na ustach, w fartuszkach. Wśród nich pieszko idący urzędnik

podsiwiali na usługach kraju w wytartym futerku lub wyblakłym płaszczu, Jejmość za którą służący w liberij na poprzednika swego robionej niesie xiążkę lub pieska, powoz sześciokonny z krzykliwym zwoszczykiem przesuwają się. — Ale fizjonomja zmienia się co chwila, jak twarz człowieka, z odmianą pory, czasu, godzin dnia, okoliczności szczególnych i miejsca obserwacji.

Na ulicy Niemieckiej, gdzie od XVII. wieku siedzą sami żydzi, ze sklepami sukien, wexlarniami i t. p. pełno żydów, pierwiastek izraelski przemaga (styl nowój szkoły) — pełno ludzi zajętych, spieszących, kończących dla pośpiechu interess na ulicy; — drażki stoją u drzwi, słyhać targi i głośnie zapraszanie gizelów. Jest to królestwo bród i pantoflów, czuć je po właściwym nieopisanym zapachu. Gorzej jeszcze na szklannym zaułku obsadzonym samemi żydami od czasów Władysława IV. kiedy im to miejsce specjalnie wyznaczono dla tego zapewne, że dobrze wprzód, sami je bez pozwolenia zajęli. Tu na prawo trącasz łokciem o sklep, w lewo o kram się ocierasz, żydzi mało cię nie

rozedrą, a chwilowój przynajmniej głuchoty pewnym być możesz od niecznośnego ich piśkliwego wrzasku zapraszającego cię do sklepu. Tu spotkasz pełno osób, co nie dobrych ale tanich szukają towarów i uważają targowanie się z żydami, za lekarstwo wzmacniające żołądek.

Posłuchaj tylko jak pięknie, jak słodko żydzi zapraszają, na wszystkie strony.

—Jegomość! Jegomość! proszę do mnie, do Gitli, Jegomość, do Rubinowój—Proszę Jegomości. A czego Jegomość potrzebuje.

— Okularów?

— Jest, jest, proszę, proszę —

Zaproszony wchodzi.

— Czego Jegomości potrzeba?

— Okularów?

— Wus! Może Jegomość potrzebuje tytoniu, cynamonu, migdałów, cukru, kawy?

— Potrzebuję okularów.

Tu potrzeba widzieć, z jaką wzdardą dla tego który śmie żądać okularów a nie potrzebuje ani cukru, ani migdałów, ani cynamonu; kupiec odpowiada odwracając się —

— *Tege* niema.

Na Końskim Targu szuja żydów snuje się po błocie wśród powózek połamanych do najęcia dla niej stojących, wozów siana, koni na sprzedaż, sklepików z powrozami, garnkami i t. p. i wyroby krajowemi! Tu słyhać gwar największy, gdy dwa, że się tak chemicznym językiem wyrażę, pierwiastki powinowate sobie się zetkną—chłop biedny i żyd niepocziwy. Nieraz jedną furę siana oblega pięciu faktorów i na współzawodnictwie konsumentów (protestując się zawczasu przeciw mogącemu się z tych słów wyrodzić mniemaniu, jakoby żydzi wileńscy, sianem się karmili)—traci biedny chłop najczęściój.

Przejdźmy na Antokol—Tu cicho, niema gwaru, czasem tylko w piękny dzień pogodny, w Maju, Czerwcu, w pogodnej jesieni, spotkasz kilka drążek śpieszących do Tivoli, kilka koczów toczących się do Sapieżyńskiego ogrodu, kilka starych małżeństw i starych panien na powolną wyszłych przechadzkę; żydów tu prawie nie postrzeżesz, mówię, prawie, bo i tu napotkać ich można, a całe roje snują się w szabas wystroiwszy, używając

wczasu i wygrzewając na słońcu, od którego widoku nie się nie placi.

Koło Zielonego mostu pusto—Tędy chłopci na targ jadą licznie, ale targi trwają nie długo i znowu cicho. Więcej tu podobno mieszczan niż żydów, populacja cicha, domy pozamykane, nie słyhać głosu izraelskich dzieci, ani turkotu drażek, które się tedy rzadko przesuwają.

Nigdzie znowu niema więcej ruchu, jak na Dominikańskiej i Trockiej ulicy z Niemiecką. Tu najgęściej podobno na trotuarach kobiet i mężczyzn, najwięcej drażek i pojazdów, które ztąd aż ku Ostrzej Bramie cyrkulują nieustannie do późnej nocy. Ku Popławom i na przedmieściu Ostrém ruch się znowu zmniejsza. Ztąd najwięcej prawda przybywa podróżnych, ale ich zaraz na wstępie, polykają zawsze głodne zajezdne domy żydowskie, gdzie przybyli z prowincji pośpiesznie się lokują, przekonani o niebezpiecznej drożyznie wewnątrz miasta panującej, przyplacając najczęściej sławioną tanność przedmieścia okradzeniem lub odarciem nie-miłosierném na odjezdniém.

Nareście fizionomja miasta zależy od pory dnia.

Bardzo rano, kiedy dzwonią po kościołach na jutrznią, na pierwszą mszą ranną o mroku; ledwie się przesunie po ulicy złodziej, zaspana kobieta, budnik, stróż porządku i dobrych obyczajów, latarniarz z drabinką na plecach, śpieszący na pomoc gasnącym rewerberom. Potém postrzegasz mleczarki z blaszanemi naczyniami na ręku, słyszysz stukanie do niektórych bram, pokazują się światelka u pracowitych rzemieślników, czasem przerwie cichość turkot powolnie wlokącego się wozu. Kolejno otwierają się bramy i furtki, wychodzą słudzy i służące po wodę, ich rozmowy i śmiechy, rozlegają się po pustych jeszcze ulicach. Przekupki ciągną się na łokcie, za niemi śpieszą kupujący, gdzie niegdzie otwiera się pół kramu, jak jedno oko rozespanego; ale cicho jeszcze. Dopiero ze dniem drążki zjeżdżające się na swoje zwykłe stanowiska rozpoczynają ruch, za niemi wysypują się żydzi, studenci, kanceliści. Kawiarnie i cukiernie otwierają się, chłopcy mokrego jeszcze roznoszą kur-

jera. Tak się ruch dnia rozpoczyna. Ku południowi kiedy z kancelarij, szkół i zewsząd śpieszą na obiad, ruch ten pomnaża się na chwilę, a gdy każdy poszedł już jeść i trawić, miasto na chwilę widzialnie staje się pustém i odpoczywa. Jest to dowód, jak w Wilnie serjo uważają, tę chwilę dla żołądka stanowiącą.

Po obiedzie, a mianowicie ku wieczorowi, wszyscy którzy mogą wyjść na przechadzkę lub wyjechać, ruszają ku Antokolowi, ku Pohulance, na Popławy, więcćj tu teraz niż rano ukazuje się powozów, piesi są wyraźnie strojnięjsi. Z zapaleniem latarni jeśli jest teatr, maskarada, bal; drążki warczą bezustannie po bruku, jeśli to nie pora zabaw, cichość panuje rzadko przerywana kół turkotem. Ulica Dominikańska staje się zupełnie pustą; najwięćj jeszcze ruchu koło Ś. Jana i w sąsiednich większych ulicach.

O ósmej i dziewiątej wielki świat (który w proporcją malego, jest sam maleńkim tylko światem) jedzie na wieczory prośzone; jego karety i koczki powolnym systematycznym turkotem wcale różnym od szalonego, trzpioto-

watego warczenia zwinnęj drażki, przerywają sen o północy i później jeszcze, kiedy już tylko wielcy bardzo panowie i wielcy bardzo gracze do domów wracają, a wielce tylko biedni i pracowici bardzo, dosiadają przy świecach. Naówczas to natrętne stukanie do bram, wśród powszechnęj ciszy jest nieznośne. Ale jak chcąc przypatruj się miastu, gdy go z innemi porównasz, nie znajdziesz w niém najmniejszego podobieństwa do najmniejszėj stolicy, chociaż nią było kiedyś. Dość ludne (1850—1855) w stosunku do swęj obszerności, jednak jakby było pustém bawi się z największym smakiem plotkami, szpieguje i ogaduje jak mała miescina, wstaje dość rano, śpi w nocy po parafjańsku, nie zna się wcale na modach (dowodem tego, że nikt strojów w Wilnie nie sprawia prócz tych co się na nich nie znają)—i w prostocie ducha rozumie że jest małym Paryżem. Co to za szczęście mieć choć taką opinją—o sobie.

Tu, jak na prowincij, wszyscy ludzie się znają, jeśli nie osobiście, przynajmniej wiedzą kto są; każdy zna historją każdego; i czasem nawet nie wiedząc nazwiska, sku-

tkiem ciągłego spotykania się, dowiaduje się historij obyczajów i nałogów; wie gdzie Pana N. w żółtym surducie spotka, gdzie i o której ten a ten w okularach idzie, wie po co i t. p. Każdy nowo przyjezdny tak odbija na tej swojskiej massie, że go wszyscy, aż do chłopca ulicznego, aż do dziewczyny z kawiarni, poznają od razu. Wszystkie powozy są policzone, konie znajome—pociemka je poznawają mieszkańcy, zupełnie tak jak na wsi i tak jak na wsi, wiadomo wszystkim kto kogo kocha, kogo nie lubi, gdzie bywa, co robi, wiele ma pieniędzy, od kogo je pożycza. I tak jak na wsi jeśli postrzeżesz twarz bladą, oczy wpadłe, wszyscy ci powiedzą dla czego ten ktoś ma twarz bladą i oczy wpadłe. I tak jak na wsi siedzisz tu pod przezroczystą zasłoną na oczach ludzkich, a brama się twoja nie otworzy, ani usta twoje, żeby o tém jutro echo się nie rozeszło po mieście daleko. Wyrachowano przecie wiele tysięcy mil przebiega światło w przeciągu sekundy; ale któż obliczy bieg plotki, prędzej od światła. Światło przynajmniej dójść musi, aby je ujrzano; plotkę często odgadną nim

dójdzie, przeczuja, tak o niej wcześniej przemysłają.

Ale z kąd to wszystko pochodzi?—Powiemy szczerze jak się nam zdaje—z próżnowania, z braku zajęcia, a zajęcia potrzeby. Kiedy mało czytają, niewiele piszą, nie zajmują się muzyką, malarstwem, naukami i zmuszeni czémś się zająć i coś trawić dla umysłowego (tak to się zowie) życia;—zajmują się—plotkami.

Jeśli niczego więcej, to przynajmniej wielka szkoda czasu.



II. Kościoły, Uroczystość.

ZACZNIJMY wspomnienia nasze od Kościołów i obieźmy znaczniejsze przynajmniej. Kościół Katedralny ma to za sobą że stoi na wielkim placu, który go całkiem obejrzyć dozwala. Architektura jego grecka, klassyczna, prosta i wdzięczna; ale że go czyni podobniejszym do pantheonu, niż do katolickiego starożytnego Kościoła i nie godzi się z dawną wieżą tuż obok stojącą, nikt temu nie zaprzeczy. Architekt, któremu wysokiego talentu nie ujmujemy, zapomniał zupełnie że odnawiając Katedrę trzeba było w niej koniecznie ślad kilkusetletniej starożytności zachować, stanowiącej jęj właściwy charakter, malującej dotykalnie jęj historję. Tak jak jest, jest to bardzo piękny Kościół nie przeczę, ale Kościół jakby wczoraj fundowany, na ktorego fronton patrząc, prędzej na myśl przyjdzie Grecja, Paryż, Włochy, niż Jagiello i Litwa. Możebym wolał niepiękny Kościół, a wido-

cznie stary, widocznie nasz własny, na którym czepiały wieki ozdoby różnokształtne znacząc swoje przejście, wolalbym okopciałego muru kawał, budowę nie prawidłową a Jagiellońską, jak wolę pieśń naiwną ludu, od wymuskanej piosenki uczonego poëty. Katedra tamta mówiłaby nam o przeszłości, gdy ten piękny Dorycki Pantheon, niczém do nas nie przemawia.

Lecz nie należy zupełnie obwiniać Gucewicza, architekta pełnego talentu, któremu tylko brakło uczucia właściwości sztuki, uczucia względnej, pamiątkowej piękności; Kaplica Ś. Kazimierza za Zygmunta III. poczęta, za Władysława IV. skończona, stanowiła tu dla niego skazówkę stylu w jakim resztę budowy miał odnowić. Nie chcąc tej najświeższej pamiątki niszczyć, a pragnąc ją harmonijnie wcielić, dotworzył całość w tym smaku. Przytém, może już restauracja charakterystyczna budowy, była niepodobną, bo ulegając kilku pożarom, odnowieniom, przyklepieniom Kaplic, Katedra czasów Gucewicza, wystawiała budowę bez charakteru, zlepek części nie stanowiących jedności.

Ale jakkolwiek bądź, my zostając przy swoim, ubolewając, że Katedralny Kościół nasz litewski, główny; tak ma oblicze nowe, jakby pięćset lat nie ubiegło, od założenia jego na gruzach pogańskiej świątyni.

Wnętrze Kościoła jest wspaniałe; świeżo zajęto się ozdobieniem go jak najlepszym smakiem i zdaniem znawców, (bo myśmy sami tego nie widzieli) dopełniono wewnątrz tego, co powierzchowność obiecywała. Żal że i wewnątrz pamiątek starożytnych, nagrobków mało. Witoldowy ów przez Bonę postawiony gdy pierwszy nagrobek bohatera, chorągiew z jego wizerunkiem niszczał, także dziś nie istnieje. — Kaplica Ś. Kazimierza ozdobami swemi smak XVII wieku przypomina; tu godne uwagi malowidła al-fresco, powszechnie cenione wysoko; wyobrażające sceny z żywota Królewica—obraz trójreźny i wiele bogatych ozdób.

Nabożeństwa niedzielne sprowadzają do Katedralnego Kościoła, na kazania mianowicie, wielki świąt nabożny, który się podziela między Katedrę i Dominikański Kościół.

Ten ostatni, tytułu Ś. Ducha, sławny pię-

knym organem, na którym Renner grywał bywało ślicznie (szkoda że najczęściej urywki z Koncertów i wcale nie kościelną muzykę) jest ciemny, smętny i dość brudny. Ozdoby jego XVII i XVIII wieku, złocenia *quondam*, poczerniałe, mury obdrapane, sklepienia zakopcone, nadają mu fizjonomję posępną. Kościół ten zwykłą architektom ostatnich czasów metodą, tak jest postawiony, żeby niczem prócz ilości ołtarzy i ozdób nie zastanawiał, nie wysoki, nie niski, nie wielki, nie mały; — oko biegając mimowolnie za szczegółami, nie może pojąć całości. Pamiętką tu są dwa dawne portrety; Króla Alexandra Jagiellończyka i Kapellana jego Korczaka, co Probostwo S. Duskie, wprowadzonym Kaznodziejskiego Zakonu Mni-
chom odstąpił.

U Bernardynów i S. Anny najwięcej nabożnych bywa na prymarij i ranniej wotywie. Znacie wszyscy przynajmniej z rysunku prześliczny Kościółek S. Anny, jedyną ozdobę Wilna, którą na klęczkach podziwiać potrzeba. Ale wejdźcie do środka—znika urok—Kościółek pobielony, nagi, jasny, mały jak

latarnia. P. Narbutt dowodzi że imię architekta odkrył i datę pewną kiedy zbudowano Kościółek, wierzymy temu, choćby dla przyjemności chwalenia mistrza. W Kościółku tym zawsze i dotąd jeszcze zbierają się Niemcy, bywają dla nich Niemieckie Kazania. Słuchając ich, żywo przypominamy sobie, predykanta Wiklefa, co z téj Kazalnicy, siał pierwsze nasienie reformy.

U Bernardynów w największej liczbie zbierają się rzemieślnicy i klasa średnia— U drzwi tego Kościoła największa liczba dziadów. — Jednego z nich pamiętam, starego paralityka, który ze szczególnym uśmiechem częstował wszystkich przechodzących tabaką i dobrze na tém wychodził. Któżby odmówił? A któżby znowu chciał darmo, szczypty pociechy ubogiego pozbawić? Dominikanie mają także właściwego swego dziada, na którego ile to ranków patrzałem z okna Klasztoru XX. Pijarów!! — Dziad ten ma nogi powykręcane, co mu nie przeszkadza do umiatania przed-sionka i ulicy.

U XX. Augustjanów czarnych skromne i ciche nabożeństwo. Kościółek mały, ale do

modlitwy jedyny dawniej, gdyby nie dystrakcja młodzieży przelatującej czasem, dla przypatrzenia się nabożnym. W Niedzielę ma właściwą sobie ludność, pań urzędniczek, Kancelarzyszek, i t. p. Uczniowie Medycyny przychodzili tu zakręcić się i zajrzeć pod kapelusz pięknościom skromnym małych ulic. Przez ciekawość warto spojrzeć w prawo na obraz Ś. Jana Jalmużnika.

U Ostrój Bramy nabożeństwo najliczniej uczęszczane bywa we Środę i Sobotę. Nawówczas wszelkiego stanu osób pełno na ulicy, a delikatniejsi, co się lękają pomieścić z tłumem modlącym na bruku, siedzą na galerij. Nie wiem czy ztamtąd, czy z bruku na którym ubodzy gołemi nogami klęczą, bliżej do Boga. To pewna że galerja wzniesiona jest nad ziemię, około czterech łokci. Codzienne msze przed cudownym obrazem są także dosyć uczęszczane, a często i w nocy nawet lampa cudownego obrazu, sprowadza tych co się prawdziwie chcą modlić. Pamiętam jak wracając z wieczora widziałem tam jakąś postać włachmanach z załamanemi rękami modlącą się z jękiem do Bogarodzicy. Nigdy tego o-

brazu nie zapomnę. Teraz tak rzadko wi-
dziemy pobożnych bez rachuby—Drugi raz,
serce mi się scisnęło, spotkałem tu wojsko-
wego, co śmiał szydzić z nabożeństwa. A
ileż to razy jeszcze pod okiem Matki Bolesnej,
napatrzyłem się z sąsiedniego okna mojego
mieszkania, scen tak różnych, tak miejscu
niewłaściwych.

Wielka na łańcuchu spuszczaająca się skar-
bona, napelnia się prędko. W Bramie siedzą
przekupki z obrazkami, szkaplerzami, paciór-
kami i t. p. Żydzi się tu nie pokazują nigdy,
bo by musieli jak wszyscy zdjąć czapkę przed
Bramą. Tylko ci, którzy drążkami wożą,
mogą tedy przejeżdżać; lecz w swoim wła-
ściwym stroju, żyd przechodzący tedy, wzbu-
dziłby powszechną animadwersją, mogącą
się skończyć na guzach. Taka jest moc da-
wnego zwyczaju i tradycyjne wyobrażenie o
świętości miejsca. Blisko, połączony z Ostrą
Bramą, dość duży Kościół Karmelitów, nie
piękny wcale, bywa także czasem pełny
w Niedziele i na Ś. Józef.

Cerkiew stara Ś. Ducha z monasterem
odznacza się położeniem odosobnioném od

domów na szerokim placu, który ją wido-
czniejszą czyni. Architektura niepiękna.

Inne Kościoły najwięcej uczęszczane by-
wają w właściwe im święta i odpusty a w po-
wszedne dni rzadko w nich można znaleźć
kogo na mszy, prócz kilku staruszek, star-
ców i ubogich.

Najwspaniałej obchodzone są tu Święta
Bożego Ciała z processją, od Katedry, do
czterech ołtarzy lub czterech Kościołów. Da-
wniej nieraz zdarzały się wśród téj uroczy-
stości zaburzenia, z powodu sporów o po-
rządek iścia cechów; nieraz i strzał dał się
słyszeć, gdy Białoskórniccy wyprzedzili panów
Czarnoskórników, panowie Łożewnicy, pa-
nów Magierników. — Dawniej zdobiono u-
lice, wywieszano z okien kobierce i obrazy,
potrzęsano bruk kwieciem. Pamiętna jest
jedna Processja Bożego Ciała za Biskupstwa
Brzostowskiego.

Do Kościoła Pana Jezusa na Antokolu,
odbywają się w piątki majowe pielgrzymki
pobożne, świetne ubiorami, pojazdy próżno
idącymi — pielgrzymki może dziś więcej dla
zwyczaju niż dla nabożeństwa odbywane, bo

połowa pątników Antokolskich zamiast do Kościoła na modlitwę, śpieszy tylko do Sapiżyńskiego ogrodu na przechadzkę.

Ważną uroczystością są tu Groby W. Piątkowe. Nigdy lepiej mieszkańców miasta zobaczyć nie można, jak wówczas, wszyscy się wysypują na ulice. Kościoły stroją najstaranniej groby swoje, każdy właściwym smakiem i sposobem, niektóre (i tych najwięcej) tradycyjnie, co roku jednakowo zupełnie.

U Dominikanów jest w głębi korytarza grób ozdobiony szkiełkami, lustrami, kwiatami sztucznymi, fontanną, przesuwającymi się obrazkami stacij. U Ś. Jana osobna na to przeznaczona Kaplica bardzo prosto i pięknie dosyć przybrana. Wyobraża ona grób, około którego leżą znaki męki, szaty Zbawiciela, kości któremi je rozegrywano. W Katedrze także osobna Kaplica z dekoracjami wyobrażającymi świątynię Grecką na górze, odpowiada ona charakterowi Kościoła.

W Klasztorach żeńskich pełno kwiatów u grobów i piękne słychać śpiewy. W innych muzyka instrumentalna, lub ukryte fortepiano

przygrywa. Amatorowie grywają u Bonifratrów, u których nacisk jest wielki dla widzenia obłąkanych. Pojąć nigdy nie mogłem przyjemności ludzi którzy się bawią patrząc na najostateczniejszą degradację człowieka i śmieją do rozpuku z obłąkanych. Podobno najwięcej biega tu kobiety. Dziwna ciekawość, którą nieraz rumieńcem przypłacić potrzeba, kto jeszcze ma rumieniec.

Skutkiem pięknego dawnego zwyczaju populacja Wilna, nawet wyższych klas ludzi, mają sobie za obowiązek pobożny obchodzić wszystkie groby. Wyobrazić sobie nie można ściskającego się na ulicach tłumu, różnaitości figur, min, strojów; trzpiotowatości młodzieży; która od *grobu* do *grobu* goni za upatrzoną pięknością. Co za profanacja! Co za sprzeczność — Zaloty i grób; a czyżże grób jeszcze! A jednak wszyscy tu są strojni, ubrani, wszyscy chcą się tylko pokazać, nikt prawie się nie modli, jednych *rendez vous*, drugich muzyka, trzecich chęć popisania się ze strojem prowadzi tutaj. Prawie nikt, powtarzani nie modli się. Chodzą, śmieją się, biegają, przeganiają, spotykają, uśmiechają,

w wilją marzą o tém, następny dzień o tém tylko mówią. Ileż to spojrzeń słodkich, ile uśmiechów przy grobie. Nie wiem jak ten tyle znaczący wyraz — grób, nie odpędzi od nich myśli próżnych, uczuć wesółych, jasnych, lekkich. Ale oni o niczém prócz siebie nie myślą. Życie tak jest smaczną potrawą, dla tych, którzy nie wiedzą dla czego, czemu żyją i dokąd ich życie to prowadzi!

Ulice Wilna ożywione są, pełne ludu — wszyscy się śpieszą, popychają; ten za salopą czarną, tamten za niebieskim kapeluszem. Ta — całując krzyż odwraca się i patrzy — Mój Boże! to się zowią ludzie, którzy mają wieczność przed sobą!

Posłuchaj rozmowy:

Dwóch młodzieży; jeden w tużurku cy-namonowym, drugi w płaszczu o jasnej podszewce, idą od Ś. Jana do Katedry.

— Ty już byłeś Jasiu w Katedrze?

— Byłem, biegłem myśląc że ją tam zastanę, ale mi się nie udało, złapałem ją dopiero u Ś. Jana i teraz za nią gonię do Katedry znowu; już jęj nie opuszczę do wieczora. A ty?

— Ja jeszczez mojej Paulinki nie spotkał nigdzie. Wiem że wyszła odwiedzać groby, bo przechodząc koło jej domu, widziałem powóz u bramy —

— Śmieszny jesteś, naturalnie zacznie od najbliższego Kościoła—trzeba tam było czekać u Augustjanów.

— O! nie mogę ustać na miejscu —

— Wiesz co wstąpmy do Cukierni —

— Na momencik —

— Dobrze, na momencik tylko.

Dwie panie w atlasowych salopach i axamitem ubranych kapeluszach, pół-zimowych.

— Widziałś Rejentowę, jak się naczuprzyła—Co za kapelusz—Gdzie ona go kupić mogła?

— A! wiem! koło Fiorentiniego u.....

— Ale to wieża Babel—!

— Albo Sowiernikowa;—w szlafrocisku? Kto wychodzi w szlafroku na ulicę?

— Naturalnie, tylko Sowiernikowa chyba.

— Pan Antoni ci się kłania, na lewo spójrzyj na lewo.

— Pewna jestem że ten ukłon dla ciebie nie dla mnie.

— Tak jesteś spokojna o niego, że nie lę-
kasz się przypisywać go komu innemu.

Wchodzą do Kościoła.

— Spójrzysz na prawo zmiluj się kto w tym
cytrynowym szalu—?

— Cóż zupełnie nieznajomego, jakiś śli-
maczek, co dziś dopiero wyszedł ze swojej
skorupki.

Dwie podżyłe kobiety.

— Pani, będziesz piekła święcone u sie-
bie, czy wezmiesz u Hurtiga?

— Trochę upiekę, a resztę dokupię. Nie
wiedzieć co zrobić; bo i tak drogo i tak drogo.
A tyle zachodu!

— Ja nie nie piekę w domu — A mię-
siwo?

— Przysłali mi ze wsi.

— Jakże się dzieci mają?

— Zdrowe dzięki Bogu; młodsza dostała
kaszlu —

— Na kaszel niema jak zimna woda.

— P. Wróblewski zapisał ulepek.

Dwóch podżyłych mężczyzn.

— Rejenta Dobrodzieja.

— Sługa Pana Sędziego.

—Jakże poszedł wist wczorajszy?

—Trzy robry na głowę przegrałem. Dwa szlemy wziąłem raz po raz. Musiałem usiąść pod belką—piętnaście rubli.

—Szkaradnie! Słyszalesz Pan o tym biednym stołonaczelniku?

—Cóż chcesz? Słyszałem—Nie przyjmować więcej do służby! Ostro! ostro!. Miał nieprzyjaciół. Nie dziwnego.

—Prokurator podał się do odstawki. Szko-
da; dobry człowiek. Brał to prawda, no, a-
le kiedy wziął to zrobił.

—Tak, to nie mała rzecz, bo są tacy co
i wezmą i nie zrobią!

—O są tacy!

—A gdzie dziś wieczorem?

—W domu.

—Nie łaska do mnie na wista?

—Jeśli każesz—

—Będzie Konsyljarz i Sowićnik. Zało-
żym złotówkowego wista.

Tak to pobożne wiodą się rozmowy u gro-
bu Pańskiego. Dzień ten w ciągłej przepę-
dziwszy gorączce wracają do domu mówić o

ubiorach, o ludziach. Zwierzają się poufale myśli swoich, o tém, o téj, o tych.— Ten złapał na drodze uśmiech dobrej wróżby, ten słówko wielkiego znaczenia. Każdy żartuje, szydzi, śmieje się, chwali. Wszystkie domy ożywione są, zajęte aż do Rezurekcji, aż do Święta.

Rezurekcja odbywa się w każdym kościele o innéj godzinie, aby wierni, a raczéj ciekawi z jednego do drugiego kolejają, tak jak od grobu do grobu przechodzić mogli. Zaczyna się około dziewiątej wieczornéj, trwa do dziewiątej rannéj. Téj nocy niéma snu w mieście. Tłumy z kościoła do kościoła krzycząc i śmiejąc się przebiegają, a noc tak czarna! a ludzi tak różnych i tak wiele! Bramy domów stoją nie pozamykane, kościoły otwarte, traktjery ledwie po północy się zamykają, drażkarze jeżdżą do świtu. W całym mieście, trwa dzień przez noc. Ci którzy nie chcą lub nie mogą do wszystkich lub do wielu chodzić kościołów, przynajmniej w jednym z nich być muszą.

Następuje Wielkanoc, ze święconém jak wszędzie. Cała niższa i najniższa klasa

ludności tłucze tysiące jaj naprzeciw Ratusza. Pocieszna i wcale oryginalna zabawka.

Jest jeszcze kilka uroczystości popularnych, z których Ś. Jan i pielgrzymkę na Rosę stary zabytek Sobótek pogańskich, za najważniejszą uważać można. Rosa, jest to smętarz za miastem. Wiemy, że wedle podania, dnia tego, (to jest téj nocy) zakwita Paproć, a kto kwiat jój odkryje, wszak już wiecie — jakby znalazł kamień filozoficzny. Do téj pory nikt jeszcze nie odkrył tego talizmanu; wielka szkoda; razbyśmy przecie wiedzieli, jak też to szczęście absolutne na ziemi wygląda, którego nawet pojąć nie umiemy.



III. Domy.

Domy mają fizjonomją, wiek swój napisany na czole i charakter jak ludzie, nikt już podobno o tém nie wąpi. Gdyby kto z domostw wileńskich, chciał o Wilna mieszkańcach wnosić, wziąłby ich (po większej części), za ludzi bez smaku, za leniwców. Bo połowa miasta zastawiona jest staremi domy i tak nędznemi, że się dziwić potrzeba właścicielom, iż ich przynajmniej nie poprzera białają, gdy widocznie i niewygodne i niewdzięczne oku i co najgorzej brudne. Gdyby to choć starzej budowy wybitny charakter na nich, gdyby coś przypominającego dawność — ale często tylko grube warstwy brudu, naprowadzają na myśl, bardzo dawnego — zabrukania.

Z nowszych domów, kilka jest wcale pięknych, ale prawie żaden wybitniej się nie odznacza, a wszystkie są tak ściśnięte, poklezione, tak im ciasno, że gdyby nawet były

piękne, trudnoby się tego dopatrzeć w nieprzerwanym szeregu murów. Do piękniejszych się liczą dom Wańkowiczów, Pusłowskich (dawniej pałac Chodkiewiczów) Vittinghofowej, Müllera, Zawadzkich.— Do pamiętniejszych wypadkami należą Kardynałja, dom Skarbowy dawniej Zbór koło Ś. Michała, dom Pusłowskich, dom w którym była Piacionka, Służków pałac i t. d.

Stare domy, których wiele jest jeszcze na ulicach Wielkiej, Zamkowej, Dominikańskiej, zwykle sklepione w dolnych mieszkaniach, okna mają wgłębione, dużo schodów ciemnych, sieni, ciupek. W środku dziedziniec brudny z pompą, około którego kręcą się galerje z wiszącymi z nich rynnami, z rozwieszoną bielizną i tym podobnymi ozdobami. W środku bywa jeszcze kupa śmiecia, którą ciekawy pies analizuje. Nie brudniejszego nad dolne mieszkania, w których się zwykle żydzi mieszczą, ciupki zwłaszcza na tyłach domów, ciemne, nieczyste, woniejące. Na dołach także są szynki i kramiki, rozsypane prawie po wszystkich ulicach.

Za wielki zbytek uważa się tu dzwonki u drzwi, które się ledwie w lepszych mieszkaniach spotykają, o Szwajcarze jak o bajecznej istocie powiadają że exystuje gdzieś nigdzie, ale człowiek który ten obowiązek sprawuje, siedzi gdzieś w dziurze na drugim końcu dziedzińca, jak najdalej od wrót.

Od dołu do góry taki postęp jak wszędzie, nisko ubodzy, w środku bogaci, potem *decrescendo*, aż do strychu. Toż samo dzieje się z mieszkaniami na tyłach zostawionemi biedniejszym, gdzie powietrze duszne i ciężkie, wschody śmieciste, widoki zaparty i wieczna wojna sąsiadów. Tam się najwięcej rzemieślnicy sadowią; dawniej bywało nieraz i akademickie spotkałeś pandemonium, wrzawliwe, zadymione fajkami i zdala buchające wesołym śmiechem dwudziestoletnich szczęśliwych! —

Najbiedniejsze mieszkania, są w suterenach, sklepikach wilgotnych, ciemnych, rzadko czém inném nad okienko we drzwiach oświeconych. Schronienie to ostatniej nędzy, ubogich przekupniów, którzy blaszane swe pełne mléczywa naczynia i stoły zastawione

owocami wystawują na sprzedaż w szyjach tych lochów.

Domy przedmieść i zaułków, cale się różnią od budowli ulic głównych. Na zaułkach wielkie w kwadrat zabudowane, pełne żydowstwa kamienice, niepojętym są stekiem brudu. Na przedmieściach maleńkie domki, w części tylko żydami wypchane. Wszędzie gdzie się dał żydowski kramik przyczepić z nadzieją sprzedaży bodajby garnków, nieomieszkano z miejsca korzystać.

IV. Drażkarze.



MIESZCZANIE i żydzi utrzymujący drażki, małe, jednokonne, nie kryte, są numerowani na plecach i mają przeznaczone miejsca do stania, w ryneczku na ulicy wielkiej, koło Ratusza, na zejściu ulic Dominikańskiej i Wileńskiej i w kilku innych miejscach. Umieją oni doskonale poznać, kto z nimi pojedzie, a kto ich ominie, spuszczać się na nogi. Siedząc pół dnia i poziewając na kozlach, mszczą się żartami na przechodzących, którzy ich nie biorą.

Kiedy widzą nadchodzącego, odzywają się.

—Ja z panem pojedę!

—Jedziemy panie—

—Niech pan siada.

A kiedy przechodzień pokaże tylko gestem chętkę pojechania, gdy się zwróci, skinie,

wszyscy razem drogę mu zajeżdżają, klócąc się, odpychając, bijąc, lając —

— Co pan nie widzi! To szkapa! mój koń lepszy! Nie dowiezie do Ratusza!

Już jedziesz, a za sobą jeszcze słyszysz:

— No! no! ewicz siwego! niedaleko za-jedziesz — pół mili za dwa dni —

— Wiu! wiu! jak z furą gnoju!

Starsi i zamożniejsi są cierpliwi, powoli jeżdżą, uważnie, nie bardzo nabijają się przechodniom. Młodszy, byleś im kazał, lecają piorunem. Nie wszyscy znają dobrze miasto. Jest jeden który od niedawnego czasu począł stawiać z koczem do najęcia i spał dzień cały na kozłach. Stary woźnica który musiał wiele rzeczy widzieć, wiele przebyć. Jego siwa głowa, stare palone bóty, liberja galonowana odwieczna i wytarta, mina smutna i pogardzająca, pokazują że tylko z potrzeby rzucić się musiał do ulicznej prostytucji swojego rzemiosła. Biędny starzec musi żyć, a na życie choć siwy pracować. —

Drażkarze zmuszeni przypatrywać się przechodniom najlepiej ich znają i najprędzej umieją poznać kogo wiozą, po co i gdzie. Po minie

wyczytają cel i zamiar podróży, a ich rozmowy kiedy oczekują i szpiegują żeby kogo powieść, są bardzo ciekawe.

—Nu, mówi jeden trochę z żydowskiego, ten pojedzie.

—Który? Ten w szubie — o nie! Ma na nogach kalosze, pójdzie piechotą. Skapiec! czy widzisz jaką ma czapkę starą i zasmoloną z tyłu od włosów, a spodnie u dołu pozawijane, żeby się nie zbłocily.

—Prawda.

—Panienko! ja z panną pojedę — Ciężkie czasy niema wojska — poszła piechotą. A może teraz do licha zdumniała że na drążkach jeździć nie chce, bo ma widzieć nowy kapelusz, i salopę — Ej! czy nie od Sowienikowicza! Dawniej chodziła w starzej chustce na głowie i przydeptanych trzewikach — Często ją wieczorami po mieście wozilem. Służyła w traktjerze; kto wie, może wyjdzie na panią w końcu. Już teraz za nią chłopiec chodzić zaczyna, potem dostanie lokaja co jej będzie pilnował, a nakoniec i konie. Ot jak jej to łatwo przyszło! I co bardziej starzeje, biednieje, to bogacieje. Dziwowiejsko —

— A od czego nauka? rzekł drugi— Dawniej ją zwodzili, teraz ona zwodzi—

— Jak przyszło, tak pójdzie! powiada trzeci.

— Paniczu! proszę panicza!—

Usiadł. Drażkarz się nie pyta, gdzie go wieść. Na wiejską kawę pod rogatki? Do Tivoli, na Pohulanę? Niedawno był pierwszy, panicz ma pieniądze—Siadają we dwóch i jadą.

Nadbiega chłopiec po drażki dla pana. Wszyscy drażkarze do niego się umizgają, wybiera konia, siada i rozpiera się.

— A gdzieś pan pojedzie? pyta woźnica. Czy do Titiusa? Czy do Pana Ad... Czy do teatru.

— A Bóg go tam wie! Już gdzieś pieniądze wywiezie, bo ich nabrał w kieszeń, a nie wróci pewnie aż po północy.

— Dobry pan, płaci bez targu i jeszcze co na wódkę narzuci.

— Płaci, byle tylko miał czém—Stój!— Wieś go prędko, on to lubi.

Żniwem dla drażkarzy są przejażdżki do Kalwarij, do Wérek, a mianowicie do Trok

na N. Pannę, dokąd się wszyscy najmuja i
 cała ludność na ten sławny odpust się ciśnie,
 który tak doskonale jest opisany w dedykacji
 X. Baki do Burmistrza Dubińskiego. Po-
 grzeby także placą im nieźle, błota i dėszece
 o które P. Boga gorąco prosić muszą. Tea-
 tra, maskarady, są im także gratką. Ich
 znajomość ludzi i miasta czasem jest zadzi-
 wiająca. Dość jest jakiś czas pomieszkać
 w Wilnie, aby cię po nazwisku, zatrudnie-
 niu i kieszeni dokładnie znali.....



V. Faktor.

JEST w Wilnie istota jedna, której podobnej niema na całym ucywilizowanym świecie (wyjawszy miasta litewskie)—Tą istotą, jest Faktor—osoba oryginalna, charakterystyczna, jedyna w swoim rodzaju.—

Gdy przyjedziesz do jednego z miast Europejskich, wysiadasz na przykład z dyliżansu, potrzebujesz człowieka nająć do niesienia tłumoczka, nieznajomy musisz pytać o Hotel, jeśli cię do niego postyljon nie zawiezie, pytać służących hotelu o krawca, o szewca, pisać do Policji po adres znajomych, szukać sam wszystkiego czego ci potrzeba.

Tu zupełnie inaczej, za ledwie stawasz nogą w zajezdny domu, załéwa cię ciżba młodych żydziuków, ofiarując swoje usługi i nie odstąpi, aż jednego z nich wybierzesz za totumfackiego. Ten nowy twój sługa któremu placisz co laska, który się z tobą nie śmie godzić o zapłatę, jest to *Faktor*. W naj-

obszerniejszém znaczeniu wyrazu—*fac-totum*. Jest to sługa do wszystkiego, on ci sprowadzi krawca, szewca, mieszkanie najmie, znajdzie znajomych i znajome, on ci bóty wyczyści, dukaty zmieni, zrobi dla ciebie wszystko, co tylko zrobioném być może. A naprzód cię na swoją korzyść obedrze, bo to najpiérwszy obowiązek faktora, obowiązek którego sumiennie dopełnia. Egoista ale jego egoizm tak jest uniżony, płaski, pochlebny, tak się zgina we dwoje, tak unikezemnia, że go prawie nie widać, egoizm pełen poświęcenia. Niéma dla niego nocy, błota, niepogody, zapory, zawady, niepodobieństwa, — wszystko za pieniądze.

Zwykle faktor bywa młody, oczy mu się świecą, a pejsy kręcą, nosi krótkie odzienie, spodnie opięte, pończochy, trzewiki i kapełusz nawet zimą, w ręku ma laseczkę. Faktor zna miasto jak swoją kieszeń, ma kredyt w sklepach u wszystkich kupców, w traktjerach, wszędzie. Z tém tylko, że kiedy mu gotówką nie placisz, coraz się z nagiętego i zchylonego podnosi i nabiera ważności, powagi, poufalości. Odważy ci się nawet przeciwiać jeśli niemasz pieniędzy.

Faktor wie historją całego miasta, wszystkie brudne awantury młodzieży, zna wszystkich marnotrawców i tym którzy jeszcze mają pieniądze dość nisko się kłania. Popchnie ich nazajutrz ostatniego rubla wyszawszy. Cała zaleta tego Merkurego za dwa złote na dzień, że wie wszystko, zrobi wszystko co każesz i usłuży we wszystkiem. Dodajmy jednak że na wszystkiem oszuka.

Piérwszego dnia zacznie ci dla rozrywki wieczorem opowiadać całą swoją historję, wszystkie ilustracje swojego życia; tu wpadając naturalnie na nazwiska różnych osób, będzie ci w epizodach historje ich opowiadał. Z jego ust słyszane historje owe, są bardzo zajmujące, bo noszą na sobie znamię tak nagięj prawdy, tak są rzeczywiste, dotykalnie prawdziwe nawet w części klamanéj, że zupełnie z innéj strony dają ludzi poznać; z strony której w nich ani się domyśleć patrząc z naszego stanowiska. Wieluż to tych, których my mamy za wielkich, za szanownych, nie są wcale takimi w oczach wszystkichwidzącego faktora. Faktor dowie się na-przód od sług o twojem nazwisku, potem

pocznie cię badać zręcznie, aż mu powiesz kto jesteś, z kąd i po co przyjechałeś. Jeśli mu tego sam nie zechcesz powiedzieć, upoi ci sługę, będzie chodził, pytał, śledził, aż się dowie. Tego dopiawszy będzie spokojny, bo już ma klucz swój i prawie zna ciebie. Są to także wieley znawcy ludzi ci żydzi, a ich korzyści po większój części na tój głębokiej znajomości osób i serc są oparte. Poznają cię na wylot, po mowie, po głosie, po ubiorze, po pojeździe, po szkatulce,—ja myślę że i po sposobie ucierania nosa. Trafia w ciebie, poznają słabości, chęć, myśli i będą wodzić i wysysać aż do ostatniego grosza.

U mieszkańców miasta, faktor jest w pogardzie, kobiety uciekają od niego, przynajmniej przy ludziach;—lecz czasem i miejscy mieszkańcy nie obejdą się bez niego. W trudnych okolicznościach sprzedaży lub kupna na kredyt, oni zawsze zawołani być muszą do rady. Obedrą ale zrobią wszystko, znajdą kupca i rzecz choćby najtrudniejszą do dostania.

Na cóż się człowiek dla zysku i życia nie

poświęci! a cóż dopiero taki człowiek jak żyd? Życie faktora jest biędne, ubogie, ciężkie. Parę złotych na dzień, rzadko więcej zarabia. Są czasy żniwa dla nich, ale są i susze. Najszczęśliwsi ci którzy otrząsłszy się z *przesądu* (?) zostają nieżonaci, ale ci najwięksi hultaje. Żydzi sami pogardzają niemi, wiedząc jak obcowanie z goimami naraża ich często na złamanie przepisów wiary, przestąpienie prawideł życia. Uważają ich za klasę nieczystą, potrzebują ich, płacą za nastręczenie kupca, ale z niemi tak jak nie żyją.

Faktorowie mają najlepsze wyobrażenie o sobie, widząc się używanemi do wszystkiego, nabierają ztąd dumy i wpadają w przekonanie że niema kogoby nie oszukali—gdyż to u nich jest dowodem najwyższej mądrości praktycznej. Czego ci też najdlużej nie daruje faktor, czego ci nigdy nie zapomni, to jeśli go złapiesz na oszukaństwie za rękę. O! wówczas będzie ci się kłaniał, ale będzie czekał, zasadzał się, aż ci odda we dwoje, ze wstydem w dodatku. Wielu z nich, jak mówią, ma stosunki ze złodziejami, mogą o-

kraść lub dopomódz do tego, lecz w ogólności oszukaństwo jest u nich pospolitsze od kradzieży i powszechniej używane. Nie mogę wyliczyć wielu takich ludzi jest w Wilnie lub jakimkolwiek mieście, to pewna że nie brak ich nigdzie, a każdy podróżny ma w czém wybierać! Często kilku panom razem służą, i tysiąc posylek, potrzeb, interessów załatwiają. Jeśli więc bierzem za dowod talentu, dyktowanie kilku listów razem, musimy im oddać sprawiedliwość i przyznać także przynajmniej wielką, zadziwiającą przytomność umysłu.

Faktorowie nie są numerowani jak fiakry, ani noszą oddzielnych znaków na sukni, lecz ich rzemiosło wyryte jest na czole, w oczach, w uśmiechu i minie. Poznasz faktora po sposobie w jaki spogląda na ciebie; gdyż nie wiem jak ogromnych zatrudnień potrzeba ażeby żył jeszcze ich powiększyć, a z niemi dochodów nie starał się i nie zalecał się każdemu kogo spotka.

Ten charakterystyczny stan, ta oryginalna w fizjonomij miasta postać, wymawia mnie

swoją excentrycznością żem tak długo o niej pisał. Jest to roślina która wyłącznie do Flory krajowej należy—nie mamy się nią co chwalić, należy do rodzaju pokrzywy.—(1)

(1) Póty wspomnienia Wilna drukowane były w Tygodniku Petersb. r. 1838 N. 62—63.

VI. Kawiarnie—Traktjery.

JEŚLI po czém, to po kawiarniach i traktjerach, poznasz miasto każde; po nalogowych gościach tych dobroczynnych zakładów; charakter ludności miejskiej. Prócz żonatych (a i tu są wyjątki) wszelkiego stanu ludzie, uczęszczają do kawiarni, traktjerów i cukierni.

Są też kawiarnie, traktjery, cukiernie, różnego stopnia, począwszy od położonych na wielkich ulicach, do których co najbogatsi tylko wchodzi, aż do ubogich garkuchni, szynczków i kawiarni na odległych zaułkach i przedmieściach. Są i takie, gdzie razem traktjer, billard, kawiarnię i cukiernię na małą stopę znajdziesz. Te najwięcej za miastem; do nich baczny klasyfikator policzy Pohulankę, Malinowskiego i Tivoli; często puste, czasem przepelnione ludem, którego piękna pora na przechadzkę wypędzi.—Pod staremi drzewy ogrodu w Tivoli, ileż to wesołych podwie-

czorków, ile pogadanek nad kielichem!—I tu jednak i w innych tego rodzaju zakładach, dwie rozróżniaj ludności. Napływową i pierwsiastkową (wyraz może nienajlepszy, ale w niedostatku innego). Przypadkowy napływowy tłum, wpada, żąda rzeczy niepraktykujących się, klóci się o gatunek, o cenę, połyka, płaci i odchodzi jak przyszedł znikając bez śladu. Dziś inne, jutro inne ma oblicze, ten cudzoziemski tłum, do którego głębokiej znajomości nie dójdzie nigdy, ani Justysia służąca, ani sam szanowny gospodarz.

Co innego z ludnością nałogowie tu przyciągającą. Widzisz tych otyłych, zarumienionych kilku ichmościów, co siedzą za stolikami, u których ich widzieć mogłeś wczoraj, u których zobaczysz ich jutro i pozajutro, aż kiedyś zadzwonią na pogrzeb i dopiero ich tu nie stanie. Ci panowie są to podpory zakładu, jego wierni poddani. Gospodarz więc, o której na służbę przyjdzie S....icz, i co wypije, co powie, czém rozśmieszy, czy zapłaci i ile zapłaci; wie o której przyciągnie się ociągając pot z czoła K..... czém się chlodzić

chamscy
ryzykanci
szlachta
gastoni

zawezmie na nowo, po tysięcznych i nadaremnych próbach ochłodzenia się rozgrzewajacém. Justysia, Marysia, Frania, umieją się już dla każdego z tych panów stosownie uśmiechać; wiedzą jak im kaliszan lub poncz przyprawić.

Gospodarz gdy zabraknie drobnych, a nawet grubych, nie waha się pokredytować; zna doskonale interessa P. P. S. R. P. D. R. resursa ich, czas wypłaty pensij, niektórych nawet mieszkania w mieście wynaleśby potrafił, pożycza im w dół parasyła i wchodzi odważnie w polityczną konwersację o urzędnikach Izby Skarbowej, niezważając, jak fatalnie skompromitować się może. Dziewczeta, markier, sama Jejmość, dzieci (jeśli są) wszystko to zna tych patryarchów, szanuje ich, kłania się im, weneruje. I nie bez przyczyny, głęboka w tém przyczyna. Oni pospolitemu ludowi dają dobry przykład wiernością swoją w uczęszczaniu zawsze do jednej szklanki, do jednego stolika. Jak ich nie szanować? Inni trzpioczą się po całym mieście, oni codziennie z regularnością zegarka w jedno dążą miejsce i tak niechybnie o-

placają podatek. Gdy którego z tych panów, w naznaczonej niema godzinie, patrz jak się o nich troszczy i gospodarz i słudzy.

— Niewidać coś pana P. powiada markier, półgodziny jak jego piwo przyniosłem. Musi być chyba chory.

— Wczoraj kaszlał mocno i czerwony był bardzo, powiada gospodarz.

— Już i nie młody, odzywa się Justysia.

— Hm! jak to nie młody, tobie trzpiocie nie młody, że cholewek do ciebie nie smali. Wytrawny człowiek, ale wcale nie stary, lat czterdzieści kilka. A co za regularne życie.

— Prawda, powiada cicho markier do Justyny, regularnie pięć butelek piwa nie licząc wódki wypija—

Po kilku dniach niebytności, cóż to za troskliwość w przyjęciu gościa. —

— Jak się macie?

— A to pan?

— A jakże się pan ma?

— Co to? chory pan był?

— Co to panu było?

— Pański kaliszan gotowy. —

— Zamknijcie okno. —

I zamykają okno i chuchają i tańczą koło niego. Mogliby być troskliwsi najbliżsi krewni, najpatientowańsi przyjaciele.

Toż samo dzieje się w kawiarniach, cukierniach i traktjerach.

Traktjery podzielim dla dogodności czytelników naszych, na trzy klasy. Traktjery dobre, których było dwa Titiusa i Malinowskiego, średnie, których było kilka i tanie, których policzyć nie można. W dwóch głównych zbierali się ludzie majątniejsi, lub wybredniejsi i tutejsze towarzystwo nie przedstawiło szczególnie wybitnego — Do średnich zabłądzili czasem i stykali się z sobą, nawykli pierwszych traktjerów, gdy poczuli pustki w kieszeni i nawykli ostatnich, gdy im grosz przyplął niespodzianie. Średnie traktjery miały dumę najpierwszych, a niewygody ostatnich.

W średnich urzędnicy, kancelliści, muzycy, akademicy, professorowie jadal, rozmowa w nich powszechniejsza, poufalsza, żarciki tłściejsze, głośniejszy śmiech.

W ubogich garkuchniach — o! smutno na nie patrzeć było, jadal najwięcej nico-

patrzni uczniowie, co przeszumiawszy co mieli z domu, żyć potém musieli złotówką na dzień—Ale młody żołądek tak strawny! Patrzcie no—Izba ciemna, do której wchodzi się po połamanych wschodach, im wyżej postępujesz, tém silniej ci w nos uderza przysmalona tłustość stara, piekielny zapach kuchni i pomyjów. W pierwszej izbie gospościa otyła, od tygodnia nieumyta, w obszarpanym czepcu, zakasanych rękawach, czarnym fartuchu, zdeptanych trzewikach, dwa loki spadają jój na lśniącą a bladą twarz. Rękoma wzięła się pod boki i głośno rozkazy daje służącej, nierównie od siebie brudniejszej (potrzeba aby się czémś pani od sługi różniła)—Służąca ta, ma czerwone po twarzy plamy, jakby po świeżych zgojonych ranach, jedno oko na wpół zgasłe, włosy rozpuszczone na ramiona, patelnię w ręku i bochenek chleba pod pachą. Pies warczy, kot burczy, jójmość krzyczy, przeciskasz się i wchodzisz do owiej izby ciemnej; o której wyżej wspomniałem. Okna z niej wychodzą na malowniczy dziedziniec, którenby podał Rembrandtowi przedmiot do oryginalnej ryciny.

Dziedziniec ten w kwadrat zabudowany otaczają drewniane galerje, udrapowane białemi i niebiałemi chusty lokatorów, rozwieszonemi dla malarskiego efektu, na balaskach gallerij. — Światło pada w dziedziniec z góry i dziwnych kształtów cienie formuje — Połowa murów w cieniu, połowa w świetle. Ale czas do izby powrócić.

Izba to długa, mury jęj papierem sinym w żółte kwiaty obite; przez całą jęj długość ciągnie się stół, pokryty nie jednym obrusem, ale kilką ulamkami serwet i obrusów, różnej barwy i wzorów. Gdzieniegdzie spuszcza się obrus do ziemi, gdzieniegdzie nie osłania stołu licznemi blizny od tłustości zadanemi szczy-cącego się. Dokoła stolki z różnych świata krańców, ciekawe starożytności zabytki i wyroby nowęj szkoły. Jedne wykręcane i sny-cersko robione, wyplatane trzcina, malowane olejno, drugie po prostu naiwnie sosnowe, plecami gości wypoliturowane; inne trochę nadlamane, inne skórą wybijane, inne słomą wywatowane, słomą która już wygląda utęskniwszy się za światem. Przed każdym stolkiem talerz fajansowy, mniej więcej

czysty po wierzchu, (pod spód zaglądać niepotrzebna ciekawość), grabki i nóż, także różnych kształtów. Jedne w drzewo, drugie w róg, inne w kość oprawne, inne jeszcze żelazne cale. Na środku solniczki dwie i stos nakrajanego chleba czarnego. Z téj izby małeńkie drzwiczki wiodą do bocznego pokoiku, rezydencji gospodyni, ozdobionój kommodą, łóżkiem jasionowém okrytém starą koldrą pikową, kufrem tajemnie pełnym, lusterkiem i obrazem ś. p. małżonka, niegdy Woźnego Trybunalskiego, potém jakoby kupca — zeszłego bezpotomnie. Szkoda że nie poczekal trochę dłużej, a niechybnie byłby miał potomka, co się potém w rok i sześć niedziel narodził, a w pięć niespełna umarł z żalem matki.

Godzina wybiła i rzesza zgłodniała gwarzy już cisnąć się na wschody; podwaja się wrzask w kuchni, pośpiech kucharki, bieganie służącój, krzyk jójmości.

Widzisz tych rumianych, wesółych chłopców, co śpieszą zasiąść u stołu i polykają nędną strawę pani Tuchanowiczowój, śmiejąc się, żartując, popijając wodę, osalając nie-

dosolone wesołemi przycinki, ogryzając kości, wycierając obrzydłe sosy z talerza?

Młodzież to, którą karmi nadzieja przyszłości, nie ta strawa nędzna, którą ożywia zapal do nauki, którą trzyma na świecie młodość. Daj staremu to, czém oni żyją, a tygodnia nie wytrzyma. —

Oto wniesiono barszcz — barszcz w którym surowa krytyka, wodę tylko i kwas burakowy, bez najmniejszej osmazomu cząsteczki odkrywa. Są w nim prawda kości, ale te, jakiś falszerz dorzucił, psyby ich nie chciały, młodzi ogryzą!! Za barszczem w ślad dąży sztukamięsa suto czarnym sosem podłana. Sztukamięsa to wczorajsza, pozawczorajsza, a im tak smaczna. Zamyka obiad jarzyna polana tłustością wątpliwego pochodzenia, i bliskiego podobno pokrewieństwa z lojem. Wszystko dobre, nie nie zostało. Już zjedli, już weseli, rumiani wybiegają. O! szczęśliwy to wiek, kiedy każda Maritona Wenerą, a każdy obiad piętnastogroszowy stołem Lukulla; wiek ten już nigdy później nie wraca. Nieraz nędzny karmi się ubogą strawą z odrazą, z obrzydzeniem ku

niej, ale już na licu jego niema rumieńca wówczas, w sercu wesołości! O! najlepszą przyprawą nadzieja i młodość.

Kawiarnie, ulubione młodzieży były także różnego rodzaju. Zakazywano wprowadzić do nich uczęszczać, ale były godziny i ukryte pokoiki, w których akademicy, poili się cykoryjowym nektarem, nie lękając odwiedzin Bedela. — Gospodynie kawiarni, zawsze łaskawsze dla młodzieży, przyjmowały ją z uśmiechem. Nikt też tyle kawy nie pił co akademicy, bo wieleż to razy kawa zastępowała obiad. Tu sławny poeta Krysztalewicz w gronie słuchaczy deklamował swoje poezje, towarzysząc im melodijnym śpiewem i zręcznemi podskoki; tu on swoje dzieje opowiadał i pięciogroszówki wyludzał.

Kawiarnie lepiej urządzone, były schadzka wojskowych, kancelistów, muzyków, i różnego rodzaju cywilnego tłumu. Rzadko do nich wmięszali się akademicy którym za złe miano waleśanie się po kawiarniach, i właśnie może dla tego czuli oni niezmierną chętkę do zakazanego owocu. — W jednej z kawiarni grywano w szachy, w drugiej czy-

tywano dzienniki i rosprawiano o literaturze, w innéj stary fortepjanik zwabiał czasem Rennera.—O najniższego rzędu kawiarniach, nie nie powiemy.

Cukiernie i winiarnie, do których jakiś wstyd wstępu bronil młodzieży, do których bocznemi chyba drzwiczkami wchodzili na chwilkę, nie bez zarumienienia się, miały swoich nalogowych gości jak owe przedmieściowe zakłady, o których jużśmy pisali. Ci odznaczeni się czerwonymi nosy i zapalonymi oczyma. Do niektórych publicznych miejsc, napływali tylko namietni billarowi gracze, jakich wszędzie pełno. Utrzymują że gra w billard daje ruch—niezawodnie, jest to bardzo czynne próżnowanie.



VII. Maskarada.



Cóż to za radość, gdy na rogach ulic, wielkimi czarnymi literami, spostrześliśmy drukowane afisze, zwiastujące, że będzie:

M A S K A R A D A.

Maskarada! Doskonale pojmuję szal publiczności Rzymskiej i Weneckiej, tam gdzie we dnie i w nocy, na ulicach odbywały się szalone maskarady, maskarady prawdziwe; gdy u nas takie wrażenie na każdym młodym robiła obietnica Maskarady zimnej, zarygłowanej w dwóch salach, ostawionej wartą zapobiegającą zbytniemu szalowi, maskarada składająca się czasem z niezamaskowanych tylko masek.

Jakże bo to człowiek swobodny, jak wesoly, jak o wszystkiém zapomina, zrzucający *siebie* z siebie i uczyniwszy się jakąś abstrakcją, nie będąc obowiązany odpowia-

dać za wszystkie głupstwa które może powiedzieć i popełnić; jak się to bieży na tę zabawę — O! nigdy nie zapomnę wieczorów przepędzonych w domu Müllera na pustych żartach, na wesołej z nieznajomymi gawędce, na uganianiu się za pociesznemi maskami, z których się drwiło nielitościwie. —

Ale spójrzmy na maskaradę Wileńską. Rzadki na niej bywał kostium charakterystyczny, uderzający nowością, pomysłem. Garderoba ubogiego teatru dostarczała zwykle zawsze jednych i tych samych, po troszę tylko urozmaiczonych strojów. Najwięcej widziałem Niemców, owych to bajecznych Niemców, w perukach i haftowanych frakach, Hiszpanów niemniej bajecznych, w kapeluszach z piórami, Krakowianek, Cyganek-wrózek, Turków, kominiarzy i t. p.

Rzadziej ukazywał się żyd, żydówka, dziki człowiek, niedźwiednik z niedźwiedziem. Zjawiskiem była maska charakterystyczna lub okolicznościowa, i myślę że *Cholera* która raz pokazała się była na maskaradzie, do téj pory pamiętają. — Tłum składał się pospolicie z czarnych fraków i ogrom-

ných nosów, czarnych półmaseczek, krótkich spódniczek, różowych płaszczyków, nieodgadnionych ubiorów jakichś krajów dotąd nieodkrytych, brzuchatych Niemców i t. d. i t. d.

Wesoly młodzik z małą dozą dowcipu, z wielką roztrzępianą i ochotą do mistyfikacji i żartów, łatwo przychodził do wielkiej roli na maskaradzie, i zajmował sobą wszystkich. Ale na nieszczęście tak w tém Wilnie wszyscy się znali, że bardzo łatwo domyśleć się było, kto ludziom latki przypinał — Maską była w pół przezroczystą tylko, często nawet i bedele pisali akademikom ich cyfry na rękę. W takim razie jak kwiat kosą podcięty, wiądlu dobry humor maski, która kryła się w tłumie i nie bawiąc zniknęła.

Takich intryg, jakie gdzieindziej na maskaradach miewają miejsce, tu nie bywało, a przynajmniej trafiały się rzadko. Na to Wilno było zbyt małe, a mieszkańcy jego zbyt sobie znajomi. —

Przez cały wieczór dla dodania humoru, przygrywała muzyka, pary krążyły po salach, zaciepiane, wstrzymywane, śmiejąc się, od-

powiadając piskliwie, mileząc niekiedy upornie—W bocznych pokojach zajądano i zapijano tymczasem, pod oczyma głodnych arkiadyjskich pasterek i wypchanych brzuchów niemieckich.—W ostatni wtorek wybijająca północ, rozpędzała wszystkich nagle. Ktoby myślał, że posłuszni biegli popiołem posypać głowy i zasnąć w łóżku. O! nie, cała naówczas młodzież dopadła drążek i leciała na Pohulanę, na salę zwaną niegdyś—*Harmonij*; gdzie się uroczystym szaleem kończył karnawał.

Tu już pleć piękna, reprezentowana była, przez niezamaskowane mieszczki, modistki, aktorki, kupcowny i t. p. a pleć niepiękna, składała się z najrozmaitszej mieszaniny akademickich fraków, oficerskich szlif, professorskich axamitnych kołnierzy, etc. etc. Co tylko chciało swobodnie odetchnąć, naśmiać się całym gardłem, nagadać głośnie, swobodnie nabrykać, jechało na Pohulanę. Trzeba było widzieć, jakim to nieukontentowaniem piętnowało oblicza szewców, krawców, kupczyków i kancellarzystów, jakim strachem nabawiało pleć piękną; gdy ten na-

plyw barbarzyńców na ich kraj po północy już się rzucił. Przerywano tańce—Panie bledniały i czerwieniały, lękając się co chwila impertynencji, (a nie lękały się jój między swemi!) panowie patrzali tylko czy ich kto nie zaczepia, gotowi do boju.

Po chwilce, chociaż zawsze *indigenes* mieli się na ostrożności; oswojeni jednak trochę samym widokiem niebezpieczeństwa, zaczynali się bawić; zdobywcy zapalali cygara, dumnie nakazywali podawać szampana, i gdy weselość powszechna zniwelowała wszystkich, szła zabawa jako tako dalej, aż do niebezpiecznej chwili, w której trunek coraz bardziej zwyciężonych i zwycięzców głowy rozmarzać zaczął.

Tu, nieznacznie trącił akademik, kogoś z *indigenów*:

—Pan mnie uderzył.

—Nie, ale jeśli chcesz to uderzę.

—Pan mi grozi?

—A gdybym groził?

—Ja sobie nie dam kolków strugać na nosie.

—Z pewnością to pan utrzymujesz?

— Pan sobie chce żartować ze mnie—
Pan—

Tu przystępuje drugi akademik, i drugi
z *indigenów*.

— Panowie! panowie! cicho! cicho!
zgoda!

— A to ten ciągiskóra chce mi tu impo-
nować!

— Mospanie!—

W tej chwili gdy ręce do wysokości roz-
drażnionych umysłów podnosić się myślą,
rozbrajają poważniejszych.

Ale gdy raz wybuchła nienawiść, dwa o-
bozy wrą zemstą, każdy tylko szuka przy-
czepli. Siedząc o dwa kroki od siebie jedni
o drugich umyślnie nie wiedzieć co mówią.

— Ta hałastrą akademicka, powiada kup-
czyk, naszła nas tu i pokoju nam nie daje.

— Ta szuja szewców i krawców chce
tu grać rolę jakąś.

— Co waćpan mówisz?

— Co pan mówileś.

— Słuchaj no ty szewcze!

— Słuchaj no ty młokosie—

Tu żony mdleją, siostry płaczą, matki

krzyżeć zaczynają, aktorki śmiać się, a oficerowie medjatorów grać rolę.

Z wielkiej sali (która nie jest wcale wielką) wytacza się grupa zajadłych do bocznego pokoju, tu interwencją swą objawia policjant, zostaje poszturchanym, grupa się powiększa, spór rozjątrza, słabsi pierzchają, silniejsi zasiadają i piją.

Nie wiem jaki mieć może urok taka zabawa, chyba ten że cygara i fajka wolny mają wstęp do sali. Nadedniem bladych ubawionych gości odwożą drażki do domu.

VIII. Akademik.

JEDNĄ z postaci charakterystycznych wileńskich, był ongi Akademik. A nie jeden Akademik, było ich wiele klass i rodzajów. Nie było w Wilnie kątka, gdziebyś nie zobaczył Akademika; w pewnych chwilach dnia i porach roku zasiéwali ulice, zapelniali przechadzki, spotkalesz ich w mieście, za miastem, w każdym domu, na każdych wschodach. A nie widząc go slyszalesz głos jego donośny, którym powtarzał professorską prelekeję siedząc z fajką w oknie, albo nucił piosnkę wesolą, albo żwawą wiódl rozmowę.—Cała populacja Wileńska pewien rodzaj szacunku miała dla Akademika; bo młody, często trzpiot, figlarz, impertynent, szyderca, naprzykrzony; miał serce najlepsze i szlachetność w charakterze. On piérwszy ujął się za biédnego, za biédną, obronił, poratował, nastawił się i nie uląkł; kawalkiem chleba ostatnim podzielił się z towarzyszem ubóžszym, złotówkę

swoją rozlał na dwoje dla chorego, dla potrzebującego pomocy, i gdzie ich najrzadziej, proszony, nieproszony, wdawał się w interwencję młodzieńczą. Powiedziałem, Akademik miał wiele zdrożności, ułomności, wiekowi swemu właściwych, właściwych stanowi swemu; ale w gruncie ślachetny był, poświęcający się, czuły, poczciwy.—Nadużywał czasem swojej swobody, którą, wyrwawszy się niedawno z pod rodzicielskiej i szkolnej władzy, wysoko cenił; ale komuż pierwsza chwila panowania nad sobą, głowy nie zawraca?—

Mieszkanie Akademika, bywało zwykle na zaułkach i na tyłach domów, bo nigdy nie miał tak dalece nadto pieniędzy, aby niemi sobie pyszny lokal najmował, lokal, w którym gościem bywał, po kilka tylko godzin. Stawało zwykle kilku razem, czasem majątniejsi, przyjmowali ubogiego i ubogi nie potrzebował dziękować im za to, płaszczyć się, wywdzięczać. Z godnością przyjmował podaną pomoc, wdzięczny był za nią, ale ani zdania swego, ani swój młodzieńczy dumy nie sprzedawał. Kolega bogaty i ubogi zarówno

zwali się po imieniu i szli ręka w rękę, jak bracia. Nawzajem często ubogi, pomógł bogatszemu nauką i tak kwitowali się.

W mieszkaniu Akademika bywało, jak w młodej głowie, wiele nieporządku—przygotowanie do życia, materiały wszystkiego, ładu jak najmniej. Trzy lub cztery łóżka nie pokryte kołdrami, nie słane zdawna stały przy ścianach, obok nich stoliki. Pod łózkami, na stolikach, na łózkach, całe gospodarstwo; książki, bóty, sexterna, odzienie, flet lub skrzypce, głowa trupia, butelka z wodą, z szuwaxem, szklanka z niedopitą herbacaną, cybuk złamany, rozsypany tytuń, woreczek próżny. W pośrodku pokoiku stolik obryzany atramentem, na nim brudne karty i kawał krędy. W kominie kupa węgla i zgasy samowar. Na półkach wiszących na ścianie, reszta książek. Odarty chłopak posługiwał na kilku razem.

Ranny świt zajrzał w okno, ubogi najpierwszy się przebudził, narzucił na ramiona nie szlafrok, ale płaszcz, zapalił fajkę i siedział nad książką. Ci, co wczoraj dłużej w noc przechadzali się, grali, czytali, gawędzili o

swoich nadziejach, spali jeszcze; ale wkrótce rozbudzał ich monotonny głos powtarzającego z wczorajszych notat lekcję, współucznią. Po jednemu podnosili się na łózkach, wstawali i wkrótce wszyscy byli na nogach. Już też chłopak nastawiał samowar, a dla drugich biegł po kawę do pobliskiej kawiarni. Rzucono sexterną, zaczynała się rozmowa, rozmowa ranna, całe innego charakteru od wieczorniej. Wieczorem człowiek pełen zapalu, wiary w przyszłość, w siebie, wszystko mu się przedstawia różowe, jasne, pogodne, z rana, wstaje po snach czarownych, rozczarowany blaskiem dnia, rzeczywistością nagą; zimny, szyderski, nie kontent z siebie, wszystkiemu przeczyć gotów, z każdym się spięrać. Bywają tacy, co długo z rana nim się rozkołyszą życiem, nie nie mówią i chmurni milczą uparcie. Około ósmej, dziewiątej, wypróżniała się kwatéra akademicka. Jedni szli na lekcje, drudzy do kolegów, inni za miasto na przechadzkę, inni do kościołów, gdzie ich wiodła więcej niż nabożeństwo, nadzieja zobaczenia kogo znajomego. W takim razie musieli kłamać przed towarzyszami i cicha-

czem biegli, modlić się do ukochanej, cichaczem, aby z nich nie szydzono.

Oto dzwonek gdzieś się odezwał, godzina wybiła, sala się napelnia; uczniowie się schodzą.

— Jak się macie!

— Jak się macie.

— Gdzieś to był wczoraj, żeśmy cię nie widzieli.

— Oddaj mi moją książkę?

— Panowie, gdy wejdzie będziemy tupać i świstać.

— Siadaj koło mnie.

— Jak się masz Jasiu — dwa dni cię nie było —

— Chorowałem —

Krzyżują się urywki stu poczętych rozmów. Nagle wchodzi blady, wysoki, nieśmiało, tchórzliwie, ów — ów na którego tupać miano. Sala zagrzmiała od stuku i świstu. Przyjmują tych, których *vox populi* naznacza jako szpiegów i zauszników uniwersyteckiej policji. Przyjęty hucznie, obłąkanym powiódł wzrokiem, wpadł do osta-

tnich ławek, okrył się płaszczem i przypadł, jak zajęć ścigany przez myśliwców.

Tuż za nim wchodzi professor — milczenie. W pierwszych ławkach, zasiedli najpilniejsi, którzy słowa nauczyciela chwytają i na papier przenoszą, z ich to notat, cały ten tłum, siedzący z założonemi rękami, uczyć się potém będzie.—Skrzypią pióra, szeleszczą sexta, a cicho, półgłosem wiodą się rozmowy, przewracają karty książek, które czytają dalej w ławkach siedzący. W sposobie słuchania lekcji każdego z professorów, były wielkie różnice; inaczej słuchano, inną twarz okazywano, ulubionemu nauczycielowi, inną obojętnemu, inną znienawidzonemu. Od jednych brano naukę z ufnością w ich wykład, od drugich dla tego tylko, aby z niej zdać exam. Dowcipne czasem szyderstwa, krążyły w ciągu całej lekcji, ale ich rzadko nauczyciel dosłyszał. Cóż to znowu za cichość na godzinach prelekcji, tych, których wykładowi ufano, których nauce wierzone, których uważano za prawdziwych mistrzów; skrobanie tylko biegących po papierze piór przerywało uroczyste milczenie, a najmniej-

szy szmér karcono natychmiast gniewliwém sykaniem.

Lecz oto i koniec lekcij, nauczyciel wziął za kapelusz, wychodzi, uczniowie rozbiegają się. Jedni przechodzą do drugich sal na inne lekcje, drudzy biegną do domów, do kolegów, do kawiarni. — Około południa każdy szuka obiadu i wielka większość napływa do najtańszych traktjerów; potem odpoczynek i lekcje znowu i wieczór. Wieczorem schadzki, muzyka, gawęda, przechadzki za miasto, krążenie pod oknami ukochanej. Wieczorem dopiero prawdziwe życie. Ale któż je opisać potrafi, to życie z tysiącem epizodów tak niespodzianych, tak różnych, to wesołych, to tragicznych, to przerażających, epizodów szalu, reflexij chwilowej, epizodów dostatku i nędzy, chorób i miłości, modlitw i przekleństw, najmędrszych postępków i najdzicniejszych swawoli? Nie — nikt tego nie opisze, nikt tego nie odmaluje i nikt nie pojmie, kto się w téj wrzącej nie skapał łaźni. A, ileż to dramatów w każdym dniu takiego żywota, ile poświęceń i nienawiści, swarów i pojednań, miłości i wzgardy?

Powiedzieliśmy już Akademik nie był zawsze jeden, różne ich klasy i rodzaje.

Tu ze względu na cel pobytu, rozdzielim naprzód, pracowitych od nieuków—Dwa to różne zupełnie typy.

Pracowitym bywał zwykle ubogi, którego całą nadzieję, całą przyszłość stanowiła nauka. Ten nie mieszał się wcale do towarzyszków swoich hulank, do ich długich rozmów, do przechadzek, odwiedzin, nie miał czasu na próżnowanie. Wszystkie swe siły, całą działalność kierował ku jednemu, ku nauce. On najpierwszy wstawał, kładł się ostatni, jego sexterna były wzorem dla drugich, a choć go trochę wyszydzano rok cały, gdy przyszło przygotowanie się do zdania egzaminów, stawał się ważną figurą i dobijano się, powtarzania lekcji u jednego z nim stolika. Powierzchnowość jego, sprzęty których niewielką miał liczbę, suknie, książki, wszystko nosiło na sobie cechy porządku, czystości. Jego łóżko porządnie zasłane, książki ustawione na półce, sexterna pod kluczem. Na nim wytarta suknia, ale czysta, on sam uczesany, umyty starannie, opięty. Na jego

twarży wyraz surowego zamyślenia. Dla niego już się poczynano życie, gdy dla drugich, kończyło się jeszcze dzieciństwo, swawolą, wesolością, on myślał o przyszłości, gdy drudzy z każdego dnia kwiaty i owoce zrywali, niepamiętni na jutro.— Smutny, surowy, zimny, rzadko rozmarszczył twarz i wyłal się przed towarzyszami, którzy umieli szanować surowość jego, powagę, bo pojmowali, że ten wzrok chmurny, wpatrywał się w niepewną przyszłość, dla innych przygotowaną, ustaloną, niechybnie szczęśliwą, a przynajmniej bogatą we wszystkie szczęścia warunki; dla niego pozostającą do wywalczenia, do zdobycia.

Całkiem inny był typ drugi. Śmiały się oczy, rumieniła twarz, żarty z ust płynęły, szukał tylko zabawy, rozrywki, śmiechu — chlubił się niejako ze swęj niewiadości godzin lekcij, ze swego próżniactwa, ze swego rzemiosła swawoli. Ujrzałeś go na każdej przechadzce, w każdej kawiarni, na każdej maskaradzie; gdzie tylko hulanka, swawola, gdzie wesolość, śmiechy. Jeśli przyszedł na lekcję, to tylko jak w odwiedzinach do kol-

legi, usiadł w ostatnich ławkach rozmawiać, poziewać, układać plany na dzisiaj, na jutro, na tydzień cały. Najpiérwszy do zmistyfikowania, do wyświstania, do poszturchania bedela, ale najpiérwszy także, do podzielenia się sakiewką z ubogim, do zaproponowania składki dla chorego współluczni, do perory, mającej poruszyć serca oziębłych. — Cały rok zehodził mu tak szybko, niepostrzeżony, i w głowie szmaty chyba podartej nauki uwieźły, on się o to nie troszczył. — Drwil jeszcze z pracowitych, na których pomoc do examinu rachował.

Zbliżający się examin, wszystkich jednoczył, przestraszał, napędzał do nauki i z nieuków samych, najpilniejszych czynił uczniów. Z nadchodzącym examinem wszystko odmienną przybięrało postać, układano się w kupki do powtarzania lekcij, umawiano o godziny, zaczynano pracować na prawdę. Niestety większa część brała się do tego zapóźno.

Ujrzałeś wówczas swobodnie przechadzających się, wysiadujących po kawiarniach godziny całe—Przebiegali szybko przez uli-

ce, wypijali kawę, wydmuchiwali fajki i uciekali. Jedna myśl zajmowała wszystkich, jeden wyraz był we wszystkich ustach — Examin! examin! — Słychać tylko było pytania.

— Masz sextern Ekonomij politycznej?

— Masz literaturę łacińską?

— Masz drugie półroczcie historij?

— Pisałeś Pathologjā?

— O której się zchodzicie?

— Co dziś będziecie powtarzać? i t. p. i t. p.

W kwatérach Akademickich szmer tylko słychać głuchy powtarzanych lekcij. Pracowici zasiedli trony, nieuki obsiedli stoliki dokola, zaledwie mają czas fajki nalożyć, wypić wyzięblą herbatę, tak usilnie pragną wbić sobie w głowę w ciągu godzin kilku, to czego się powinni byli uczyć przez rok cały. Zaledwie zaświtał dzień, już wszysey u stolika, i u tego samego stolika znajdziesz ich po północy jeszcze. Wybledli, zmęczeni, osłabieni, bez energij, bez odwagi, przygotowali się nareście do examinu, często kosztem reszty zdrowia, czasem kosztem życia.

A toż nie dramat, powiecie? Możeż być

któren dramat bardziej poruszający, silniej wstrząsający, mocniej zajmujący rozwiązaniem? Od rozwiązania tego często cała przyszłość młodzieńca zawisła, los jego cały; rozwiązanie to daje mu lub odbiera odwagę, popycha go drogą pracy lub drogą próżniactwa — —

Ileż to nocy bezsennych, ile dni bez oddechu na nauce strawionych, nauce, którą się w jednej chwili chcą naładować—Ubogi co rok cały, nie opuścił jednej prelekcji, który sposobił się do egzaminu nieustannie, teraz z nową żarliwością powtarza wszystko. On pewny siebie, a jednak lękliwszy od współtowarzyszów swoich blady, niespokojny, gryzie się i myśl jak błyskawica przelatuje mu tysiąckroć przez głowę—

—A jeśli nie zdam egzaminu?

Często zbyt ciężka praca, wycieńcza go i rzuca na łóżko boleści, w chwili właśnie kiedy wszystkich sił potrzebował. Przychodzi rozpacz, obłąkanie, i szczęśliwy, komu na drugą próbę zostanie odwaga, na drugi rok nowicjatu nędzy i pracy wytrwałość.



IX. Teatr na strychu.

Czém mógł być Teatr Wileński, o własnych zostawiony siłach? — Załedwie tém, czém był, to jest bardzo biednym i załedwie mierzalnym. Próżne były usiłowania aktorów, protektorów, antreprenierów, przyjezdnych i tu lokujących się artystów, którzy przypisywali sobie, swęj działalności, swemu pojęciu potrzeb publiczności, nadzieje wielkich sukcesów. Publiczność niewielka, zwiększała się wzbudzoną na chwilę ciekawością, napływała w pierwszych dniach tłumnie, dawała nadzieje wielkich sukcesów; potém znużona, odstępowała teatru i znowu jak dawniej, nielicznie, obojętnie uczęszczała na widowiska. Ludność teatrowi Wileńskiemu wierna, nie mogła go w pomyślnym stanie utrzymać; powiększyć téj ludności nie było w mocy aktorów. Na chwilę nowość napędzała widzów, którzy nazajutrz rozpierzchali się.

Na dobry, ciągły teatr, Wilno było za-

malém, niepotrzeba tu nikogo obwiniać prócz losu; drugie tyle ludności a wszystko byłoby dobrze. Ale, powiedzą mi, czemuż publiczność biegła w tak znacznej liczbie poklaskiwać nowym lepszym sztukom? Odpowiem, że na te same sztuki kilkakroć z rzędu odegrane, w końcu pójśćby nie było komu. — Wprawdzie pamiętamy czasy kiedy skład zwyczajny repertuaru wileńskiego, nie bardzo mógł zachęcać publiczność i nieco tu także winy dyrekcyj przypisać było można. Cóż bowiem grano zwyczajnie? Sztuki od dawna znajome, sto razy słyszane, na które talent niepospolity P. Skibińskiego komika, P. I. Górskiej, Każyńskiego wreście, nie zawsze już mógł zwabić. Wieleżemy to razy słyszeli nieśmiertelnego Axura, Damę Białą, Operę włoską w podróży, dramata Kozebue'go i owe komedje, tragedje tłumaczone niewiedzieć z czego i niewiedzieć po jakiemu?

Musiało się to nareście przejeść publiczności. — Na nową operetkę, melodramat, z muzyką P. Wiktora Każyńskiego na świeżo wyczony Wodewil, przybiegała publiczność cie-

kawa, raz i drugi. Pomimo że się trzymał słabo, teatr jednak nie upadał, a czasami nawet bywały wieczory tryumfalne, w które się ledwie do kassy i do krzeseł docisnąć było można. Wielka szkoda, że tak rzadko grywano Fredra, którego zresztą i na Warszawskim teatrze nie lubią czy niepojmują.

Jednego dnia, a miało się ku wieczorowi, siedziałem w moim pokoiku sam jeden schylony nad fortepianem. Mieszkalem wówczas na wysokościach, w domu Orłowskięj naprzeciw Ś. Jana, gdzie zbyt nawet obszerny salon z małym pokojem zajmowałem.

Było to istne akademickie mieszkanie, któreby nie do jednej powieści Hoffman'a przydać się mogło. Wielka dość sala, brudna i ciemna, przy drzwiach komin, zastawiony parawanem, dookoła ścian gromada różnokształtnych krzeseł, ogromna kanapa nie dziewięć już czystości przy oknie, przed nią stolik z papierami i książkami. Między dwoma oknami, zwierciadło stare zmatowane—dalej fortepian, a nad nim jedyna rycina wyobrażająca Adama pierwszy raz postrzegającego u boku swego Ewę, z czterowierszem

z Milтона.. Adam z miną badacza, który odkrył nową nieuklasyfikowaną roślinę, lub nieznajome przed potopowe zwierzę, wpatrywał się w towarzyszkę, spiącą jeszcze. Obrazek ten śmieszył nas nieraz, zabawną fizjonomją naszego ojca, zdającego się, wedle wyrażenia niektórych, niewiedzieć —

Czy klaniać się, czy prosić siedzieć!

Wpośrodku sali od pułapu zwieszał się stary szklanny, złożony, gruby pajak okryty pyłem i zdawna już do niczego nie służący, o którego tylko nieraz podniesiony cybuk zawadzał. Drugi pokój (bo i tego opisu wam darować nie mogę) który mi służył za *salon de reception*, małeńki, ciasny, dość ciemny, znacznie był od sali porządniejszy. Kilka mahoniowych krzeseł, stolik takż, Pysze nieco nadtluczona, i ryciny wyborne historjā Pawła i Wirginij wyobrażające, składały całe umeblowanie. Na tym to stoliku, w tym pokoju, spoglądając na placyk przed Kościołem Ś. Jana, napisałem P. Karola i Cztery Wesela, tu improwizacje dla moich przyjaciół, wylęgły się. Przebaczcie, że wam to opisuję, ale tak mi przychodzą te

wspomnienia, że je *sans arrière pensée* o was, kochani czytelnicy, na papier kładę.

W chwili owój, siedziałem spokojnie z fajką w zębach na kanapie, założywszy nogi, podparłszy się rękami, przysłuchiwając się — bolowi zębów, który mnie niemiłosiernie dręczył. Wtém drzwi sali otwarły się z trzaskiem i wpadł Dominik, wołając:

—Prędzěj, prędzěj, ubieraj się Józefie i chodź ze mną —

— Gdzie, dokąd? po co?

— Ale ubieraj się tylko, prędzěj, prędzěj —

— Zęby mnie bołą — dęszcz kropi —

— Nic nie pomoże, dwa kroki tylko ztąd — musisz pójść na teatr.

— Na jaki teatr?

— Zabawnys! Jaki teatr! prawdziwy teatr! teatr na strychu, teatr amatorski — grają Otella! Muzyka od Dobroczynności — towarzystwo wybrane, sami szewcy i uliczniki. Jusciż raz w życiu zobaczyć to potrzeba —! Prędko, prędko ubieraj się —

Na taką wiadomość pośpieszyłem się odziać, narzuciłem płaszcz na ramiona i wy-

ruszyliśmy z Dominikiem w lewo ulicą. O kilkadziesiąt kroków, tłum cisnący się do bramy, u której stał budnik, wyobrażający konsens policij, oznajmił nam o teatrze. Weszliśmy z innemy naprzód w dziedziniec, którego przebiegłszy, musieliśmy pierwsze i drugie wschody przechodzić, nimeśmy się dostali do drabinkowych, ciasnych, ciemnych schodeczków wiodących na strych. Tak — na strych. — Nareście oplaciwszy cztery złote, cenę pierwszego miejsca, na ławce wprost kortyny składającej się z używanego prześcieradła, zasiedliśmy i zaczęli rozpatrywać. Potrzeba było chwili, aby wzrok w grubych ciemnościach teatru mógł coś rozpoznać. Widzowie napelniali wszystkie kąty.

Kilka świeczek lojowych, smutne światło rzuciły, na bliższe przedmioty. Na jednym z nami w pierwszej ławce miejscu, siedział łatwo dający się rozpoznać, blady i obrzękły szewc, lubownik sztuki, w granatowej suto szamerowanej czamarce, z łaską grubą w rękę, obok niego zacna polowica w chustce bagdadckiej białej i czépeczku obfitym w kokardy. Dalej kilka osób, łatwo

— także dających się w różne kategorje rzemieślnicze poklassyfikować. Za nami na drugich miejscach, ciekawa młodzież od warstatów oderwana, ubrana i nieubrana, w nawiwnych fartuchach, z zakasanemi rękawy. Dzieci stały na lawkach i plakały że było ciemno i nic nie widziały. Daléj tłum posługaczy wszelkiego rodzaju, gubił się w głębiach poddasza. Ostatnie miejsce było, na maglu stojącym w kącie, gdzie kilkoro dzieci odartych mieścili się jak mogły.

Czas jakiś oczekiwano spokojnie, podniesienia kurtyny, nareście publiczność za swoje pieniądze stukać, krzyczeć i serjo dopominać się reprezentacij zaczęła. — Na ulgodzenie jéj, zaczęła grać muzyka. Nie-szczęсна ta muzyka, składała się z chłopiat drobnych, od Dobroczyńności, które, trzeba im oddać sprawiedliwość, sumiennie się wywiązując z przyjętych obowiazków, starały się jak najwięcej robić loskotu i wrzawy.

Nareście podniosła się kurtyna, rozpoczęła sztuka.

— Słuchajcie! Słuchajcie!

Milczenie powszechne, szepty tylko na

maglu słyszeć się dają, wszystkie szyje wyciągnięte, oczy wytrzeszczone, oddechy wstrzymane, nigdy na innym teatrze nie było tak pocziwój publiczności, tak sumiennej.

Nieszczęsny był wybór sztuki! Otello na takim teatrze, i jakiż Otello — przerobiony przez kogoś tam z przerobienia francuzkiego i przerobiony umyślnie do teatru strychowego raz jeszcze. Wyobraźcież sobie co to za tegi był Otello. Powszechną uwagę zwracała Desdemona, w białej sukni z różowemi kokardami, w niebieskich trzewiczkach. — Wprawdzie nieumiała roli, a to co umiała mówiła ze strachem, krztuszeniem się, kręcąc palcami i spuszczać oczy, wszyscy jednak utrzymywali, że miała prawdziwy talent; na ten tylko raz schowany do woreczka. Otello, kupczyk z korzennego sklepu wyczerniony należycie, a którego uścisków i namiętności okropne ślady pozostały na sukni białej Desdemony, był bohaterśko zazdrosny. Pojął on doskonale że zazdrość najlepiej się tłumaczy krzykiem i krzyczał potężnie. Efekt na słuchaczach był taki, że wszystkim służącym zdało się, jakby słyszeli gdé-

ranie swych pań i panów, co ich niezmiernie konfundowało. Jago, ów Jago, młody chłopiec nieumiejący nic a nie swój roli, odegrywał ją jednak z pomocą podpowiadacza z powszechném zadowoleniem, bo nauczył się zdradziecko uśmiechać. Oklasków nie żalowano.

Układający sztukę dla teatru, wybrał jęj zakończenie najlepsze, wesolutkie, niewinne. Jago ukarany, upokorzony, Desdemona bynajmniej nie uduszona ani zabita; małżeństwo pojednane, szczęśliwe i t. d. Należało się spodziewać długich lat miłości niezachmurzonej niczem i mnóstwo popielatych dzieci. — Wszyscy byli pozamyśłani w końcu sztuki, a szewcowa, ozwała się na ucho do męża.

— A co Cyrulku? jaka to zazdrość niesprawiedliwa — Ot i to! patrzaj! O mały włos nie zabił żony — heretyk.

— Bo to widzisz Murzyn, serce; my biali nie zabijamy, tylko bijemy.

— Miał słuszość; barbarzyńca zabija, a cywilizowany człowiek bije — i to jest właśnie różnica charakterystyczna, w objawianiu się namiętności na barbarzyńcy i cywilizowanym człowieku.

Wielki swąd gasnących świeczek, zmusił nas do ucieczki ze strychu, i nie żalowaliśmy kilku złotych i fatygi, bośmy tak wyborną parodją Otella widzieli, jakiej nigdy już więcej nie zobaczymy.

Obiecano nam dalszy ciąg reprezentacji, których z najwyższą oczekiwaliśmy niecierpliwością, ale one do skutku nie przyszły; gdyż właściciel strychu i magła, poniosłszy znaczne szkody w połamaniu wschodów i nadwężeniu dachu, do którego czepiano dekoracje, lękając się ognia, muzyki, ciężenia massy widzów na niższe piętra domu, nieublagany odmówił lokalu. Przeniosł się zapewne teatr gdzieindziej, aleśmy go już odkryć nie mogli.

X. Przechadzki.



OKOLICE Wilna obfitują w piękne przechadzki i mieszkańcy zdają się oceniać je, bo pięknym wiosennym, letnim, jesiennym wieczorem, zawsze spotykasz różnobarwne tłumy powolnie ciągnące się ku Popławom, Jeruzalem, Betleem, ku Pohulance, Zakretowi, Antokolowi. Wiosną mianowicie kiedy się świeżo liście na drzewach rozwijają, ociepleje powietrze, wszystko co żyje, przechadza się; może i jarmark Ś. Jerski, rozbite kupców szalasy, zwabiają publikę.

Dawieć ulubioną przechadzką były bulwary nad brzegiem pięknej Wilij ciągnące się; tu kończono późną przechadzkę w każdej chwili mogąc się ztąd dostać do domu. Ogrod Tivoli i Sapieżyński ściągaly także mieszkańców Wilna. Mężczyźni zasiadali za stolikami Tivoli, a kobiety chętniej jechały popspacerować w ulicach starego regularnego wirydarza, w którym jeszcze były fontanny,

dawną modą. I przejażdżka ta czy przechadzka po nad Wilją, mimo Kościółka Ś. Piotra, cienistemi lipy, mogła nie być bez wdzięku, gdy ją ożywiało liczne towarzystwo. Któż nie wie, jak rzadki się przechadza dla przechadzki, jak najczęściej, chce się widzieć tylko lub być od ludzi widzianym? To tłumaczy tłumność przechadzających się tam, gdzie wiedzą, że będą niezupełnie sami. Rzadki szuka samotności, a są co tylko udając samotnika, błędzą zamysleni, zawsze na oku widzów.

Wielki świat tutejszy podobno za najuprzywilejowańszy uważał Sapieżyński ogród; za to średni świat, ulubił sobie nierównie piękniejszy spacer do Jeruzalem i Betleem, gdzie spotkać było można najrozmaitsze postacie, w cieniu gajów lub na szerokiej drodze przesuwające się. Byli i tacy, których wabił ogródek Strumilly, ozdobny kwiatami; dziki już i smutny ale piękny Zakret, uprzywilejowany spacer Akademików; Pohulanka wreście.—

Z wszystkich, przechadzki do Betleem, Zakretu i na Antokol, najwdzięczniejsze były.

Ta ostatnia jednak, nie dozwalała zapomnieć o mieście, otaczającem jeszcze wychodźca i ukazującem mu się zewsząd. Sam ogród zupełnie miejski, pański, budowle, kościoły, ludność tutejsza miejscowa, co chwila przypominały, że się nie wyszło jeszcze z miasta.

Przeciwnie w pewnej odległości na drodze do Betleem, choć sąsiedztwo Wilna, jeszcze było wyraźne, choć spotykano postacie zupełnie miejskie, domki wybiegłe tylko, jak przekupka z jabłkami na drogę, aby co utargować; już niejako wyglądało to na wieś, na proste gaiki, na nieprzyrządzony nieczyją ręką ogród Boży, najpiękniejszy z ogrodów.

A kto chciał zapomnieć o Wilnie puścił się w ciemny gaj koło Zakretu, błdził nad Wilją i nie oglądając się za siebie, mógł wyobrazić na chwilę że był daleko od miasta.

Rozbijały tylko złudzenie, bardzo widocznie wyległe w mieście, blade postacie przechodzących się lub włóczęgów.

Dalsze jeszcze przejażdżki i pielgrzymki bywały do Werek, do Trok, do Kalwarij. Wszystkie one (prócz do Werek) miały cel religijny, a najwięcej charakteru processja

Trocha, w dzień Najświętszej Panny, processja którą niegdyś dla obudzenia zapалу religijnego, Biskup Wileński na czele kleru boso odbywał. — Niéma już dziś takich Biskupów i takich processij!

XI. Wspomnienia.

PRZEJDŹMY to miasto, szukając w niem pamiątek i wspomnień, przebieżmy je przypominając dawne jego dzieje.

Zacznijmy od Ostrój Bramy i Lidzkiego gościńca. Tędy chory już Alexander wyjeżdżał przeciw Tatarom do Lidy z żoną, Glińskim i nielicznym dworem. Tędy słabszy jeszcze powracał niesiony w lekityce, bliski zgonu, upadły na siłach, niepewny czyli Tatarzyn za dni kilka, nie wpadnie za nim do stolicy; czy za chwilę wieść o zwycięztwie, czy wieść o bliższych zagonach przyniosą.—

Schylmy głowę to Ostra Brama—

Świeci z niej z założonemi na piersiach rękami obraz Bogarodzicy opiekunki. Tu w czasie oblężenia, drzwi żelazne upadły na świętokradzców Szwedów, odprawujących straż u wrot i nie umiejących szanować miejsca świętego. Tu się stał nie jeden cud, nie jedno serce uleczone zostało, nie jeden ztąd

nieszczęśliwy odszedł pocieszony i uspokojony.—

Oto Monastér i Cerkiew, stara Stauro-pigja, której prassy tyle wydały, dziś rzadkich i ciekawych xiąg, xiąg, które zagorzały fanatyzm ogniem niszczył, nie pomnąc że dziejów spełnionych, żadna siła ludzka nie zetrze wspomnienia, że xiąg nie wypalić, że historij nie zmazać! —

Oto dom kupców ruskich, dom gościnny w którym od wieków stawali przybylecy; stał on za Alexandra jeszcze —

Wychodzim ku Ratuszowi, pełne wspomnień miejsce — Rynek — Tu ścięto pierwszych męczenników Franciszkanów, tu stracono Danillę Myszackiego, srogięgo *Woje-wódkę*, jak go zwano, tu padło tylu zdrajców i lotrów.

Spójrzmy — ziemia się jednak nie rumieni i topole tak rosną wesoło, jak gdyby nigdy krwi kropla, nie zrosiła téj ziemi. A jednak stał tu przegierz i szubienica, pamiętne processją Brzostowskiego, bo i to wspomnieć potrzeba. —

Tu niedaleko porwał się Tupeka fanaty-

zmem rozpalony i ciał Biskupa w obliczu ludu, w dzień biały. Widzisz ten dom niepo-
czesny, tam była Piacionka, tam na prawo
wieża Kościółka Ś. Mikołaja, zakładu X.
Ostrogskiego z za dachów wygląda. Dalej
jeszcze pałac XX. Ostrogskich, sławny i pa-
miętny oblężeniem, pałac Chodkiewiczów,
gdzieś tutaj także, była Cerkiew Bogarodzicy,
której dziś nie pozostało śladu. — Oto Kar-
dynalja, blisko niej był zbór, co głuszył na-
bożeństwo katolickie u Ś. Jana, przed nasta-
niem Jezuitów. — Widzisz wysoką wieżę,
ogromne gmachy — szczątki to Jeznickiej
zgasił potęgę, szczątki Uniwersytetu Batoro-
wskiego. Tu wielki nasz Skarga, sławny
odebrał policzek, najpiękniejszy dar jakim
go nieprzyjaciół zajadły mógł obdarzyć. —
Tu Akademicy napadli na pogrzeb Al. Przyp-
kowskiego dworzanina Radziwiłłowskiego i
kantorów z predykanty kamieniami rozpędzili.
Co pamiątek, co faktów, ledwie je pochwyt-
ać można. — Ileż to tu razy Batorego, Zy-
gmunta, Władysława, Kazimierza, tryumfal-
nemi luki, deklamacjami, mowami, dialogi,
ogniami sztucznemi, witał Zakon Jezuitów. —

Tędy szła processja z chorągwią Ś. Kazimierza po jego kanonizacji— Oto ulica Zamkowa, ale nie wiedzie już do Zamku— Ileż to razy Zygmunta Augusta orszak dworzan przeprowadzał tędy, z Elżbietą, z Barbarą. Tędy na wieczny spoczynek ukochana raz ostatni przyjechała małżonka, a za jej wozem w czerni ubrany, blady, smutny, szedł Król powtarzając w myśli—

—Nieprzyjazna ziemia, kości jej nie będzie miała!

Tu tegoż Zygmunta, Paweł X. Olszański (jeśli to prawda, a chcemy by prawda była) wstrzymał jadącego do Ewangelickiego zboru, ztąd go zawrócił do Katedry.

To Swintoroha, tu była pogańska świątynia, tu płonęły stosy Wielkich Xiążąt, tu palił się Znicz, tu pierwszy krzyż nad miastem zakładnięty; tu usiadł pierwszy Biskup Litewski.— Tam na górze, trzy krzyże, napominają o męczeństwie Franciszkanów, dalej nadwalona wieżyczka przywodzi na pamięć Ateusza Bekiesza. Miejsce męczeństwa—i grób niewiary. To góra Turza, na niej może śnił Gedymin, o przyszłej wielkości swojej stolicy.

U drzwi tego Kościoła modlił się czysty patron nasz, Kazimierz Święty, w tej Kaplicy jego ciało, z tą ziemią zmieszał się proch Witolda, Swidrygielly, Alexandra, Barbary—i niema kamieni na ich grobie,—niema śladu grobów! W Katedrze którą uposażył Witold, znaku nie zostało wdzięczności. Odprawia się żałobne nabożeństwo, ale ono wystarczając duszy zmarłego, niewystarczającym jest dowodem wdzięczności.

W tym kościele podnoszono Wielkich Xiążąt Litewskich. Ten plac zajmował Zamek dolny, zamek Augusta, którego otaczały puszkarnie jego, domki dworzan, kamienice ulubieńców.

Oto stare młyny niegdyś królewskie, śpieszmy do Kościoła Ś. Anny, aby się przypatrzyć jego budowie, aby przeczytać napis grobowy, zmarłych w czasie powietrza dobroczyńców jedynych tego miejsca, mieszczan wileńskich. Wiecie podanie o budowniczych Kościoła Ś. Anny, podanie to nie jest nasze własne, jakiś podróżny może usłyszawszy je powtarzane w kilku miejscach za granicą, przywiózł je i do murów przyczepił.

Quis ut Deus? (Mich-a-el) Wyczytaliście na wieżyczkach Kościoła Ś. Michalskiego i przysłała wam na pamięć smutna historia strzelania do Aniołów, historia zamieszek, bojów, waśni, zaburzeń, tak dziwnie skończona. P. Rakowski z P. Piekarskim strzelali, a Zbór za to wyniesiono za miasto. Przecisnijmy się tym zaułkiem na ulicę Zamkową i wejdźmy na Ś. Jańską i Dominikańską. Oto dawny Kościół Ś. Ducha przeciw którego był szpital założony przez Zygmunta i utrzymywany z dochodów mostowego. Ta ulica zwała się dawniej Senatorską, ta na lewo Monetową, dziś jeszcze nazywają ją Niemiecką. Tu zbór Luterski, tu widać mieszkali Niemcy tego wyznania; tu sławny Burchard Raznodzieja kark skrzył, z czego korzystając Jezuici, zawsze czatujący na zręczność wyszydzenia protestantyzmu, wydali pocieszna — *Relację i supplikę zboru wileńskiego saskiego do Herrn Martyna Lutra.*

Przytoczym tu z niej wyjątek, aby dać poznać czytelnikom dowcipowanie XVII wieku.

Patrjarcho nasz drogi Herr Luter Martine
 Oznajmujemy z placzem nieszczęsną nowinę
 Którą chciój wyrozumieć prosimy cię pilnie
 Co się tu stało u nas, dziś trzeci dzień w Wilnie
 Ten któryś ten list odda, sługa twój winnicy
 Która tam na Niemieckiej w Wilnie jest ulicy
 Był twojej ewangelij bardzo sławny Rabi,
 Lecz złamał sobie szyję, na leb spadłszy z drabi,
 A iż mu wtenczas zęby język precz uciły
 I mowę mu na wieki okrutnie odjęły,
 Tak że gdybyś go spytał, nie mógłby o sobie
 Dać sprawy i przygody swój powiedzieć tobie;
 Przeto my wierni twoi, ponieważ on niemy
 Świadectwo na papierze, takowe dajemy.
 Tak tedy jest. W Sobotę zaprosił był gości
 Sąsiadów swoich, wierne owieczki waszmości
 Wtém przyszedłszy ze zboru chłystnie gorzałeczki
 Za tём, coby warzyła, zapyta żeneczki
 Ona powie, że jajka i rybek nie wiele,
 A on jako stróż pilny praw twych w twym kościele,
 Abo, prawi, chcesz głupia zostać papieżnicą
 Że w Sobotę nakarmić chcesz mnie jajecznicą?
 A tak i gorzałeczką trochę zapalony
 I o twoje ustawy jak lew rozjuszony,
 Będąc synem prawdziwym ciebie swego ojca,
 Skoczy w skok na drabinę po kokosz do kojca
 Ledwie się do kurnika po drabinie dorwie,

Za gardło w kojcu kokosz jarzębatą porwie,
 Wtém dowódzca nad kury, kogutek enotliwy
 Broniąc kokoszy począł trzepotać żarliwy
 I tak długo po kojcu stroił swe firleje
 Aż uczynił latawca z Xiędza Raznodzieje.
 Wtém zleciał miłośniczek, nie rzekł tylko—Rata.
 Dzieci w wrzask — Ach u diabłać już nasz miły

A pani która ryby nieboga warzyła
 Ujrawszy to warząchew z ręku upuściła.
 Już ci miał jakożkolwiek lekkie przenosiny
 Ale zaś daj go diabłu, twarde pokładziny.
 Głowa ona Bożego pisma wszystka pełna
 Brzękła o ziemię, aż z niej poleciała welna,
 Język którym siekł niegdy rzesko Boże słowa
 Ucięły zęby, wnet mu ustala i mowa.

Gardło ono co głośnie w zbórze śpiewało
 Skrzywiwszy się haniebnie spickłą krwią zawrzało
 Jesliby też kęs drogi uchybił do nieba,
 (To jako pijanemu dziwić się nie trzeba)
 Przez cię pokazana ma być prosta droga
 Bo go na twój posłudze porwała śmierć sroga
 O twe się prawa ujął, o twoje ustawy,
 Chciał jeść mięso w Sobotę, męczennik ten prawy
 Albowiem żeby postów papieskich nie chował
 Szyi złamać oł kurów spadłszy nie żałował.
 I my go będziemy jako męczennika czcili,

Bo go oło koguty dla postu zabili.

Więc był wielki dozorca twych przykazań w Wilnie

W wszęch cię cnotach twoich naśladował pilnie.

W uczynkach się nie kochał, w samėj wierze tylko,

Miał żonczkę nieszpętną i dziecięzek kilka.

Co się tycze spełniania, gdy czego dobrego

Zaręczamy, że spełni aż do dna samego:

Że go możemy malować z tą złamaną szyją

Miedzy czterma cnotami za temperaneją.

I owszem niech za twoją łaską to rzeczem,

Więdlą cnót on cię przeszedł, na oko widzimy.

Tys musiał posty pościć, kiedyś był w klasztorze

A on się wychowawszy z dzieciństwa przy zborze

Jako żyw ich nie pościł. Tys na jutrznią wstawał

I pacierzes papieskie o północy mawiał

A on choćby chciał był wstać w noc na modlitwę

Musiałby był mieć pierwój z żoną o to bitwę:

W prawdzie ją dziwnie kochał, a z wielkiej miłości

Chował ją jak skarb drogi gdzieś w wielkiej skrytości

Na Kazaniu wszystko nam przekładał co wiedział

O samėj tylko prawdzie nigdy nie powiedział,

Przyszło mu to z wielkiego przeciw nię kochania

Kto się w czém kocha, tego drugiemu zabrania

.....
Inie twoje ilekroć wspominał na Kazaniu

Kłaniał się nisko, tak cię miał w poszanowaniu.

i t. d. i t. d.

Na siedemnasty wiek, nie było to bez dowcipu i Juszyński, może za surowo, tę igraškę osądził. Nie było ją po co włączać do dzieł *poētów*, ale jako broszurę *semi-historyczną*, ducha katolickiego ówczesnego już zwyciężkiego i dobijającego protestantyzm, wyrażającą; warto przerzucić.

Wracamy na ulicę Trocką, na której wart jeszcze wspomnienia Kościół i Klasztor P. Maryi na piaskach; ostatnia to sadyba XX. Franciszkanów, przy której mieli i drukarnię, wydającą nabożne książki i dwakroć *Skarb nieoszacowany* X. Grzybowskiego. Tu bijąc we dzwony zdradziecko jakby na gwałt, dysydenci mieli zgromadzać lud i strzelać dla zabawki do niego.— Oskarżeni byli o to, ale wypadek sam, zdaje się podlegać wątpliwości.— Zwróćmy się jeszcze na ulicę Biskupią, gdzie dawniej pałac był i sad i figura, a pod nią reszty ŚŚ. Męczenników Franciszkanów spoczywały zwłoki.

O! ileż to jeszcze wspomnień, których tu wyliczyć nie podobna, ileśmy miejsc pominęli, ile nazwisk opuścili, ile faktów nie przypomnieli na prędce. Ile więc kościelnych,

ile dachów, ile kamieni w bruku ulicznym;
tyle tedy przeszło wielkich ludzi, wielkich
wypadków, i wielkich klęsk.— Czas było spo-
cząć po tak czynném życiu, zdrzémac się,
podparwszy na dłoni i marzyć o swojej prze-
szłości.

•••••

II.

CHARAKTERY.

ile dachów, ile kamieni w bruku ulicznym, ile tych, którzy przeszło wiek ich, wielkich wypadków i wielkich blasków. — Czas było ego-tyzm po tak czynnym życiu, zdyktować się podnieść na głosi i marzyć o swojej przyszłości. Wycieczki i dojazd do tego protestu, wycieczki, warto przerzucić.

Wracamy na ulicę Trąbka, na której widać jeszcze wspomnienia Kocińskiego i Elasztora P. Marci na piaskach; ostatnia to zabytek XX. Francuzów, przy której widać i drożdżnicę, wydająca nabożne śmiechy i dwukrotny *Sankt* niezmierzony X. Grybowskiego. Tu bijąc we drzwi zdradziło jąby na gwałt, dywidenty mieli zgromadzić lud i strzelać dla zabawy do niego. — Oskarżeni byli o to, że wypadek sam, zdaje się podlegać wątpliwości. — Zwróćmy się jeszcze na ulicę Biskupią, gdzie dawniej pałac był i ślad i figura, a pod nią reszty SS. Męczeńników Francuzów spotykały złośliwe.

O! ile to jeszcze wspomnień, których to wyliczyć nie podobna; ileśmy niejako pominieli, ile najwyżej opuszczili, ile faktów nie przypominiali na przedce. Ile więc hościelnych,

II

CHARACTERS.



II.

Charaktery.

Wspomnienia ludzi.

I. Panowie.

PANOWIE! Slachta-panowie, wierzchnia warstwa pokładu towarzystwa, nazwanego slachtą, dziś tak trudna do opisania, do zdeterminowania. Jak wam opisać panów i co do ciała i co do duszy, gdy i w pierzu i w mięsie nie mają nic charakterystycznego. Gdyby дума mogła stanowić charakter, wzięlibyśmy ją za piętno klasy, ależ bo i nie wszyscy są dumni. Dawniej zwał się panem kto miał wielkie

włości, dwórliczny, znaczenie, wpływy, imię starożytne, poznać go było jak mówiono po cholewach. Dzisiaj, cholewy te, po których poznawano panów zakryły się zupełnie, znikły. Nie szukaj rasy w twarzach, w postawie, slachetności w obliczu, czegoś odznaczającego się w ubiorze, nie pracuj próżno, nad poznaniem wśród ciżby, panów — stracisz czas tylko. Pan nie odznacza się slachetnością oblicza, jak wyżej powiedziałem, obyczaje XVIII wieku, które w wyższych klasach towarzystwa najlepiej się były przyjęły, zmieszały krew przodków wielkich z niejedną kroplą podlejszj (zacniejszj jeśli chcesz?). Ujrzysz więc teraz nie jeden raz fizjonomja lokają przy herbie z mitrą i płaszczem xiążęcym, atletycznego woźnicy postawę przy tytule *Comitis S. R. J.*; gdy przeciwnie najslachetniejsze rysy, spotkasz w najmniej spodziéwaném miejscu. Nie poznawaj także panów po stroju, niektórzy umyślnie chodzą brudno i odarto, inni ubiérają się jak wszyscy. Terazniejszy nasz europejski ubior zrównał powierzchownie ludzi; tysiąc razy plenipotenci smakowniej i kosztowniej, od swoich

pryncypałów się ubierają. Gdy więc wejdiesz do towarzystwa, w którémbyś chciał odkryć spójrzeniem panów, nie zważaj na twarze, nie patrz po ubiorach, nie słuchaj rozmowy, nie daj się uwieść żadnemu z tych pozorów państwa, któremi najczęściej okrywają się najmniej do tego tytułu mający prawa, a najwięcej pretensij. Odkryjesz innym sposobem częśćkę tę oddzielną, poznasz ją w kupce ludzi ściśniętj w kółku, którego części, sto razy w ciągu wieczora rozbite, rozproszone, pomieszane, zawsze się z sobą zejdą i zjednoczą. To najpewniejszy znak. Bo jakkolwiek głęboko panowie, wmięszają się między slachtę, jakkolwiek wzięwszy kogoś pod rękę, puszcza się odważnie przez tłumy, wracają prędko ciagnieni siłą magnetyczną do swoich. Jeżeli jeden tylko tak zwany pan, znajdować się gdzie będzie, poznasz go po niesposobności wklejenia się w towarzystwo i zupełnego zjednoczenia się z niém.

Panowie dzisiejsi, skutkiem mniej lub więcej przyjętj cywilizacji i wyobrażeń dzisiejszych, skutkiem mniej lub więcej zatrzymanych wspomnień wielkości dawnj, skut-

kiem nareście osobistych przymiotów i znacniejszego lub mniejszego majątku, dzielą się i poddzielają, na mnóstwo klas i gatunków. Nie będziemy tu zajmować się trudną tą klasyfikacją, i wybitniejsze tylko opiszę typy; jako panów-spekulatorów (dziś dość często spotykanych), panów z wielkiem imieniem, a małym majątkiem do podtrzymania jego blasku, panów-literatów i uczonych, uschlej galezi drzewa dawniejszych Meccenasów, panów nadętych wielkością swoją i pragnących nieustannie grać rolę protektorów, panów, którzy się poniżają, czynią małemi, popularnemi, udając zupełny brak, zupełne niepojęcie uczucia dumy i t. d.

Weźmy każdy z tych typów i przypatrzmy mu się zbliżka.

Spekulator — jest wynikłość powszechnego przekonania, którego chociaż jeszcze nikt w głos niewyznaje, ale które każdy prawie karmi w głębi duszy, że złoto jest najwyszczem dobrem. Pan spekulator uczuwszy, że jego tytuły wynoszące go nad pospolitą szlachtę, mogą mu być tak lub owaak zaprzeczone, przez jednych wzgardzone, przez drugich

wyśmiane nawet, uczuwszy że jego imie historyczne potrzebuje blasku od wszechmogącego złota, aby lepiej świeciło, uczuwszy może nareście próżnię w życiu, a mając jakąś żyłkę spekulatorską, rzuca się w robienie fortuny. Wiecie panowie co się zowie robieniem fortuny? Jest to zupełne oddanie, zaprzędanie się za niewolnika złota, jest to poświęcenie wszystkich godzin żywota, wszystkich myśli, gustów, jedném słowem wszystkiego jednemu celowi—zbieraniu grosza. Człowiek który robi fortunę je mało i źle, śpi niespokojnie, ubiera się brudno, jeździ odartą bryczką, czyni się żydem z żydami, kupcem z kupcami, przyczaja się, przypada, milczkiem podchodzi, indziej obcessowo nadskakuje, daje sobie wszystko powiedzieć, wszystko prawie uczynić, nieczuje przymówek, nierozumie łajania, niepojmuje uderzeń i dąży, dąży tylko zawsze z wlepioném okiem, zawsze prosto do celu, przez błoto, przez jamy, przez góry, do fortuny. Często wielki pan, który wprzód formalizował się niedość niskim ukłonem, gdy zacznie robić fortunę, ścisnąć będzie ci żyda, z którym jest w spółce han-

dlowój. W tym paroxyzmie jego dzieci, jego żona, jego sława, wszystko mu obojętne, wszystko mu niczém; zupełny monoman, niepatrzy pod nogi, nad głowę, na bok, tylko przed siebie, zawsze i ciągle przed siebie. W końcu też dosięga celu prawie zawsze. Manja spekulacji wielu opanowała panów, może nie do tak wysokiego stopnia, jednakże potrafiła ich zmienić nie do poznania. Chciejcie jednak rozróżniać pana rządne go tylko od spekulatora, nie mieszajcie ich z sobą. Piérwszy jest to rozsądny, trochę zimny człowiek, drugi szalenieć prawie. Piérwszy myśli o jutrze, jak każdy zastanawiający się, drugi niewidzi jutra, tylko fortunę. Często niepojmuje jój użytku, ale chce ją mieć jak dziecko zabawkę, jakimkolwiek sposobem byleby mieć.

Pan-spekulator jest to zupełnie XIX. wieku właściwość; XIX. wiek dopiero potrafił zgodzić wyobrażenie dawniej sprzeczne jak dwa bieguny arystokracji i spekulatorstwa, on dopiero pokazał przykłady podobnych fenomenów moralnych. Dawniej bywali panowie skąpi (to wcale co innego) ale

nie było spekulatorów, bywali egoiści, dusi grosze; ale spekulator należąc do téjże familij, jest naznaczony piętném oddzielném. Spekulator zakrawa na naszego bogatego żyda z jednój strony, drugą stroną przyrasta do swojój klasy współbraci, którzy (o drugie dziwo!) nie bardzo się nim brzydzą. Dawniej podobnemu człowiekowi byliby bracia potłukli tarczą herbowną, dziś ściskają go za rękę w towarzystwie, z uśmiechem jeśli nie serdeczności, to przynajmniej zupełnej grzeczności. Dom spekulatora-pana, utrzymany jest (najczęściej przez żonę, przyjaciółkę, przyjaciela) na stopie w prawdzie którą godzim się nazywać pańską, ale przez powierzchownie napuszoną wystawę, dójrzysz że mało gospodarza obchodzi, jakie poweźmiesz o nim wyobrażenie, z tego co i on sam niewiele ceni. Oszczędność posunięta do skępstwa, które się zowie porządkiem, wewnątrz domu ubrane bez smaku szczątkami dawniej okazałości i podarunkami świeżemi—stół (niezawsze) dobrze nakryty, a (zawsze) źle zastawiony. Wśród tego wszystkiego kręci się sam pan ledwie

skinieniem głowy przyjmujący gościa, ledwie udający że go słucha, zawsze myślami gdzieś indziej, w rachubach, w spekulacji, w nadziejach lub strachu. Z tych którzy otaczają pana-spekulatora, żal nam najbardziej jego żony i dzieci, bo ci pospolicie nie dzieląc jego manij, niepojmując zapалу, męczą się chcąc całe inną rolę grać na świecie, a niemając czém jej podtrzymać.

Po panu-spekulatorze, opiszem typ oddzielny, pana który, że użyję tego wyrażenia—*panuje*. Skutkiem dumy, przejęcia się swoją wielkością, głębokiej pogardy dla tłumu, ten drugi stara się koniecznie oddzielić od innych, usiłuje być i okazywać się panem. Nieobchodzi go reputacja poczciwości, nieskażonej sławy, rzetelności, sumienia, lecz koniecznie potrzebna mu do życia opinja *państwa*. Bojąc się, aby go jakim osobliwszym przypadkiem nie wzięto za podpanka tylko, za dorobkowicza lub tym podobnie, nie wyjdzie ci nawet na przechadzkę bez lokai, którzy galonami, herbowną liberją i miną świadczą i mówią:

—Oto pan! Upadajcie na twarze!

Nie pojedzie bodaj w sąsiedztwo, bez kozaków z tyłu i z przodu, sześciu koni, karety, kamerdynerów, kuchni i sekretarza. W domu, tak się lęka o swoje państwo że nieśmie nawet, kiedy jest sam jeden, kazać pochować sreber, które jego stół zdobią (chciałem powiedzieć obciążają). Obejście się jego z niższymi osobliwe! Wedle stopni które zajmują lub chcą zajmować, w towarzystwie majątkiem i imieniem (są to jedyne dwie kwalifikacje przez niego za ważne uznane) — wedle tych stopni z wyrachowanym ceremonjałem przyjmuje ich. Jednym podaje łaskawie rękę, drugich wita skinieniem głowy, innych słówkiem jakiem, innych wręście, bez ceremonij z góry narzuca pytaniem — Po co przyszli? — Wynikają z tego czasem śmieszne omyłki, gdy Jaśnie Wielmożny oznajmienia kamerdynera nie dosłyszcy lub niezrozumie, gdy kamerdyner źle zaanon-suje. Śmieją się ludzie wzdragając, ale pan nieodstąpi od raz przyjętego ceremonjału. Są tego typu podgatunki, odznaczające się tak wysokiem uczuciem swego państwa, że ono prawie manją się staje. Jeden tego rodzaju

szaleniec, wszak ci przyszedł do tego, że się poczęści mniemał panującym, królem, ustanowił Sądy, rozkazał spisywać Akta i wystawił sobie tron w wielkiej posłuchalnej sali. Inny dla dania sobie tonu królewskiego, drogę do swych dóbr, gdy do nich pierwszy raz z żoną dojeżdżał rozkazał oświecić, a między lud zgromadzony rzucić pieniądze. Wszystkie te dziwactwa, uważane ze stanowiska 1342 roku, pocieszenie się wydają, ale niemniej exystują, są historyczne i ci którzy dziś podobne komedje odegrywają, sądzą że czynią ni mniej ni więcej tylko tyle, ile od nich wymaga, ich położenie w świecie.

Latwo poznasz niejednego takiego w zgromadzeniu, dźwigającego ciężar swój wielkości na szerokich ramionach, z podniesioną głową, wydętymi policzki (cecha), napuszonego jak gdyby wewnątrz jeszcze spierała go nawet niesłychana jego wielkość a raczej niesłychane — głupstwo.

Jeśli nadstawisz ucha, posłyszysz nieraz, z ust jego w rozmowie z równymi.

— My panowie — *Nous autres grands Seigneurs*. Frazes ten byłby niedouwierzenia,

gdyby autor nie zaręczył uroczyście, że go na własne uszy słyszał (i tak jeszcze może nie jeden posądzi nas że polujem). Ów pan, jeśli niewiém jakim przypadkiem zawadzi o domek słabiecica, czyni tém widocznie taką laskę nieszczęśliwemu, tak prycha, tak się krztusi, tak wacha potraw, tak się krzywi, na wino, tak potém choruje wróciwszy do domu, iż rzekłbyś że to zupełnie inne jakieś stworzenie, nie prosty człowiek. A może istotnie, nie jest to zupełnie człowiek? *Concedo*. Tydzień potém opowiada jak się skompromitował wizytą, jak wszystko u pana brata zastał do góry nogami, jak nie podać nie umieli, nie jeść nie mógł, nigdzie usiąść wygodnie, jak widział srebrne umyślnie na tę uroczystość wyjęte solniczki, jako jadł krem nieunikniony w takim razie i t. p. i t. p. W licznych towarzystwach pan tego rodzaju nieośmieli się nigdy wyrzec słowa do nikogo, o kim wprzód nie zasięgnie najdokładniejszych wiadomości, i kto mu nie był prezentowanym uroczyście; tak się lęka zakompromitować trochę grzeczności zbytecznej, lub kilką słowami za nadto poufałami.

Dajmy mu już pokój, a przejdźmy do ciekawego typu pokrewnego poprzedzającemu, pana bez majątku. W tym stanie (rzecz dowiedziona) duma wzrasta jeszcze więcej; zmuszony na przywileju imienia i urodzenia opierać się jedynie, biedak przywiązuje do niego większą wartość, wyższą cenę, niż ktokolwiek bądź. Gola jego mitra jest w jego oczach nieopłaconym skarbem. Lecz gdy częstokroć typ pierwszy i drugi, pozwalają sobie wyrzec słówko o pieniądzach, gdy się nie tają że je cenia, że uznają ważność ich roli na świecie, nasz pan w tym względzie, całę różne ma zdanie. On gardzi temi *marnościami* (*raisins trop verts*) zapewne dla tego, że nie jest w stanie dobić się tych *marności*. Pan téj klasy, obyczaje ma przesadnie pańskie, maskując niemi dokuczający mu niedostatek, stara się niewymówną delikatnością smaków, okazać i dowieść, swojej organizacii pańskiej, owego niepojmowania życia innego, nad wytworne. Co się tyczy stroju tym, gdy się odznaczyć niemoże (są bowiem i tacy, którzy długą myślą o nowym fraku)—udają bardzo zręcznie filo-

zoficzne jakieś zaniedbanie. Do wszystkiego zresztą ten sam wygodny systemat, potrafi się zastosować. Niemów mu, aby swe życie starał się rozmierzyć i przyrównać do środków, jakie mu pozostały na utrzymanie jego; tego on niepojmie, tego za nie nieuczyni. Właśnie przeciwnie silić się będzie, aby na brzegu ruiny zupełnej, okazywać się jeszcze choć troszeczkę panem. Świecić będą dziury na lokciach galonowanej migdałowej liberij, nie wyrzeczy się jednak migdałowej liberij, poczernieją guziki i blachy herbowne, ale ich rzucić nie każe; dom będzie stał pustkami i walił się po troszę, nie wyniesie się jednak z palacu przodków Jaśnie Wielmożny! A gdy nędza przyjdzie za niezrądem i głupstwem i siądzie nad głowami łoża, myślicież iż pan zrospaczony, przestanie swęj roli, wyrzeczy się państwa a przyjdzie do rozumu? Nigdy!—Naówczas ostatni środek, jakie takie byle bogate ożenienie. Znajdzie się zawsze panna, wdowa lub rodzice, których odarta mitra lub hrabiowska korona zachwycą. Wielki ów pan, pod-

niósłszy na łokieć głowę, raczy łaskawie wy-
ciągnąć rękę ku szlachcie i powie.

— Ożenie się z Wasanią.

Panna, wdowa, krewni, padną na ko-
lana i zawołają, z Beranger'em.

— *Quel honneur, Quel bonheur!* Co za
cześć, co za szczęście!

Po czém ozłocony na nowo Jaśnie Wiel-
możny zacznie żyć pańsko jak dawniej, utrzy-
mując, że wzniósł szlachećkę, na wyso-
kość swój pozycij socjalnej—i cicho—jak
gdyby nigdy nie był goły, a co gorzej, bez-
użyteczny sobie i światu i śmieszny—

To szczególna i godna uwagi, że jakkol-
wiek codziennie prawie widzimy upadające
familje przez nierząd, przez wypadki, przez
rozrzutność, jednakże gdy owych rozbitków,
którzy stracili fortunę ujrzysz w towarzystwie,
gdy ich posłyszysz, nie uwierzysz że nie
mają, tak tego noszą głowę, tak zawsze znać
w nich panów.

Z tąd to powstało slacheckie dawne przy-
słowie.

Lepsze pańskie ostatki

Niż slacheckie dostatki.—

I jest to po części prawda. Zaledwie przy najnieszczęśliwszym składzie okoliczności w trzeciem pokoleniu, dójrzysz widoczny moralny upadek, i to, powtarzam przy najnieszczęśliwszym składzie okoliczności.

Inaczej ma się, gdy kobiety tylko zostaną dziedziczkami nędzy i wielkiego imienia, one prędko toną w tłumie i niepokazują się z niego, chyba przed takimi którzy je ocenić potrafią, ale o tém potem.

Powszechny głos powiada, że panowie między sobą się trzymają i pomagają sobie — Bardzo wątpię, aby w naszym wieku egoizmu i niewiary (nawet w kascie do których się należy) panować jeszcze mogła taka solidarność. Jednakże i to prawda, że najwięcej owych exystencji zagadkowych, błyszczących a niewiedzieć czém podsycanych, spostrzega się między panami bez majątku.

Ktoś jedzie — Koczyk nowy, ludzie w liberij sam pan bardzo przyzwoity (to oznacza dobrze ubranego i jako tako w salonie prezentującego się człowieka). Pytasz — kto to taki? —

— Hrabia....

—Z daleka?—

—Jakto?

—Gdzie mieszka?

—Wszędzie i nigdzie—

—Coż? gdzie ma majątek?

—Niéma majątku.

—Więc kapitały?

—Niéma kapitałów—

—Z czegoż się tak utrzymuje?

—Zagadka—

Podobnych zagadek jest bardzo wiele, a ile razy zachce się ludziom je rozwiązywać, wpadają w szczególne domysły, których tu powtarzać nie będziemy. Panowie goli, urodzeni już w czasie upadku swój familij, od lat prawie dwudziestu życia, zajęci są zwykle, wielką, niesłychaną pracą, w pocie czoła dobijają się, mozolą, aby się—bogato ożenić. Gdy ubogi slachcic zgoleje, jak to mówią po prostu, sprzedaje na ostatku swój sygnet po pradziadach, swoje sztuce srebrne i t. p. Pan na ostatku sprzedaje swoje imię i samego siebie. Czasem się ten towar dobrze dosyć płaci. Perjod życia, w którym paniczce, sądzą się kawalerami do wzię-

cia, w którym radziłyby jaką posażną uszczęśliwić słabeiankę, jest prawie nieustanną podróżą od pałacu do dworu. Gdzie tylko krocie są na wydaniu, tam pewnie i nasz kawaler się zjawia, udający znudzonego, z miną protektorską i zakrawającą na impertynencję. Tak często kilkanaście lat upływa naszemu panu, który na harbuzowej dyecie, wychudłszy wręście, żeni się prawie gwałtem i sprzedaje się o wpół taniej niż z góry zaceniał, bo począwszy od milionów, są co kończą na dwóchset duszach założonych w Banku — Zresztą owi panowie, mają zawsze w zapasie nadzieję, trzymającą ich na nogach — nadzieję sukcesij. Spokrewnieni ze wszystkiemi *ce qu'il y a de mieux*, z czego się bardzo zręcznie sto razy na godzinę pochwalić umieją, dodając do każdego wymówionego nazwiska *mon cousin*, wyglądają tylko i wachają, czy ich zład trupi zapach nie zaleci. Maxyma u nich — Wielkie familje nigdy nie upadają — już na schyłku w samą porę, przychodzą sukcesje.

I czasem się to sprawdza, czasem znowu widzisz tych głodnych ex-panów sunących się

w dalekie strony z processami o nieszczęsne sukcesje których nigdy nie dójdą. Są całe rodziny niegdyś wielkich panów, nad którymi zdaje się ciążyć jakaś fatalność, bo nie mogą wyjść z tego oplakanego dla nich, stanu ubóstwa, z którym się pogodzić, przyjąć go, oswoić się z nim nie umieją. Gdyby ci panowie chcieli tylko, byłiby jeszcze może zamożną szlachtą, a przy pracy kto wie czyby nie odzyskali kiedy swoich bajecznych majątków, o których z westchnieniem boleści wspominają; lecz niestety — oni wolą być niewiedzieć jakimi panami, niż pracowitą szlachtą tylko. Zda się patrząc na nich, że przeszły los świetny ich rodu, włożył na nich jakieś obowiązki próżniactwa, nacechował ich niezmażaném piętnem; zda się (i tak pewnie wyobrażają sobie) że kto raz był panem, ten nim poprzestać być nie może. A jednak, jednak! znano Xięcia z familij, która przed parą set lat zajmowała, jeden z tronów Europy (prawda chwilowo tylko) znano takiego Xięcia — ekonomem. Poczciwiec, nie wiedział wcale, co tam było napisano w papierach, które zwinięte w plachcie leżały w jego skrzynce; a

z nich się później wywiodł jednym z najmocniej Jaśnie Oświeconych Xiążąt. Drugi Xiążę Og..., może być introligatorem i pocziwie na chleb pracuje, choć nie dawno był takim a może lepszym panem, od tych próżniaków, co czekając sukcesij, tym czasem bezużyteczni wzdychają na swój los nieszczęśliwy. Terazniejszy Król Francuzki, bakałarzował przecie.

Ale dajmy już pokój panom bez fortuny i wybaczmy im, że czasem narzekają na losy (choć losy są po większej części sprawiedliwe), przejdźmy do innej odmiany familij panów. Z Mecenasów to zapewne których linja wygasła, przerodził się dzisiejszy wielki pan literat, protektor nauk, przyjaciel uczonych, poëta, artysta, muzyk, dramaturg, romansepisarz, i t. d. i t. d. I tam dalej jest tu tak koniecznie potrzebne, jak dawniej bywało, gdy je kładziono przy wyliczeniu tytułów starostw. Dziś literackie tytuły i literackie pretensje zastępują inne pretensje i tytuły, których niema. Niech nas Bóg uchowa abyśmy mieli narzekać na to, co najmocniej pochwalać należy—popęd do umysłowego życia,

do nauk, do sztuk; lecz pochwalać to co się zowie szczerym popędem, śmiać się musim z tego, co się nie potrafi inaczej nazwać, chyba śmieszna prefensja.

Pan, który za młodu całowany był w czoło przez Jaśnie Oświeconą lub Jaśnie Wielmożną matkę, za dowcipne przekąsy z gości w rodzicielskim domu bywających, którego nauczyciel wystawiał jenjuszem nieporównanym *en herbe*, który w szesnastym roku życia próbował pisać bajki poprawiane tajemnie przez pana Guwernera, który już we dwudziestym zjadł ogromną liczbę romansów, we dwudziestym wtórym włożył na nos złote okulary, w dwudziestym piątym staje się nagle sławnym literatem, uczonym, poetą i t. p. czém chce. — Nie bez przyczyny mówię *czém chce*, bo pan który musi z siebie czynić ofiarę wymaganiom swęj *pozycij socyalnej* (położenia towarzyskiego, jeśli chcecie?), nie jest obowiązany dowodzić dzieli, czarno na białem, reputacij, jaką mu ludzie zrobili. Dość jest, aby zaczęto o nim mówić — Jest poetą. Jest literatem. Świat wierzy na słowo, a gdy jeszcze Jaśnie Wielmożny zgrabnie w roz-

możecie co kilka dni przypomni swoje niby jakieś wiersze, swój poczęty poemat, dramat, romans;—sława jego już jest ugruntowana.

Czasem jednak uczuwa pan, że ja koniec końcem czémkolwiek usprawiedliwiłoby potrzeba. Na ten czas klei się tajemniczo utwór jakiś wychodzący pod jego imieniem. Jakiś wartości mniejsza, to pewna że Jaśnie Wielmożny ledwie trzecią część jego skleił, resztę przepisujący chudy literat dolatał, mając się za szczęśliwego, że go ku téj wielkiej sprawie użyto i naturalnie zapłacono (co dla takich literatów rzecz osobliwa i rzadka). Staje tedy nasz pan na stopie uczonego lub poëty (czasem nawet specjalnego człowieka) odbiera listy uczone z za granicy, proteguje literaturę. A to jak? spytacie. Jak? najprostszym w świecie sposobem—ma sobie za obowiązek karmić jednego wierszokłetę ciągle, a kilku przypadkowo—to się zowie protegować literaturę. Co się tycze książek, tych niewiele kupuje, ale przyjmuje ofiarowane sobie z najwyższą wdzięcznością. Posłuchajcie jak się żali, (w towarzystwie literackim) na brak czasu i okoliczności, które mu nie pozwalają,

całkiem się oddać ulubionemu przedmiotowi—
Ach! panowie! powiada—Prawdziwie płakać-
byście nademną powinni—Nigdy wolnej cza-
su chwili — swobodnie *pracować* nie mogę,
oddąć się nauce—Moja *pozycja socjalna*.—

Pan literat najczęściej w towarzystwach
gra rolę dowcipnego, jest on więcej klasyk
niż romantyk, a nadewszystko ceni nie to co
uczy, nie to co zapala, nie to co rozrzewnia,
ale to — co hawi. Dla niego literatura cała
jest, lub przynajmniej być powinna, zaba-
weczką, rodzajem zająski, przysmaczku.
Teraz, ludzie więcej u nas myśleć zaczęli,
więcej się nad sobą zastanawiać i życie
brać z surowszój strony, pan tego ro-
dzaju chowa się i tak z swym smakiem, bo
czuje, że nie modny; ale nie mniej jest w nim
żylka, dla której przeniesie Karr'a nad-
wszystko w świecie, co (jak pocichu poufa-
łym mówi) łamie tylko głowę. Widzieliśmy
tylko dotąd pana na literackiej scenie, zoba-
czemy go teraz, między równemi mu panami.
Tu on nieborak inną już gra rolę, czuje zno-
wu że jemu równi, uważać go są gotowi,
za skompromitowanego człowieka, dla tego

że czyta i udaje że myśli, przed niemi więc maskuje się jak może i zapiera się swoich pretensij. Typ pana literata, tak nieskończoną ma liczbę odmian iż ich tu szczegółowie opisać nie podobna. Są panowie lirycy, panowie dramatycy, panowie malarze i t. p.

Z liczby wielkiej takich, którzy tylko mają gołe niczem nieusprawiedliwione pretensje, są i tacy znowu, co najistotniej sumiennie, oddają się literaturze i sztukom.

Takim cześć i chwała.

Lecz takich nie wielu.—Na jednego prawdziwego, iluż to fałszywych Messjaszów. Dawniejszy Mecenasa, zgiął zupełnie, typu tego niema. Mecenasa Rzymskiego który podobno Horacego poił i karmił przez próżność, albo jak nadwornego błazna, dziś się nie widuje z przyczyny, że niema prawie literata, poëty, coby za kawałek mizernego chleba i kieliszek wina, że jeden bielszy, drugi wytrawniejszy od jego własnego chleba i napoju, przedał siebie. Referendarz Tyszkiewicz namawiał Karpińskiego, aby mieszkał przy nim ofiarując mu dość znaczną pensję, Karpiński nie dawał stanowczej odpowiedzi. Raz

poróżnili się o coś i gdy Referendarz przy swoim się upierał, rzekł mu Karpiński:

— Ot widzisz pan, gdybyś mi zapłacił, musiałbym przystać, na cobyś mi kazał. Wolę nie mieć twoich pieniędzy, a mieć swoje zdanie!

Mecenas późniejszy, starający się o postęp nauk, przez sumienne ich zamilowanie i przekonanie o dobrodziejstwie oświaty, wspomagający uczonych, interessujący się nauką, — u nas prawie nieznany. Są co pisać swoje imię na okładkach wydawanych książek, ale ci przylepiliby, gdyby mogli to imię, zarówno do czegośkolwiek, przy czémby tylko mogło pójść między ludzi i rozślawić ich.

Z dwojga wybierając czasem panowie wolą pisać lub tłumaczyć sami, niż cudze swoim kosztem drukować, a gdy przypadkiem i to się im trafi, tego się pilnują aby nie wiele na to stracić, a jak najgłośniej munificencją swoją, po szerokim świecie roztrąbić. Byli u nas panowie, którzy po tracili majątki poświęcając się naukom i literaturze, tak mówią ich przyjaciele. Wej-

rzawszy jednak z bliska w ich interessa pokazuje się, że nie literatura ich zgubiła, tylko marnotrawstwo i nierząd. Z tém wszystkiém, lepij i piękniej, kiedy ludzie mówią, że pan się zrujnował na nauki, niż na kochanki, i fama leci rozsiana, rozdmuchana po świecie szerokiemu, a gawrony, których nie mało, wierzą i wzdychają. Komuż to się nie przyda głupstwo ludzkie!! Ileż to z niego użytków, myślę że pewnie więcej, niż z gummy elastycznej.

Pan *protektor* w bliskim jest pokrewieństwie z typem nieco wyżej opisanym pana *panującego*, z tą tylko różnicą, iż tamten nie czując się w obowiązku protegowania nikogo, nie zniża głowy, gdy ten spuszcza ją, szuka, wacha, patrzy, kogoby mógł zaprotegować. W nim wyłącznie protekacją objawia się uczucie państwa, nie umie inaczej być panem, musi protegować. Ale czy myślicie, że proteguje kogo w istocie?—Gdzież tam! Toby było srogię parafrazństwo! Dość na tém, że obiecuje wszystkim protekację, ofiaruje ją, narzuca.

—Pan masz interest? hm? W Izbie Cywilnej? Jakież?

Biédny Processowicz wyklada, on slucha, na pozór z największą uwagą, czyszcząc długie i tak dość białe paznogie.

— Najczystszy interest! najświętsza sprawa! woła w końcu—A a a! I niéma dotąd żadnej rezolucij! oczewiście forsa przeciwnej strony! Niéma rezolucij!

— Niéma—JWPanie—

— Proszę! niéma! Za pierwszą zręcznością muszę o tém powiedzieć Gubernatorowi.

— Ach Panie! woła klient—

— Zmiluj się nie dziękuj! niéma za co! Drobnostka, najmiléj mi ci usłużyć! Spuśćże się na mnie, nie staraj się, bądź spokojny, ja to zrobię, zobaczysz!

Biédny głupiec, zaufawszy słowu, cieszy się obietnicą cacanką, a Jaśnie Wielmożny, w godzinę niewie o czém była mowa i ani myśli o nim. Jemu o to tylko chodziło, aby się pochwalić że jest w przyjaźni z Gubernatorem. Tego rodzaju protektorowie, rzadko bardzo użytecznemi a częstokroć są nawet szkodliwemi. Strzeżcie się ich biédni, ufni, poczciwi wieśniacy a nadewszystko

darmo gęby nie studźcie, szeroko opisując swój interess.

Teraz jeszcze jeden z tego miliona typów których nie podobna wyczerpać, bierzemy z nich na los kilka tylko i z góry szkic nasz cały, dajemy za niekompletny, w najwyższym stopniu. Ostatni więc typ — pan popularny.

Ciekawe zjawisko zaprawdę, bodaj nierównie właściwsze naszemu wiekowi, niż pan-spekulator. Pan który usiłuje stać się popularnym, czyni to najczęściej, (prawie zawsze) przez próżność. Ta jedna próżność na ileż to dziwacznych postaci przerabia człowieka. Jeden polknąwszy ją dmie się, inny płaszczy, inny dziwacznie przeistacza. Nasz pan doskonale wyrachował, że ludzie popularni wzięci u wszystkich, sławieni są z wielkich cnót; boć przecie potrzeba dając sławę, oprzeć ją na czémś. Tym czasem on nie cnotami, ale grzecznością i pochlebstwy, skarbi sobie u ludzi wziętość potrzebną. Zrzuca z siebie zupełnie państwo, depce je nogami, narzeka na tytuł, ledwie że nie klnie majątku, przy ubogich, wyśmiewa swoich współbraci panów, klania się uniżenie każdemu, sciska,

całuje, wchodzi we wszystkie położenia, cierpi każdym cierpieniem, oburza się na to co drudzy zowią niesprawiedliwością względem nich popełnioną. Jak kokiетка, która dla wszystkich ma słowa, spójrzenia słodkie, jest obietnicą, on dla wszystkich także ma grzeczności, ukłony, uśmiechy, pochlebstwa. A gdy z niższymi tak obcuje, nie zapomina i o wyższych, zna ich słabości, korzysta z nich, a deptąc tych którzy ugiaskani pod nim leżą, chwytając się drugich, którzy są wyżej, podnosi się z wolna coraz wyżej a wyżej.

Po długim poświęceniu się, pracy, męczotach, nareście dobija się nasz pan popularności—wznoszą się dokoła jego głosy na pochwałę—charakteru jego, uprzejmości, słodyczy, dobroci, a gdy wśród tego chóru panegiryków, niema i jednej nótę przeczącą, naturalnie nasz pan, tak powszechnie i jednogłośnie uznanym cnotom winien jest dostojenstwa, zaufanie powszechne i t. d. i t. d.

—Jest jeszcze jedna klasa ludzi—(czy tylko klasa? może podgatunek?) której opisanie położyć potrzeba blisko monografij panów, klasa niby—panów, którzy jednakże

przysięgają, że są tylko prostą szlachtą i zapierają się swego państwa. Pan Prosper na przykład, jest to majątny obywatel, dobrego rodu, ludzie go klasyfikują między Jaśnie Wielmożnych panów, on się zaklina — *na chonor*—że jest tylko szlachcicem. Dla czego? Posłuchajcie — Pan Prosper doznał niegdyś w towarzystwie panów, srogich od nich nieprzyjemności, widział że się braterstwa jego zapierali, że jego poufalość ich obrażała, że z niego drwili po prostu, ledwie za drzwi wyszedł. Przekonawszy się o tém a nie mogąc także używać tytułu Hrabiego którego mu zaprzeczono, bo nie miał żadnych innych dowodów Hrabstwa, nad ten że go od niepamiętnych czasów oficjaliści i słudzy JW. Hrabią tytułowali—Pan Prosper rozważywszy to wszystko, został dobrowolnie ni by, prostym szlachcicem. Wprawdzie srodze mu cięży jego szlachectwo, wprawdzie ciągnie go serce ku panom, wprawdzie chciałby znowu być tém, czém już był ni by; ale nie mogąc swego dopiąć, bardzo zręcznie udaje, że o to nie dba i wesoło gra rolę szlachcica.

■ Jest to szlachcic z musu. W domu jego

są ślady pretensij do państwa i pretensij do prostego szlacheństwa—Wewnątrz znajdziesz ozdoby kosztowne, szczątki niedawnej jeszcze wspaniałości porzuconej, zaniedbanej, a przy niej nowe zupełnie, rzeczy pospolite, takie, jakie się wyrabiają w kraju i używają powszechnie. W towarzystwie Pan Prosper jest popularny, uśmiechający się, grzeczny, miły, stroni nieco od panów i radby im pokazać, że o nich nie dba, choć to wielka bajka, której nikt nie wierzy. Często bardzo posłyszysz go mówiącego.

—My szlachta! Tak właśnie jak nie jednego pana—my panowie—Strój jego zupełnie nie wytworny, powierzchowność zaniedbana, mina wymuszenie wesola, ale pod maską przybraną dobrego humoru, przebija się zgryzota, udręczenie, smutek. Nie patrz na P. Prospera, gdy jest sam jeden naówczas marszczy się, brwi napuszcza i zamyśla—I nie dziw, ciężko to być tak szlachcicem z *musu*, gdy chciałoby się serdecznie być panem.

P. Felix Prandota, jest znowu szlachcicem z *mody*. Jakto? spytacie—Tak, dla

mody czy z mody, dość że moda zrobiła go słachcicem. Prandota więc bardzo dobrze, że pochodzi z dawniej, prawie historycznej familij, iż bogaty mógłby się śmiało mieścić między panami, którzyby go chętnie do swego towarzystwa przyjęli, jako dobrze wychowanego człowieka, pożądanego wszędzie. Ale Pan Prandota nadewszystko ma na sercu, aby iść z wiekiem, z jego wyobrażeniami i duchem, aby się stosować do świata i mody. A gdy duch wieku nie chce przyznawać panów, oddzielną rasą ludzi, poprawniejszą od innych ras, gdy duch wieku krzyczy o zaparcie się przywilejów rodowych (ja nie wiem co to za przywileje??) Prandota posłuszne dziecko wieku, czyni się małym, malenięczkim, zaklina się że jest tylko *jak wszyscy* słachcicem (bo kto u nas nie słachcic?) i rad nieźmiernie że wdarł się na wysokość wieku swego. P. Prandota, gdyby ludzie dla ducha wieku nosy sobie obcinali, uczyniłby to niezawodnie, z największą wewnętrzną satysfakcją i słodkiem przekonaniem, o nieodzownej potrzebie ucinania nosów dla dogodzenia wymaganiom wieku. Tak jak dziś jest

tylko słachcicem, tak postępnie jutro gotów być i wyznawać się tylko prostym człowiekiem, bez tytułu słachectwa; mnie się zdaje, że gdyby duch wieku był za żydami, Prandota przyznałby się do pochodzenia z krwi izraelskiej. Prandota nie stroni od panów, żyje z nimi, ale zdaje mu się, że jest wielkim bohaterem gdy w oczy im odważa się prawie największe zło na arystokracją, wygrzebuje na swój użytek wszystkie oklepane ogólniki, o równości ludzi i śmieszności *przywilejów* rodowych. (Jeszcze raz pytam was, jakie to są dziś te przywileje?)

Uciekajcie z uszami od Prandoty. Tak on ma na sercu dowieść, iż jego postępowanie jest skutkiem wewnętrznego przekonania, iż nie można się z nim spotkać i na chwilę, nie można najobojętniejszj rozpocząć rozmowy, aby w nią nie wtrącił, swoich zużytych anti-arystokratycznych rozpraw.

Bądźcie pewni że Pan Prandota dowąchawszy się zmiany w wyobrażeniach powszechnych, razem z krojem fraka zmieni i kroj myśli. Jutro—kto wie? może dziś wieczór, odmaluje sążnisty herb na frontonie

domu, wydnie się potężnie i zacznie szukać w szpargałach familijnych, czémby poparł swoje pretensje do tytułu Hrabiego, tymczasem zaś śmiejmy się z jego abdykacji państwa, jak się śmiejemy z przyznawania się nieślusznego drugich do nienależącego im tytułu.

Dotąd mówiliśmy o panach tylko, teraz kilka słówek o paniach—Nie łączylśmy ich z panami, gdyż tu i inne zajść muszą podziały, i typy się znajdują, którym odpowiednich, niema w rodzaju męzkim téj familij. Między paniami wybitniejsze są: pani-gospodyni—(odpowiadająca panu-spekulatorowi) pani literatka (*pendant* pana literata) pani elegantka i pani—jakby to ją nazwać, niech będzie Lais po staroświecku. Mijam jeszcze mnóstwo innych drobnych gatunków i podgatunków.

Pani-gospodyni, typ bardzo rzadki, trafia się jednak, a najpospolicij gorliwego zajęcia się gospodarstwem u niej, bywa powodem wrodzone skępstwo. Naówczas pani traci swój wdzięk, swoje państwo, rysy jej twarzy przybierają wyraz właściwy niepokojnemu zajęciu które obrała za główną

życia podstawę. Wśród gości siedzi niespokojna, okiem rzuca po sługach, uchem śledzi szmér każdy, duszą i sercem biega po wszystkich kątach, w których jój tylko niepocziwi słudzy szkodę uczynić mogą. Życie téj pani, jest prawda pełne zatrudnienia, zajęcia, interessu, ale też i kłopotów i niepokojów i udręczeń. Dodajmy że pani ze swego może położenia towarzyskiego, nie powinnyaby tak wyłącznie żyć w téj atmosferze dusznej, w której ubożsi z obowiązku, zostają; a Pan Bóg im to za zasługę pewnie przyjmuje—Pani, mogłaby być swobodniejszą, szczęśliwszą, i będąc *rzadną*, nie dopuszczać się nudnego, drobiazgowego *rzadziszestwa*.

Mogą mi czytelnicy zarzucić, że ten typ urodził, ale im zaręczam, że miljonowe panie widywano daleko więcej oddane gospodarstwu, niżem tu opisał. Darowanaby być mogła, ta że tak powiem manja, gdyby można dowieść że pochodzi, z żądzy zatrudnienia się, z potrzeby zajęcia, z zapалу do pracy; lecz na biedę gdyby ona tylko ztąd wpływała, inaczejby się zapewne objawiła.

Wychowanie staranne zwróciło owe panie, do uprawy talentów, literatury, staralyby się może, karmić duszę, kształcić umysł, gdy z położenia swego, nie im tego nie broni, a czas swój niezajęty, mogą oddać czemu zechcą. Tymczasem rzucając się do drobnostkowego gospodarstwa, dowodzą że niemi rządzi tylko chęć pomnożenia jeszcze mienia, że życia umysłowego, piękniejszego niepojmują. Ażeby mi kto nie wymawiał, iż wyszydzam jedno z najważniejszych zatrudnień kobiety, muszę dodać, że tu mowa o paniach, i o takich gospodyniach, dla których gospodarstwo stało się manją i passją. Wszystko dobre jest tylko na swoim miejscu i w miarę.

Cale to co innego pani-literatka—A na-przód wiedźcie, że nasza pani literatka nie czyta po polsku, nie umie po polsku prawie, brzydzi się tym językiem, którego referenci *Revue des deux Mondes*, zowią barbarzyńskim nad Sekwaną, wyśmiewając nieprzeliczne dla nich wyrazy—Pani literatka zna tylko, ceni, napawa się, unosi, szaleje nad literaturą francuzką. Darowanyby to był gust, gdyby mógł być jako tako usprawiedliwio-

ny, wyrozumowany; lecz rodzi go widocznie moda tylko, zwyczaj, malpiarstwo; a dowodem że tu o nic niechodzą paniom tylko o zadość uczynienie modzie, jest że u nich te książki popłatne, które są świeże, wychwalone i przychodzą razem z najświeższymi strojami od *M^e Victorine* z Paryża. Szal ten przeszedł do klasz niższych i o tém powiemy gdzieindziej, tu zaś głównie uczepić się naszych wielkich pań i będziem je prześladować, za to przywiązanie do cudzych dzieci, które pieczą, kochają, odziewają, karmią, gdy swoim kawalka chleba braknie. Tak jest, te pieniądze które wychodzą za granicę, za książki obce, mogłyby podtrzymać naszą literaturę, gdyby ich tylko połowę na ten cel użyto. Lecz spytaj przypadkiem jednej z uczonych pań o polską książkę —

— Wyszła z druku? spyta naiwnie —

— Od dwóch lat! odpowiadasz zdziwiony.

— *Ou est-ce qu'on la trouve?*

— *Mais, partout* — byleby dostać chciano.

Uczuwszy niejaki wstyd i zgryzotę sumienia, nie jedna udawać ci będzie, że ma najszczerzą ochotę czytania polskich książek,

ale, (czy uwierzysz)? nie może dostać książek polskich! Tysiąc razy zdarzyło mi się to słyszeć—Ależ na miłość Boga, wszakże dzisiaj wszędzie są xiegarnie, wszakże poczta chodzi na wszystkie strony kraju, wszakże łatwiej jest zapisać książki z Wilna, z Warszawy, z Poznania, ze Lwowa, niż od Hauer'a z Petersburga, od Belizard'a i Gräfte??—

W tych domach, które za sprzęt konieczny salonu, gabinetu, uważają książki, sto w zakład przeciw jednemu, że książki polskiej nieznajdziesz, chyba u pana plenipotenty, albo u którego z oficjalistów. Pannie i panowie, opatrzcie się, to wstyd, to hańba, to... (nie powiem jak się to zowie) gardzić tém, czego się nawet niepoznało, ubiegać się za tém co tylko modne. Żaden człowiek rozsądny nie może powziąć dobrej opinii o domu w którym ujrzy taką wzgardę swojszczyzny. Nareście w tém przynajmniej iść za modą, jest to okazywać brak zupełny zastanowienia, jest to grać rolę bezmyślnego podręczniacza, który to tylko czyni, co widzi że czynią drudzy. Przyjęto jest

sluchać mody, w stroju, w ozdobienu domu i tym podobnie — niechże tak będzie, ale gdy każe moda zaprząć się siebie, swoich, języka, wspomnień, zaprząć się tego, co jedynie wiąże nas z przeszłością z przyszłością — jest to — jest to rzecz niewysłowiona, niepojęta, iść wówczas za modą. Odpowiedcie mi może —

— Nieczytamy, bo niema co czytać po polsku — (zdarza się słyszeć takie odpowiedzi). Ale to fałsz, fałsz wierutny. Jest co czytać, ale niechcecie, ale wam się to zdaje *paraſjanstwem*. Chodzi wam o to, aby was broń Boże, nieposądzono o nieumiejętność francuzkiego języka, o niesmakowanie w francuzczyźnie. Zdaje się jednak że lepiej nawet uchodzić za paraſjanina, niż za ograniczonego człowieka, który sam niewie co czyni. Paraſjanin może być trochę śmieszny, a dla tego rozsądny, uczony, uczciwy, gdy tymczasem ograniczona istota skazana na wieczne podrzézanie starszych braciszków, jest wyrodkiem, odrzutkiem, bez nadziei poprawy. Dziś, kto po polsku nie czyta, kto się nie czuje w obowiązku oswojenia z życiem umysłowém naszym, ten wy-

stawia się na podejrzenie albo zupełnej ograniczoności, albo niczém nie wyekskuzowanej wzgardy, która się wzgardą odplaca.

Lecz wróćmy do pań literatek, które pomimo to wszystko, nieprędko jeszcze czytać będą po polsku. Bo dla czegoż te panie czytają? Czy z potrzeby dusznej? czy dla nakarmienia się? czy przez ciekawość, czy dla zajęcia czémś życia?—O nie! dla tego tylko, aby mogły w towarzystwie powiedzieć— Czytałam to; to jest przez próżność. A z przeczytania książki polskiej jak i przed kim się pochwalić?

Niektóre panie przez próżność zachciały umieć po włosku, po angielsku, po niemiecku, po łacinie nawet i po grecku, aby mogły temi języki przemówić słów parę, napisać co w Albumie przyjaciółki i najdzikszą jaką dewizę wyszyć na czém, przylepić do czego. Na sto kobiet uczonych, literatek, dziewięćdziesiąt i kilka (niemówię dziewięć przez grzeczność)—uczy się i czyta—przez próżność. Ale kiedy tak moje panie, to czasby przez próżność przynajmniej nauczyć się po polsku—To tak łatwo! a takbyśmy wam za to byli wdzięczni!

Pani elegantka to typ nie nasz i bardzo znajomy, bodaj najpospolitszy. Jest kilka jego odmian. Każda prawie kobiéta, która tylko może, idzie za modą z zapalem, z przejęciem się nią, jój duchem tajemniczym, jój znaczeniem filantropiczném, socjalném, humanitarném etc. (Bo w modzie jest to wszystko tylko nie każdy to widzi). Są nawet jeńjusz (gdzież niéma jeńjuszów teraz?) które zgadują modę, przeczuwają przyjście jój. Życie pani elegantki znajome, niéma go co opisywać. Najczęściej piękna twarz zdo bi panią naszą, ale wówczas nawet gdy ta twarz jest już mniej piękną, lub niepiękną wcale, zapal do elegancij nie ustaje. Nieznam na świecie stworzenia pociesniejszego nad starą elegantkę. Zwyczajnie uczuwszy zbliżenie téj nieszczęsnej, nieuchronnej zimy, rozsądniejsze panie, nie wyrzekając się pewnego przyzwoitego wytworu w ubraniu, zrzekają się wszakże tego wszystkiego, co wyłącznie stosowne jest młodym. Przeciwnie drugie przełknięte swoją starością, czepiają się nogami i rękami resztek wdzięków uwiedłych i wyobraziwszy sobie, że strój jest wszystkiém,

usiłują odmłodzić się strojem. Za tém idzie że dobrowolnie stają się najpocieszniesze gdyż młody strój jeszcze bardziej wysuwa naprzód ich starość i przeraźliwie od niej odbija.

Oto wchodzi jedna z tych pań do salonu—wszystkie oczy zwróciły się na nią ciekawie, w oddaleniu tłumione uśmiechy zamieniają się w kaszle, kichania i ucierania nosów. Spójrzcie i jeśli mądrzy nie śmiejcie się. Sześćdziesiąt lat ma pewnie, lecz obwisłe policzki pokrywa mąka i róż, skóra na czole w tył pociągnięta aby marszczki znikły, ubrana *tylko* we włosy, we włosach kwiatek dziewczyny, sielankowy. — Ramiona nagie, piersi do połowy, niepatrzcie na nie zmiłujcie się, bo to nawet trochę grzechu, a niezawodnie dla jej wieku nieuszanowanie. Suknia na nią jasna, świeża, lekka, z krótkimi rękawami, szal na rękę. Ale fraszka ubranie, któż opisze uśmiech, kto opisze wejrzenie, kto odmaluje minę młodości, z pod której przegląda zimny, straszny, wyżółkły szkielet. Idzie—poruszenia wszystkie piętnastoletniej panienki; muzyka się odzywa, proszą do wal-

ca, walcuje!! Do tego stosowna rozmowa, w której, dwa razy rozwódka, *elle fait l'ingénue, avec une grâce incomparable*. Wprawdzie wszyscy znawcy antyków, przyznają że ta pani, musiała być niegdy bardzo piękną, lecz nie mniej śmiesznie przeto się wy daje, ze swoją pretensją do przeszłości, w której niepowrótne zniknienie, żadnym sposobem uwierzyć nie chce. Takich pań widuje się mnóstwo po świecie, a gdy z jednej strony śmiech bierze, z drugiej żal nad nimi, że się dobrowolnie na pośmiewisko wystawują.

Przejdźcie od tego do następnego typu, pani Lais, łatwiejsze jest, bliższe niżby myśleć można. Zdarza się między starą elegantką a młodą Lais, pewien rodzaj pokrewieństwa — Często młoda Lais, zostaje nią na starość. Wszak przecie wiecie, kto była Lais, niepotrzebuję tłómaczyć, co znaczy Fryne, co — ale dość tych tłómaczeń. Wybierzcie sobie Lais czy Fryne, co wam będzie dogodniej, ja przystępuję do rzeczy.

Niewiem prawdziwie jak to tam dawniej w Polsce bywało, czy wielkie panie pozwa-

lały sobie niekiedy swawolić, tak jak dzisiaj. Historia niewiele podobnych niewiast wspomina, jedną Dorotę Tęczyńską, którą krewni замуrowali w wieży i potem od niej zwaną Dorothą (*Paprocki i Niesiecki*) kilka z XVI wieku wpływem i przykładem Bony zepsutych. W XVII wieku w niższych klassach obyczajne były zepsute, świadczą o tém Klono-wicz i Opaliński; w XVIII w klassach wyższych zepsucie, doszło do najstraszniejszego stopnia, stało się bezwstydem. Panowanie Stanisława Augusta płodne jest w fakta dowodzące jak dalece pod podwojnym wpływem filozofij francuzkiej i rozwiązłości królewskiej, kobiety się popsuly. — Wielkie pannie, wołały być kochankami królewskimi, dzień jeden (*reines d'un jour*) niż uczciwemi żonami życie całe. Zepsucie dochodziło przypadkowo klass niższych, ale siedlisko jego, jądro, było między panami i paniami, Jaśnie Oświeconemi i Jaśnie Wielmożnemi, a najjaśniej osromocconemi i sromocącemi się dobrowolnie. Resztki zapewne XVIII wieku maxym i przekonań, dochowane jako szacowny spadek po rodzicach i dziś jeszcze

działać muszą na kobiety, które postępowaniem swoim dowodzą, nie tak szczególniej organizacij i temperamentu, jak raczej szczególniejszego sposobu widzenia świata, ludzi i przeznaczenia swego.

Jakkolwiek zepsucie głośnie, widoczne, bezwstydnie się obnażające przed wszystkimi, nie kryjące się wcale, dziś jest może rzadsze niż przed kilkudziesiąt laty, mamy wszakże przykłady jego, które daleko jeszcze liczniejsze są, między pany, niż w innych klassach towarzystwa. Czy myślą że im więcej powinni wybaczać, że suta jałmużna, że dobry uczynek, wynagrodzą gorszenie złym przykładem? O panie! — wasz każdy grzech, popełniony na gorze, widzą tłumy i psują się nim, wyście wszystkie, wy wszyscy powinni być lepsi od tych, których Bóg próbuje największą pokusą — pokusą nędzy, ubóstwa, niedoli. — Wymawiam, lituję się nad grzechem ubóstwa, któremu brak oświaty, poznania grzechu, siły do oparcia się jemu; wymawiam upadek nieszczęśliwych, moralnie zaniedbanych i głodnych wszystkich roskoszy życia — ale wam! wam! Czegoż wam

braknie jeszcze? Nie dośćże jeszcze łatwą wam cnota! nie dość różowe życie?—

Tak, a jednak jedna z pań to powiedziała, to dowcipne a pełne charakteru słówko, pijąc w upał szklankę zimnej wody—

—Co za szkoda że to nie grzech—

Oczewiście woda byłaby jej jeszcze smaczniejszą. Czemuż nie mogą tak smaku znaleźć w cnocie, w spokojnym życiu? czemu—O! długo byloby odpowiadać—wróćmy do Lais.

Panie-Lais, najlepiej lubią miasta; nie wiem czemu zepsucie, rozpusta, nigdy tak się nie wkorzeniają, nigdy tak bujnie nie wzrastają na wsi jak w miastach, może dla tego, że w mieście, mało kto uważa na to. Pani Lais, (prawie zawsze) niezmiernie staranna jest o swój strój, piękna czy nie (a są i brzydkie) usiłuje wydać się piękną. Obejście się jej, ton rozmowy, uderzają szczególną śmiałością, jakąś niby mężością. Sama pani zuchwale targa się najniebezpieczniejszą konwersacją, któraby nie jednego zarumieniła męczyznę, dla niej wszystko tak się wydaje *naturalnem* prócz wstydu, którego całkiem niepojmuje. I Słusznie.

Jak się to dzieje że wiele takich kobiet mają umysł ukształcony, głowę otwartą — niewiem; może właśnie wychowanie bez zasady, rozwijające władze umysłowe, a nie wpajające żadnego przekonania, żadnego uczucia religijnego, przygotowuje nieraz do późniejszego zepsucia. Wychowują głowę, zaniedbują serce i zepsucie to w głowie naprzd się wylega; uczą dowcipu i szyderstwa, polaskują nieustannę ironij, wydrwianiu całego życia, braniu ze śmiesznej strony wszystkiego, cóż dziwnego potem, kiedy i enoty, nie mogą wziąć serjo? Dodajmy liczne przykłady, dodajmy nietylko swoje własne domowe, familijne, ale zagraniczne. Rzadko która z pań podróżujących często nad Sekwanę, wraca ztamtąd niezepsuta. Zdaje im się, że nie byłyby zupełnie, *à la hauteur du siècle*, gdyby nie potargaly krępujących je węzłów, które dziś przyzwyczajono się nazywać staremi przesady. Czytanie książek francuzkich, ma też udział nie mały w zepsuciu, bo panie biorą romanse, po większej części za rodzaj nauki moralnej popularnie wykładanej i zapatrzwszy się na

heroiny, które po dziesięciu miéwały kochanków, nie licząc nieszczęśliwego męża, starają się im nieustąpić w tym względzie. Z początku więc robi się projekt tylko, potem przyprowadza się go przy zdarzonéj okoliczności do skutku, raz, dwa, cztery razy—nakoniec zasmakowyywa się w tém utrapioném życiu. Przychodzi jesień, sumienie się odzywa, które potrzeba nowemi zagłuszyć szaleństwyy; a któż wyrachuje następstwa, kto zgadnie co będzie daléj? Trudno potém, wyjść z trybu życia, jakie się wiodło długo, stara Lais wyjeżdża na wieś, w towarzystwie młodego lekarza, plenipotenty, artysty i tym podobnie.

Jaką gra rolę mąż w życiu pani-Lais? Najczęściej wielce spokojnego widza, który czy istotnie nie patrzy, czy udaje że nie widzi i nierozumie, rzecz nierozwiązana. Dość że najspokojniéj w świecie żyje sobie, gdy pani sobie żyje i tak na wzajemném pobłażaniu ugruntowana dobra harmonja, nie rozerwana trwa do końca. Rozumie się, że w ciągu téj matrimonjalnéj komedij, zdarzające się dziatki, zostają biédne za kulissami.

Lecz dość opisywać ten szkaradny wrzód, nigdybyśmy się go nie tknęli, gdyby nie tak często na oczy się nawijał. W przeciągu lat niewielu, widzieliśmy przykłady, kilku z najlepszego towarzystwa kobiet, które zniecierpliwione nieobecnością mężów, pocieszały się z ludźmi najlichszej kondycij. Niektóre nawet podały rękę pokojowcom, kozakom, pisarzom pocztowym lub swoim plenipotentom. A jednak były to dobrze wychowane kobiety, wielkie panie, zacnego rodu. I jakże po takich przykładach smutnych i zastraszających, mieliśmy ten typ opuścić, nie tknąwszy go. Inne znowu, niewiodąc prawda swoich ulubionych przed ołtarze, ale niemniej widoczny ich tryb życia i wszyscy palcem pokazują z uśmiechem wzgardy, bezwstydnice.

O prababki nasze, święte polskie niewiasty, coście tak czyste umierały, dochowując wiary mężom zmarłym nawet, wy, których oddech nawet potwarzy skazić nie śmiał, spójrzcie na wnuczki wasze! Co za odmiana! Poznajecież w nich krew swoją? Dawniej religja bronila od zepsucia, bronila

wzgarda jaką towarzystwo całe, rzucalo na zepsute kobiety. Dziś, w sercach niema wiary, a towarzystwo tak mile przyjmuje do swego grona Fryny, jak najuczciwsze niewiasty. Cóż dopiero, gdy mają piękność, majątek i dowcip za sobą, dowcip dla którego ludzie często i zbrodnię przebaczą. Często sadzą je wyżej pocziwych i obsypują daleko wymyślniejszemi grzecznościami dziś — dziś — a! skończmy to i przerwijmy, bo wczoraj nie wróci, bo dziś się nie zmieni — a jutro — Czekajmy jutra. —

Jeszcze kilka uwag ogólnych o panach, o których możemy już i nadto złego powiedzieć.

W każdej klasie towarzystwa są ludzie śmieszni, są głupcy, są źli. Między panami, bacznie wszystko rozważywszy takich jest mniej niż gdzieindziej. Ale tu wady więcej widoczne i nieprzebaczone, nieusprawiedliwione niczem. Dziś jednak zdaje się, że arystokracja pojmuje jak wiele utraciła, jak mało jęj pozostaje, gdy się tylko opierać będzie na imionach i majątkach. Wiele imię, wiele majątek pomódz mogą, gdy z nie-

mi razem idą przymioty głowy i serca; ale bez wychowania umysłowego, bez wyższości moralnej i imię i majątek za nic. Dziś jedna tylko arystokracja być i exystować może, arystokracja światła, arystokracja rozumu, arystokracja poczciwości. Wszyscy skłonią głowy przed nią bez sporu, a piękne imię jako piękną pamiatkę uczczą, majątek jako środek czynienia dobrze, jako rękojmią niezawisłości oceniają. Wielkie imię droga to spuścizna, ale i ciężar nie mały, nie każdy je dźwignie; a za kim się ono po błocie wlecze — temu pytam do czego służy? — na większe pohańbienie. Dziś codziennie więcej widzimy panów, którzy wyższość swoją socjalną (tak się to położenie technicznie nazywa) starają się usprawiedliwić, uprawnić, wyższością umysłową, krótko mówiąc, jak położenie ich sprzyja ze wszechmiar umysłowemu życiu, wchodzą w nie i w niem smakują. Zaiste godna to uwagi, godna pamięci, iż wielu z nich zapełniają użytecznie żywot, oddając się naukom, zbieraniu pamiątek dawnych, miłośnictwu sztuk, podniesieniu gospodarstwa, polepszeniu bytu

poddanych i t. p. Jeśli panie nasze jeszcze nie potrafiły nauczyć się czytać po polsku, panowie za to, czytać poczęli, zajmować się literaturą i śledzić ożywiającej się ruchy. O! gdyby pojąć chcieli, jaką w historii kartę zająćby mogli, zwracając wszystkie usiłowania swoje, ku zebraniu starożytnych pamiątek, ku rozszérszaniu światła, ku postępom literatury; gdyby pojmowali jaką będzie zasługa tych, którzy jedną odgrzebią pamiątkę, jedną kartę od zguby zachowają, jednego obłąkanego na drogę prawą wprowadzą. Gdyby to pojmowali, możeby ci nawet, którzy tyle tracą za granicą, którzy tyle przegrywają w te nieszczęsne karty, którzy rzucają pieniędzmi w oczy głupcom i błaznom ich otaczającym—obrócili się w inną stronę, pomyśleli nad sobą.

Lecz nie—to marzenie—nigdy ogół nie pojmie tego—daj tylko Boże jak najwięcej pięknych wyjątków, jakich kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt nawet, z chlubą na Wołyniu naliczyć możemy. Powiedziałbym tu imiona, ale niechęć zasmucać tych, którychbym wymienić nie mógł.

Zapomnieliśmy jeszcze w tym rysie panów, wiecznie podróżujących, przepędzających życie za granicą, zdających się swoim postępowaniem mówić, iż w kraju żyć nie mogą. — Tych codzienną prawdą zmniejsza się liczba, a typ ten nie jest wyłącznie naszego czasu. Od stu lat podobno trafiały się takie wyjątki. —

Spójrzmy wręście i na Kosmopolitę, któren naszym chłodnym powietrzem żyć nie może.

Dziedziniec pałacowy zarósł trawą i chwastami, brama na jednym tylko wrzeciądzu wisząca, czyni wjazd prawie niepodobnym — na domu opadły tynki, w oknach połowy szyb brakuje, wszędzie znać ruinę i niebytność właściciela. W jednym tylko kątku pałacu, jest odrobina życia, stary tam dziadowski jeszcze sługa mieszka i pilnuje niegdyś ożywionej rezydencji, z której wygania profanujące ją wróble, sowy i jaskółki. Co tydzień raz przynajmniej wzięwszy klucze wiszące z kółka, Marcin wychodzi obejrzeć pałac, przechodzi sale i pokoje poważnym krokiem, oglądając w jakim stanie są sprzęty,

które butwieją coraz, rozlamują się, padają, okrywają pleśnią i do niepoznania zmieniają. Za każdą przechadzką po opustoszałej dawnych swoich panów siedzibie, nową szkodę postrzega sługa. Tam posadzki popróchniały i popaczyły się, ówdzie krzesło się rozsypało i gdzieindziej urwały się sznury zwierciadła, które padło i strzaskało się na ziemi. Napróżno starannie zatyka dziury w oknach, aby wilgoć się nie wkra- dała, próżno wietrzy sale w dnie pogodne, zmiata kurz, wypala w piecach—pałac po- mimo starań jego, coraz widoczniej staje się pustką.

— Nie tak bywało, wzdycha Marcin, za- mykając drzwi ostatnie, ach! nietak to by- wało!

— A jakże bywało? pyta z ciekawością chłopiec młody, syn pana plenipotentą, a wkrótce obywatela, bo plenipotent wylegi- tymowany, na przyszłych kontraktach nie- zawodnie parę wsi kupi.

— Jak bywało! jak bywało! z trochę po- gardy woła sługa—dlugoby o tém mówić, a niekażdy rozumiałby może. Rodzice mło-

dego pana (młody pan ma już lat przeszło czterdzieści) żyli tu dawniej po pańsku, był tu ruch Mosanie, zjazdy, wesole polowania, zapusty, kuligi, nieporastał dziedziniec chwastami, nie było nigdy tego straszego milczenia. Oj! dawniej to dawniej! Bywało ś. p. Pani Podkomorzynę imieniny gdy przyjdą w Maju na Ś. Zofję, to to, o dwadzieścia mil w kolo, całe sąsiedztwo się zjeżdża a balują, a hulają do oktawy. Toż Mosanie i na JW. Podkomorze, na Ś. Szczepan, bywało krewni i z Korony i z pode Lwowa i z Wielko-Polski się ściągają. A Zapustyż? niestawało miejsca koniom i ludziom, to konie stały na pańskim obroku w austerij, a panowie i panie, każda pleć osobno, pokotem po salach, nasławszy siana zasypiali, po wesółych zabawach. Bo to, mospanie, dom był staropolski, gościnny, otwarty wszystkim, każdemu gospodarstwo radzi, każdy wesół odjeżdżał i wdzięczen za uczciwe przyjęcie. A przyjęcie było, jak Bóg przykazał, co dom miał.

— Spójrzcież no teraz na te rudera, jestli tu ślad tego co było. Ktoby się to domyślił,

jaka tu wesołość, ochota mieszkała. A czemu to tak opustoszało? spytajcie się mnie, — przez (z przeproszeniem mówiąc) przez paniczowe fiu bździa w głowie. A kto temu winien? Ot podobno sami JW Państwo Podkomorstwo, świeć Panie ich duszy. Jak zaczęli edukować panicza na cudzoziemską, niemiecką tam jakąś manjerę, jak zaczęli uczyć po francuzku, nasprawdzali z za granic guwernerów, wyprawili potem na wojazę, tak paniczowi potem dom zaśmierdział, a wszystko w głowie jakieś tam Paryże a Paryże; ot i porzucił dom a teraz gdzieś mieszka w Florencij — A było go po staropolsku prowadzić nie byłoby tego, dać do szkoły, trzymać w rézie panicza. Ale JW. Podkomorzyna z wielkiej miłości dla jedynaka, wszystkiego nam tego nawarzyła. Nieraz ja slyszalem, jak jegomość nasz mówił:

— Ej, Jejmość, Jejmość, porzuciłby tych guwernerów, bo nam z dziecka zrobią cudzoziemca. A Jejmość odpowiadała wszystko — Taka kotku moda — Otóż tobie moda, majątek zrujnowany, dom pustką, a zli ludzie korzystają.

Te ostatnie wyrazy z przyciskiem wymówił Marcin, bo chciał synowi plenipotentę dać uczuć, że jego ojciec należał do tej kategorij złych ludzi. Chłopiec zrozumiał, nie w ciemność go bito, wyniósł się po ciemności a stary sługa wszedł do swojej ciupki.

Była to mała izdebina, w której szczątki dawniej okazałości, podruzgotane, składały bardzo ubogi sprzęt starego Marcina. Nic tu nowego. Pod oknem stara komoda, niegdyś kosztowna, bo wysadzana misternie, dziś krzywo stojąca i połamana; dalej parę krzeseł niegdyś złotych i axamitem obitych, dziś kulawych i odartych. Na ścianie kawałek weneckiego zwierciadła w zwierciadlanej ramie pobitej, brudny portret Podkomorzego z gwiazdą i wstęgą, wizerunek Ś. Patrona od much upstrzony. Nad łóżkiem wazkiem gromnica, palma i święcone wianki. W kominie widać szczątki naczyń dawniej ozdobnych, pootłukanych, powyszczerbianych, brudnych, wysoki dzban cynowy staroświecki z pokrywą i misę. Kilimek nawet, którym zasłano łóżko, makata wisząca nad nim przypominały dawne cza-

sy, jak ten Marcin z twarzy podobny do portretu starego sługi, bardziej niż do żyjącego człowieka.

Cicho na palacowym podwórku, w ogrodzie, w palacu, dokoła, na drugim dopiero dziedzińcu życie i ruch. Tu świeży dom pana plenipotenty, postawiony bez smaku i sensu, czerwone okiennice, różowa facjata, zielone balaski; ale dokoła ożywia go gospodarstwo, głosy ludzi i zwierząt. Niedaleko stodoła, obory, owieczarnie, gorzelnia, magazyn. Budowle w złym stanie, domyślisz się o staję patrząc, że tu nikt o nie nie dba; a wszyscy sobie kradną, od najstarszego począwszy. Mnóstwo żydków kręci się przy domu pana plenipotenty nisko przed nim czapkując, on zaledwo raczy wyjść do nich i spojrzeć.

— Czegoż to tam chcecie? woła ukazując się ze drzwi z cybuchem zakończonym ogromnym bursztynem, w tłustej gębie. Niemand czasu! Przynoscie pieniądze! Rata nadchodzi! Pieniędzy! Pan pisze a pisze abym mu posyłał, a z was nic wyciągnąć nie można—

Tych słów właśnie domawiał plenipotent, gdy zdyszany parobek nadbiegł oznajmując:

— Pan przyjechał!

— Jaki pan? spytał groźnie marszcząc się plenipotent. Co za pan?

— Nasz taki pan, dziedzic — Podkomorzy —

— Co pleciesz? zwarzowałeś! zaryczał plenipotent —

— Dalibóg przyjechał — tylko co.

Mówił to jeszcze parobek, gdy nadbiegł stary Marcin, z témże.

— Jaśnie Wielmożny Podkomorzyce powrócił, wrzasnął zdaleka. Proszę do JW. Pana — JW Pan gniewa się i piorunuje za nieład, a ja Wasanu mówiłem, że to kiedyś tak będzie.

— Co te osły poszaleli! huknął plenipotent. Jaki pan? Wasz pan o sto mil ztąd, to być nie może.

— Nie o sto mil, kiedy powrócił, rzekł Marcin — Poznałem go dobrze, podobniuténki do nieboszczki Jejmości — Otworzyłem mu pokoje ojcowskie, ale w nich zimno jak

w psiarni. Kazał ognia nakładać i Waspana zawołać.

—Mnie! zawołać! To mówiąc plenipotent trochę pomieszany wszedł do pokoju, gdzie już wielka wiadomość popłoszyła jego żonę, córki i synów. Lecz wróćmy do pałacu i Podkomorzycy.

Łatwo pojąć, jak nawykłemu do wytwornego wygodnego życia za granicą, wydał mu się kraj, do którego jechał, jeszcze najgorzej o nim uprzedzony. Od granicy począwszy wszystko było jak najgorzej, na wszystko piorunował, zżymał się, ze wszystkiego szydził, każdą rzecz porównywał pogardliwie z tém, co porzucił za sobą we Włoszech, we Francji. Począwszy od chmurnego nieba naszego, które mu się niepodobało, począwszy od złych dróg, złych karczem, niedostatku wygod, kraj i ludzie ulegli najsroźszej krytyce podwojonćj złym humorem i golizną zmuszającą do powrotu na ojcowskie śmieciska. Jakże się wydał pałac ów stary, zimny, zrujnowany, opuszczony! Podkomorzyc nieuczul bicia serca najłżejszego na wspomnienie rodziców, pod których okiem tu się wy-

chowal, nie wylał jednój łzy nawet, wysiadł z powozu szukając ciepłego kąta, a zasnął klnąc zimno, wilgoć i głód.

Rozpatrzywszy się lepij, bardziej jeszcze nie popobał siedzibę przodków i kraj rodzinny. Ci, z którymi się poznał lub dawną bardzo odnowił znajomość, wydali mu się najgorzej, żaden z nich Włoch i Francij nie pojmował, żaden nie miał dobrego wychowania, żaden nie pomagał mu narzekać na kraj swój i dzieczynę jego. Podkomorzyc nudził się okropnie, a nudy powiększały się jeszcze, przekonaniem że były bez nadziei ratunku. Fortuna ojcowska obciążona była długami, nikt pożyczać nie chciał, mówiono o rozbiorze; plenipotent wkrótce podziękował za służbę, i kupiwszy dwie wioski, stał się arcy-zacnym obywatелеm. Na następujących Sejmikach obrało go nawet Sędzią.

Podkomorzyc umierał z nudów, z rozpacz, wzdychał za swą przybraną ojczyzną, tęsknił, schnął, umierał. Szczęściem posażna stara panna, niegdyś pierwsza jego miłość, gdy był prawie dziecięciem, oddała mu rękę swą i miljonowy majątek. W tydzień po

ślubie wyjechali państwo młodzi do Florencji i więcej ztamtąd nie powrócili. Stary Marcin znowu się nosił z kluczami i narzekał na ś. p. JW. Podkomorzynę, że panicza popsula. Ale nie długo włóczyć się staremu, już nogami suwa, głowa mu się trzęsie, a na Ś. Marcin dziewięćdziesiąty ósmy rok życia kończy. Daj Boże żeby do Marca dożył.

Jeszcze jeden obrazek??

Wśród pięknej okolicy, ujrzysz może kiedy miasteczko, położone szczęśliwie nad rzeczką, która zebrana w wielkie stawy, obraca kilka młynów, krupiarni, tartaków, greplarni i innych zakładów. Na hoku, na wzgórzu zastanowi cię budowa murowana, obszerna, a bez pretensij i wystawy, choć z największym postawiona smakiem, otoczona ogrodem i innemi zabudowaniami, równie pięknemi jak sam dom, równie prostemi i wdzięcznemi. Z za zielonych drzew ujrzysz tam także wysuwający się ozłocony słońcem krzyż kaplicy. Naówczas zastanowisz się w miasteczku, bo zechcesz zapewne poznać bliżej, miejsce tak wdzięczne.

Zwróci uwagę twoją porządek, który natopkasz wszędzie, zaczawszy od rynku, miejsca, dokoła którego pospolicie zbierają się wszystkie brudy po naszych ubogich miejscinach. Tu stoją murowane porządne kramy, kilka czystych domów zajezdnych. Wszędzie cicho, spokojnie, a jednak ruch jest i życie. Zechcesz widzieć więcej i przejdiesz się ku dworowi. Do niego powiedzie cię ulica wysadzana staremi lipami, po której obu stronach białe pięknie pobudowane domki z ogródkami, wdzięczny czynią widok. Uśmiechać się będziesz do czystości, porządku, spokoju, jaki ujrzysz wszędzie.

Zbliżysz się, dwór się ukaże z innéj strony, otoczony obszernym dziedzińcem, wśród którego nie natrafisz na żadną niesmakowną ani pretensjonalną ozdobę, ani tryumfalne wrota, ani na głupi kompas (zawsze popsuty) ani na pootłukane posagi, wyobrażające podlubany kamień (bo pewnie nie więcej.)

Przed pałacem zielona murawa, do koła jéj piaskiem wysypana droga, dalej klomby łączące podwórzec z ogrodem. Ludzie przechodzący wydadzą ci się miłej twarzy, grze-

czni, nie natrętni, nie ciekawi, nie pogardliwi, jak zwyczajnie słudzy wielkich panów. Ubranie ich będzie czyste, porządne, nie wytworne. Nikt ci nie wzbroni wejść do ogrodu, któren przebieżysz z prawdziwą roskoszą, coraz to coś piękniejszego natrafiając. Tam wielkie zwierciadło wody, indziej zieloną łąkę, to znowu jedną z tych fantazyjnych budowli, w których tak często, więcej jest wysmażonej pretensij, niż smaku i myśli. Ale tu wszystko ci się wyda harmonijnie utworzoném, wdzięczném, milém.

Napatrzywszy się wiele, pozazdrościwszy może w duchu (najuczciwszym sposobem zazdrościć trochę można przynajmniej dobrych uczynków i pięknego ogrodu) pozazdrościwszy — szczęśliwym, swobodnym mieszkańcom tutejszym, spytasz wręście ogrodnika, kto jest panem tego miejsca.

— Xiąże.....

Usłyszawszy to imię nie będziesz dziwił się więcej. Xiąże jest w istocie ideałem pana. Nie poniżając się bez potrzeby, nie wynosząc się śmiesznie, pelen prostoty, szczérości, uczciwy jak ubogi słahcic, gościnny jak da-

wnych czasów człowiek, oświecony jak syn naszego wieku, ze smakiem wykształconym, ze znajomością ludzi i świata—Xiąże, powtarzam, jest ideałem pana. Żadnej w nim śmieszności i żadnej słabości prawie; umie on nawet idąc ze swoim wiekiem, z jego wyobrażeniami, z modą, umie żyjąc w świecie który umyślnie przybiera postawę szyderską i zimną, umie być pełnym czucia i entuzjazmu; a potrafi jednak za tę tak wielką winę, wyjednać sobie przebaczenie od współbraci. Xiąże, nie zapięra się swojego Xięztwa przez pochlebstwo dla tłumu, ani się z niém chwali, nie rozrzuca majątku, ani skapi, nie mięsza się we wszystkie towarzystwa, choć od żadnego widocznie nie ucieka. Pojawszy że jego położenie towarzyskie czyni go obowiązany do zajęcia się losem wielu innych ludzi podwładnych mu, zależących od niego, potrzebujących go — Xiąże zważa bacznie kto jest wart pomocy, pomaga, pociesza, podnosi, zapomaga. Zna jego i Xiężnę okoliczne ubóstwo, zna go uboga szlachta, szanują mimowolnie wszyscy; nawet ci, co by go radzi ukąsić, nie wiedzą z której strony zacząć.

Xiążę zna Europę całą, ceni co jest istotnie dobrego w obyczajach obcych, w pomyśle cudzoziemców, w ich literaturach, zachwycał się włoskiem niebem, śmiał się z Francuzami w Paryżu, rozprawiał o polityce z Anglikami w Londynie, słuchał sławnych profesorów niemieckich i poznał uczonych, jednakże powrócił do kraju i przyjął go z wszystkiemi jego ułomnościami, nie zaprzeczył mu jego wdzięków i zalet; kochając go jak przedtem, nie zapierając się ani języka, ani literatury, ani tutejszego sposobu życia, jakby na okazanie, że poznał coś zupełnie wyższego i lepszego, (co dowodzi tylko że się w istocie nie dobrze i głęboko nie poznało). Xiążę umie godzić wynalazki zagraniczne, ulepszenia z potrzebami krajowemi, ze stanem przemysłu, fabryk i sztuk u nas, umie zastosować się do miejscowości i z niej dla samych wynalazków korzystać jeszcze. Nie będąc chciwym fortuny, (którą ma i tak bardzo znaczną) poczynił jednak zakłady wielkie, fabryki, posprowadzał maszyny i majstrów. Dla czego? bo wie, że to wywrze znaczny wpływ na byt jego włościan, dając

im sposób łatwiejszego zarobkowania; bo wie, że swoim przykładem obudzi może gnuśność drugich, kogoś zachęci, komu pomoże. Dodajmy że Xiąże, nie straci także na tém, bo umie wszystko rozsądnie prowadzić, bo ma ten rozum prawy, który rzadko zawodzi; choćby mu nawet nie towarzyszyły wielkie specjalne wiadomości, cóż dopiero gdy one się z nim zejdą?? Pobłażający słabościom ludzkim, nie przebaczący jednak występki, Xiąże jak inni którzy powrócili z *za granic*, nie pogardza krajowcami, nie polega od śmiechu patrząc na nich, może ich pocichu żałuje tylko, a głośno stara się wprowadzić ich na drogę najlepszą — najuczciwszą — pracy i nauki.

W towarzystwie nie wymuszony, a nie pospolitujący się, nie zbyt wesoły, a nigdy smutny, miły jest wszystkim i dla wszystkich przystępny. Zbyt zna świat, aby (gdyby ją nawet miał) słabość jaką i śmieszność okazał; to też najzajadlejsi anti-arystokraci, nie potrafią się śmiać z niego i nie na niego wymyślać, kontentując się uzaleniem nad tém, że się urodził panem!!!

Taki człowiek, łatwo to umiarkujecie, nie ożenił się z nierówną sobie co do przymiotów duszy i ukształcenia. Xiężna jest ideałem wielkiej pani; a razem kobiety najlepszego towarzystwa, żony i matki. I w niej nie znajdziesz żadnej z tych wybitnych śmieszności, które tak w oczy skaczą u innych, z resztą najprzyzwoitszych kobiet. Xiężna jest miła, grzeczna, łagodna, dobroczynna, jak mąż jej wybacząca wiele drugim i równie jak on szczerą i pełną zapалу.

Czytając ten obrazek, pomyślicie zapewne: — Tam kręślił poczwarne karykatury, tu jakieś ideały bez ludzkich słabości. Przeczam, mają i oni słabości, ale walczą przeciw nim, usiłują w sobie zniszczyć i dla tego ich nie widzimy, dla tego o nich nie piszemy.

Powiecie mi także, za co w nich obójgu tyle chwaliłem szczerą i zapal, żywe czucie? Dla tego, że te przymioty są u panów i pań, a w ogólności u osób wyższego towarzystwa, lepszego wychowania (bo to tak zowią pospolicie) nadzwyczaj rzadkie. Żle rozumiano powszechnie, *wyższość umysłową moralną*, a na mocy fałszywego o niej pojęcia, si-

lą się dla okazania wszelkiego ukształcenia umysłowego, na oziębłość i szyderstwo, tak jak gdyby brak szczerości, uczucia, zapалу, zimny zwyczaj drwinkowania ze wszystkiego dowodził istotnie wychowania, rozumu?—Nie tak się dzieje, mili panowie — człowiek odarty z czucia, zimny, godzien jest litości nie uwielbienia, dowodzi on sobą może bardzo *świeotnego*, ale pewnie *moralnie* złego zupełnie wychowania, jest nieszczęśliwy sobie, a nieznosny drugim. Wydaje się wiecznie przybylcem z jakiegoś innego świata, z lepszego, choć ma wszystkie słabości naszego i nie kryje się z niemi. Może to wprawdzie bardzo zdumiewać i uszczęśliwiać głupców, mogą zazdrościć braku uczucia, oziębłości na wszystko, umiejętności szydzenia ze wszystkiego, ale ludzie z odrobiną rozsądku, łatwo odkryją w tych sceptykach, rzucających w oczy sarkazmami za każdym słowem—sztukujące się tylko, mierne i płytkie istoty. Dłuższe a bliższe z niemi stosunki, najlepiej o tém przekonają.

Dixi.

—Już koniec? pyta czytelnik.

—Na ten raz koniec—

—Kilka karykatur i dwa ideały.

—Niech i tak będzie, pozwalam. Poczekawszy dopełnić mojego przeglądu, wizerunkami których nie będziesz mógł nazwać, ani tęp, ani tamtęp imieniem. Jeśli te nie są jeszcze, to tamte będą niezawodnie typami.—

II. Chory na Pana.

GŁOS powszechny zowie *chorującym na pana* tego, który pana udaje; jest to bardzo trafna determinacja, bo za chorobę umysłową słusznie taką manją uważać można. U nas, chorych na pana jest wielkie mnóstwo i w różnych rodzajach; do téj kategorii policzmy półpanków, chorych na pana i czepiających się panów. Wszyscy oni mitują *państwo*, radziбы się wydzielić z tłumu, a wrosnąć w arystokracją, brzydzą się swojém prostém słachectwem, palają żądzą z bogacenia się, któreby ich slachtę wzniosło od razu na tron *państwa*, ale każdy z nich w odmienném trochę zostaje położeniu. Możeby tu jeszcze czwartą podgatunek dodać należało, tych, którzy jedynie milując się w wytworném wychowaniu i obyczajach klasy wyższej, przystają do niej za satellitów.

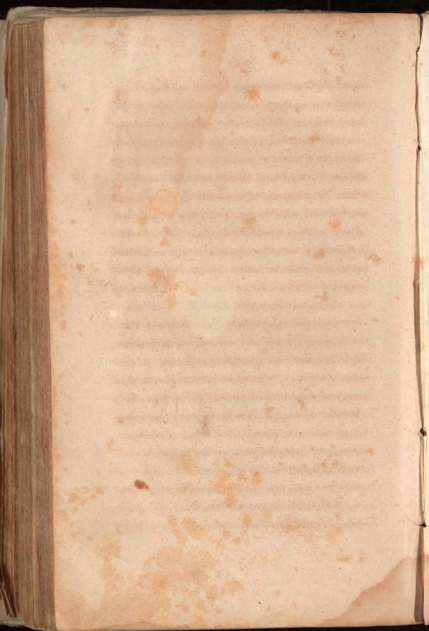
Zaiste, wszystkich tych położenie względem istotnych panów, jest przykre. Trakto-



JOHORY NA PAMA

Wydruk z Księgi

Lit. g. J. Orszulowskiego



wani z góry, zmuszeni nieraz upokorzeniem okupywać swoje z niemi stosunki, ciągle zwaćć usilnie na siebie, drzeć i płaszczyć się powinni. Cóż czyni, że łatwiejsze, przyjemniejsze może towarzystwo opuszczając, cisną się między panów? Co? Oto pragną, aby *tlum* ich widział z *panami*, aby wiedzieli wszyscy, że oni z niemi poufale żyją, są ich przyjaciółmi od serca. Na chwilę wyszedłszy z owego koła między prostą szlachtę, zagłuszają w każdej rozmowie wspomnianiem nieustanném Hrabiego P. — Niecesia L. i mnóstwa takich nawet; których zaledwie zdaleka widzieli.

A naprzód odmalujmy pół-panków. Pół-panek ma dwie lub trzy wioski, czasem sześć i dziesięć nawet, sąsiedztwo, dalekie pokrewieństwo jakie, związało go z którym domem magnatów. Pół-panek ztąd uroił sobie, że należy do panów, jest im równy, powinien żyć jak oni i we wszystkiém ich naśladować. Nie patrząc więc na stan swój, majątek i interessa, mebluje dom kosztownie, kupuje konie, powozy, sprawuje liberję, maluje herb swój wszędzie (dodając dla proporcij i pięknego kształtu dziewięć-perłową koronę, któ-

ra dziś zdaje się być w modzie, bo jęj niemal wszyscy używają) wyciąga szyję, mruży oczy, nadyma się i jest już w swojém przekonaniu panem przynajmniej, jeśli nie więcj jeszcze. Nie żyje już potém z nikim tylko z panami. Żle go czy dobrze przyjmują, narzuca się im ze swemi odwiedzinami, zasiada poufale, bawi nie proszony, wtrąca się do wszystkiego i wszędzie. Ton jego jest aż do przesady przyjacielski, serdeczny, Xiążąt, Hrabiów, inaczej nie nazywa tylko po imieniu, daje im rady, wypala ich cygara, spija ich wino, zjada obiady i krytykuje niemilosciernie kuchnię i piwnicę. U siebie w domu nasz półpanek przekonany, że jako wielki pan, powinien żyć dobrze, najgorliwićj się stara o jak najlepszego kucharza-artystę, o jak najdoskonalwsze wino. Uszczęśliwiony gdy u niego panowie bywają, przyjmuje ich wystawnie aż do śmieszności i tak rujnuje się, nie zastanawiając się nad tém. Od chwili bowiem jak się kreował i koronował panem, wierzy w nie-
możność zrujnowania się i upadku, w niechy-
bność na samą porę przychodzącj successij. Nigdy półpanek nie będzie ci mówił o swo-

ich interessach, nigdy nie poskarży się na niedostatek; czasem tylko pozwoli sobie (bo zwyczaj powszechny go do tego upoważnia) narzekać na plenipotentów i kommissarzy. Mina jego maluje go zawsze i rzekłbyś, że pięknie, tak jest pełen aż po brzegi samego siebie i wielkości swojej. Ubiór dobrym smakiem nie wytwornością się odznacza, najczęściej nie wypuszcza z rąk grubej lub cienkiej zawsze z ogromnemi kutasami laski. Niepodobna pół-pankowi mimo najusilniejszych starań, zerwać wszystkich stosunków ze szlachtą, to też żyje z nią, ale jeśli obejście się panów prawdziwych, bywa niekiedy niezbyt grzeczne, to pół-panków jest prawie zawsze nieznośne. Względem szlachty są wiecznie jakby protegującemi, wiecznie okazują znudzonych i nie w swojej znajdujących się sferze; nie dość że poufali, umieją być niemi w sposób obrażający.

Uwalniają się od wszelkiej grzeczności, delikatności, uwagi na panów szlachtę jak nas zowią. Przytém jednak lubią się chwalić z wytworem swego domu, lubią pokazywać ogród (żaden pół-panek nie może się

obejść bez kutasów u laski i ogrodu angielskiego) lubią wystawiać srebro, porcelanę, obrazy nawet. Wszystko co widzieli u panów, starają się mieć u siebie, choćby się na tém nie znali, choćby tego nie lubili; dla tego tylko że tak bywa u panów. Nie jeden pół-panek, dla tego że widział u Xięcia D... doktora nadwornego i sekretarza, trzyma sekretarza i doktora, choć nie nie pisze i nigdy nie choruje. Biedni męczennicy śmiesznej próżności, wyśmiani są i od tych, do których chcą należeć i od tych, do których należeć nie chcą.

Innym cokolwiek jest ten co go zowią *chorującym na pana*. Ten częstokroć mniej jeszcze usprawiedliwia majątkiem swoje pretensje do okazywania się bogatym, wytwornym. Choroba u niego nie jest tak ciągła, ustaje czasem dla braku pieniędzy; gdyż *chorzy na pana*, całą essencją państwa rozumie *złoto*, całą tajemnicą — wystawę i przepych. Gdy pół-panek zachwycił nieco wychowania lepszego i niemniej zasadza państwo na tonie, na obejściu się jakimś, na znajomości jakiej takiej literatury i sztuk, słowem na

uksztalceniu — chory nasz nie pojmuje w panach nic, tylko szafunek wielki dostatków. To też, gdy pół-panek często miewa smak, potrafi dom urządzić, kuchnię, piwnicę, *choremu* zdaje się że gdy tylko drogo zapłacił za co, wszystkiego, co mógł i do czego był obowiązany — dopełnił. Uważcie więc różnicę dwóch bliskich sobie typów. Pół-panek ma pewne ukształcenie przy wielkiej dozie próżności i głupstwa — *chory na pana*, jest najpowszechniej tego i zupełnie głupiućki. U niego to ujrzysz owe liberje zielone z żółtym, owe uprząże od złoconych brązów, owe powozy upstrzone trzęsidelkami, w pokojach gratów bez liku jak w sklepie, bez smaku, bez sensu porozrzucanych. Na stole nastawi ci srebro różnej daty i kształtów, spoi cię winami, których nazwać nieumiejąc, będzie ci tylko ich cenę wychwalał —

— Wypijem jeszcze tego dukata! na honor, dukat kosztuje!

Zresztą nadęcie chorego jest równie wielkie jak pół-panka, z tą różnicą, że z panami *chory na pana*, nigdy nie jest tak przesad-

nie poufały; napawa się tylko widocznie pychą obcowania z niemi, wyjaśnia mu się oblicze, błyskają oczy, zaciera ręce. Wybiegłszy z palacu, śpieszy przed wszystkimi pochwalić się, że rozmawiał z Xięciem, jadł obiad z panem Hrabią i t. p.

Choroba państwa napada niekiedy młodych, częściej średniego wieku ludzi, lecz są przykłady, że się daje rozsądną kuracją uleczyć. Nie jednego żona, przyjaciel naprowadził na drogę rozsądku. Zapomniałem namienić, że gdy pół-panek najserdeczniej poluje na tytuł przynajmniej Hrabiego *in partibus*, sześć herbów kolligacyjnych wycina na pieczętce i sługom swoim każe się tytułować JW. Grafem—chory na pana po większej części nie śmieć się na to odważyć. Choroba państwa objawia się zwykle naprzód, niejakaś zazdrością na widok ludzi bogatych, którzy oczy tłumu ku sobie ciągną; zazdrość ta wkrótce przeradza się w rodzaj uderzającego niepokoju. Chory, chodzi, myśli, gryzie paznogie, targa włosy, liczy się ze swoim majątkiem. Sumienie mu powiada, że nie jest panem, on sobie mówi, że mógłby nim

być. Po długiej walce z samym sobą, chory zaczyna od jakiego wielkiego głupstwa, płaci za karetę kilkaset dukatów, kupuje cug kosztowny. Gdy raz poczał, nie umie (bo nie chce) się powściągnąć, tłómaczy się przed sobą, że mając konie, trzeba mieć powóz, mając powóz i konie, potrzeba mieć liberję, z liberją, powozem i końmi, trzeba domu stosownie utrzymanego na pewnej jakiejś odpowiedniej stopie. Jeśli chory znajdzie opozycją w domu od przeciwnej temu żony, która nicumiejac inaczej dać sobie rady, wprost mu się sprzeciwiać będzie — najczęściej rozjątrzy się gorzej jeszcze i więcej głupstw popelni. Po niejakiem czasie ta zapalna w początkach słabość, odchodzić pocznie, albo, co gorzej, w chroniczną się zmieni. Naówczas bięda rodzinie, której fundusz pochłonie, biada często pocziwości, która upada pod gruzami walącój się fortunki. Ciężkie interessa najpocziwszego czasem, czynią w końcu złym, gdy w nim jeszcze do końca, dotrwa ta choroba państwa. Doskonale to ludu naszego prostego przysłowie, że *głód kradnie a dług kręci*. Okoliczności bar-

dzo zmieniają ludzi. To też każdy pilnie powinien uważać na siebie, aby się dobrowolnie nie wystawiać na próby, których może nie wytrzymać i nie wyjść z nich zwycięzko.

Chorzy na panów, najczęściej kończą wprędce smutną ruiną. A jednak gdy sto takich przykładów świeci w oczy, dwiestu w ich obliczu idzie tą samą drogą, ufając niewiem w co? raczej niemysłąc co będzie i nie zastanawiając się nad niczem. Ze wszystkich prowincji dawniej Polski, w Galicji i na Wołyniu, ta choroba podobno najpowszechniejsza i zdaje się być w powietrzu. Każdy żyje wystawniej niżby powinien, walcząc z swojemi sąsiadami o palmę nierozsądku, każdy choć odrobinę nad sferę sobie pozwala. Ztąd gdy bardzo niewiele robi majątki, mnóstwo je traci, takich nawet, którzy je wprzód zrobili; dorobiwszy się, zachorowali na panów i skończyli ruiną na starość.

Przejdźmy teraz do trzeciego typu naszej kategorii — do *czepiających się panów*. Ci różnią się więcej od poprzedzających; młodzi to po większej części ludzie, nie lubiący

zatrudnienia, a smakujący w życiu wygodném. Wyrzekają się oni domów, widoków przyszłości, przejmują na swoje nieszczęście, wszystkie gusta wielkich panów, odwykają zupełnie od pracy, i zostają jakby sługami, trochę tylko wyższej kondycij. *Czepiający się panów*, nie udaje pana jak poprzedzający, ale ma sobie za szczególną chlubę, zwać się przyjacielem Xiążąt, Hrabiów, lubi popisywać się z częstym u nich pobytem, z poufałością stosunków, przed profanami opowiada zawsze szeroko, jak jest *dobrze* z tym lub owym, jak surowo do nich przemawia, jak ich karci, zmyśla odpowiedzi śmiałe na swój rachunek, których nigdy jednak nie dopuścił się w istocie i gdyby je był wyrzekł, dostałby kolanem i poszedł pewnie za drzwi.

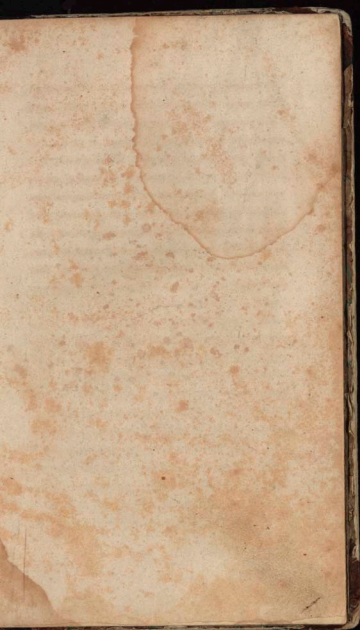
Nasz panicz, mówi trochę lepiej lub gorzej po francuzku (najczęściej bardzo źle) ubiera się starannie i modnie, sypia długo, wymyśla z jedzeniem, prawi o truflach i pasztetach, nudzi się z professij gdy jest w towarzystwie szlachty (którą jednak zupełnie nie gardzi) — i — najpowszechniej jest *goty*. To

łatwo wytłómaczyć: z małemi resursami, bez pracy, wciągnięty w życie wymagające kosztów ubrania, ekwipażu i t. p. prędko nasz panicz wycieńcza sakiewkę. Nie znać tego jednak po nim, na pierwszy rzut oka, niedostatek zamaskowany jest wybornie, w poufalszém dopięro obcowaniu objawia się częstemi listy, proszącemi o pożyczenie pieniędzy, pod różnemi pretextami, extra nadzwyczajnego i nieprzewidzianego niedostatku chwilowego. Czepiający się panów, jak są uważani od nich? czém okupują swoje przyjęcie w ich domu? to łatwo wytłómaczyć.

Panowie radzi są czasem pożartować z kogoś, mieć przy sobie istotę bez konsekwencji wygodną, jak skórzana poduszka, która — zda się na krzesło i pod głowę, istotę, która za nich pojedzie, pójdzie, wyklóci się, napisze (jeśli potrafi) znosi im plotki z całego świata, mileczy gdy mileczą, śmieje się, gdy się śmieją, pije gdy piją i gra gdy grają. Oni zaś raz poświęciwszy się na życie pasożytów, unieją stać się potrzebnemi w domu, zupełnie tak, jak nie jeden sprzęt w po-

koju, na którego właściciel prawie nie zważa, a jednak przykroby mu się zrobiło, gdyby go wyniesiono i postrzegłby ten brak zaraz. Towarzysze ciągli żywota pańskiego, nasi młodzi panowie, nie mają *swego* życia, swęj woli, swych smaków osobistych, właściwych, we wszystkiem odbijają swoich Jaśnie Oświeconych przyjaciół, (jak ich zowią.) W tego rodzaju zwierciadłach można spokojnie obserwować nie jedno pańskie oblicze, tak, jak przez zakopane szkło, obserwuje się plamy na słońcu i jego zaćmienia. Człowiek téj klasy metysów rzadko się żeni i rozpladza; trafiają się jednak przypadki, że Jaśnie Oświecony lub Jaśnie Wielmożny zapotrzebuje nagle wydać kogo za mąż, zaproponuje posag, a nasz łysiejący młodzik obejrzawszy się dokoła, pomiarkowawszy że stracił co miał, na pańskich usługach, zgodzi się na starość ogryzać lupinki. To mu zapewnia z J. Oświeconym lub J. Wielmożnym jeszcze trwalsze stosunki. Pelen *filozofij zdrowej*, wie naówezas, kiedy jego przytomność jest zbyt cenną, wychodzi w porę, wraca późno, wygodny, potulny, zyskuje na tém

najczęściej jeszcze dożywocie, albo nawet małą wioseczkę z długiem bankowym, czy-stym darem, za wierne usługi. Inni z tych paniczów przeżywszy młodość w próżniac-twie, pozbawieni podpór jakimkolwiek wy-padkiem, wpadają znowu w swoją pięt-wszą sferę. Naówczas są to prawdziwie nie-szczęśliwi ludzie. Bardzo wielu kończy życie wyszafowane prędko, bez niczyjego żalu, bo je strawili, nie starając się o szacunek u lu-dzi; zaminiają wprzód zapomnieni niż po-chowani.





DOROBKOWICZ

z Pysa Kraszewskiego

Lit. J. Czaplewskiego

III. Dorobkowicze.



Nazywam *dorobkowiczem* tego, który się majątku dorobił, którego zowią po francuzku *parvenu*, a z francuzka u nas także *parvenjuszem*. Typ ten zjawił się u nas od niedawna, pod takim kształtem jak gdzieindziej; dawniej nie był tak widoczny, niewzbudzał śmiechu *dorobkowicz*; dziś stał się zupełną karykaturą, w skutek objawiających się w nim pretensij. Póki się fortuny dorabia słachcie, póki pracuje w pocie czoła (byle nie z cudzą szkodą) póty godzien jest szacunku, czasem litości (gdy zbytecznie męczy siebie i drugich). Lecz dla każdego z nich przychodzi chwila przesilenia, chwila w której spójrząwszy na zgromadzone bogactwa, zażąda znaczenia, tytułów, wziętości, jedném słowem, *państwa*. Naówczas już mniej zważając na robienie majątku, któren niewyczerpanym mniema, szafuje nim dla pozy-

skania sławy pana, tytułów i t. p. sadzi się na wytwory, malpuje bogatych, nadyma się niezręcznie i udając magnata, doskonale reprezentuje—bogatego żyda.

Odmalujem tu jednego z tych dorobkowiczów, bo wszyscy są prawie sobie podobni. Pan Michał Perzyna był synem uboższego słachcica, którego mimo wielkiego ducha porządku, oszczędności i pracy, niepotrafił zebrać wiele, bo miał liczną familją i zbierał po dawnemu dusząc grosze wzięte za żyto i gorzałkę, ale nie wdając się w żadną spekulację, którejby też poprowadzić nie potrafił. W domu ojcowskim, napałtrzył się Michał jak to trudno przychodzi pieniądze, nasłuchał się jak one są potrzebne człowiekowi, nabrał smaku do nich; może dla tego że w ciągu lat dzieciennych i większej części młodości, ojciec mu nigdy więcej nie dał nad złotówkę, a i z téj trzeba było staremu zdać rozumowany rachunek. Będąc jeszcze małym chłopakiem, potem wyrostkiem, ile razy ze szkół powracał do domu, ile razy godzinę razem był z ojcem, nigdy od niego o czém inném nie słyszał,

tylko o pieniądzach, bogactwie, o głupstwie tych, którzy fortunki nie szanują i tych którzy jój zbierać nie umieją i t. p. Jak katechizmu i wprzód podobno niż katechizmu wyuczył go ojciec przysłowia:

Kto grosza nie szanuje, ten szeląga nie wart.

O poczciwości rzadko kiedy mowa była i to na glucho, ogólnie, częściej stary ganil ucziwych gołców, niż niegodziwemi sposobami zbogaconych. A koniec końcem zawsze synowi powtarzał:

—Panie Michale, ten kiep, kto mając sto złotych i młodość, niebędzie na starość bogatym.

Maxymy ojcowskie przedziwnie trafiły do synowskiego serca. Michaś jeszcze nie dorósł, a już zaczął zbierać grosze, myśleć o spekulacjach. Kupował koźleta, sprzedawał je kozami, zarabiał grosz na grosz i niewydając szeląga na owe drobne przyjemności dziecinne, dla których inni tak są słabi, złotych ojcowskie pakował do woreczka zaklętego, z którego je chyba na handel, pewien zysku, wyjmował. Nie inaczej zaczy-

nają żydzi, którzy od skórek owcezych, dorabiają się miljonów na starość. Potrafił ojciec ocenić przymioty syna, to też ze wszystkiiej liczněj dziatwy, jego najlepiej ukochał, jako godnego po sobie następcę.

—Michał, mawiał, zajdzie daleko, dorobi się fortuny, będzie panem. I to mówiąc całował go w czoło. A gdy Michał dla swoich kóz i cieląt kradł od ojcowskich koni siano i owies, stary ojciec dowiedziawszy się o tém, śmiał się do rozpuku i znówu w czoło całował. Z szczególną troskliwością dopytywał się potém, o zyskach Michała, ale zdumiał się nadspodzianie, gdy kilkanastoletni dzieciak, z tryumfem ukazał ojcu sześćset już złotych zrobionych z niczego.

—Mosanie, a wiesz ty, zawołał ojciec, to znaczna sumka! Patrzajcie ten młokos dorobił się już sześciuset złotych! Z tego już możesz dalej tysiące zrobić! Ho! ho? patrzajcie no! Michał ma sześćset złotych! Dobrze Mosanie! będzie z ciebie człowiek. Dalipan wilem się spodziewał, a jednak nie tyle! No! ruszajże dalej. Ja, Mosanie,

mówił dalej, nie tak łatwo grosza dostalem. Służyłem długo za paręset złotych, a na starość ledwie mam kilkanaście chatek! Ty będziesz miał miljony!

W tak słodkich marzeniach stary Pan Perzyna zmarł, a P. Michał jako najstarszy wziął opiekę nad pozostałym rodzeństwem, które w miarę jak dorastało powoli spłacał z ojczystej grzędy i został jedynym jej dziedzicem i panem. Wprawdzie mówiąc o tém bracia jego i siostry, płakali i narzekali na P. Michała, ludzie gadali, że oszukał rodzonych, ale koniec końcem, miał kilkanaście chat swoich, rumiany był, wesół i niewiadać było wcale, aby go gryzło sumienie. Wziąwszy się do rządu wioseczką tak pracował młody dziedzic, iż wkrótce dokupił przyległą część od sąsiada, w pół gotówką placąc, pół zostawując na majątku. Chłopi płakali i jęczeli pod jego żelazną ręką, ale P. Michał śmiał się z *chamów* i robił olbrzymio majątek.

Jakoś właśnie o tym czasie kilka korzystnych podradów wziętych zręcznie z przed nosa tym, którzy ich już byli pewni, posta-

wily lepiej jeszcze na nogach P. Michała. Nabrawszy w tej próbie odwagi, rzucił się na większe, wyszedł lepiej jeszcze i zaraz wziął posessją ogromny klucz przyległy, korzystając z położenia dziedzica, któremu placąc za kilka lat z góry, odtargował bardzo znaczną sumę. Tu założył gorzelnię parową, postawił woły, zaprowadził owce, a w swojej sąsiedniej wiosce dziedzicznej, ogromną sukienną fabrykę ufundował.

Wszystko to nie przyszło bez lez ludzkich, bez narzekań, ale na nie P. Michał był jak skała, jakby ich nie widział, jakby nie słyszał, jakby nie rozumiał. Chłopi jego i cudzy szli na skargi, a powróciwszy brali drugie tyle łóz co przedtém; młodzież chorowała i umierała scisnięta nad machinami w sukienni, a na miejsce chorych pędzono zdrowych, na miejsce umarłych stawiano żywych. P. Michał nie przestając na tém brał podrady, rozszerzał posessją, budował drugą fabrykę, kupował drugą wioskę i był wesolutki, rumiany, szczęśliwy jak aniołek.

Wicież życie jego naówczas? Nie zmieniło się ono, chyba bardzo mało. Zawsze w sza-

raczkowym surducie, zawsze na prostym wózku, bez przyjaciół, znajomości, nie odwiedzając nikogo, nikogo nie przyjmując, nie tracąc na nie, żył skapo, cicho, i gromadził grosze, kłaniający się nisko, pokornie, był przytém zręczny w interessach i twardy z ludźmi, którzy go potrzebowali jak deska. Mając już kapitały pożyczał je, ale na olbrzymie procenta, na zastawy, nie wahał się mieć do czynienia z żydami, bo wiedział że oni go nie oszukają nigdy, on ich zawsze.

Tak rosła fortuna P. Michała, który mając lat dwadzieścia i kilka, przypadkiem się ożenił. Nie wiem jak poznał on Pannę Agatę M... niemłoda już, sierotę, pod opieką matki tylko zostającą, która słynęła więcej z processu jaki się o jej posag toczył, niż z wdzięków i przymiotów umysłu i serca. Rozpoznawszy stan interessów matki P. Agaty (gdy ta uciekla się do niego o pożyczenie pieniędzy na process) przewidując wygranie sprawy, oświadczył się, ożenił, wygrał process, wziął wielki posag i włożył go zaraz w handel i spekulacje.

Wprawdzie dostał tym sposobem żonę — pozał się Boże — brzydką, starą, bez wychowania; ale cóżby mu przyszło z najpiękniejszej, najmłodszej, najlepiej wychowanej; gdy z nią prawie nie żył, wiecznie na wózek, zawsze w pracy i spekulacjach swoich — Do tego Pani Agata nie zawadzała mu wcale, spokojnie siedziała w kącie z matką, klepała pacierze, ciągnęła kabalę, lub bawiła się z pieskami. A gdy jeszcze przyszły pomnożyć zatrudnienia jej dziatki, oddana im, wcale nie przeszkadzała mężowi, wiodącemu takie życie jak przedtém.

Codzienną powiększał się majątek P. Michała Perzyny którego wziął w posiadłość drugą i trzecią kłacz, dokupił drugą i trzecią wioskę, założył znowu fabrykę i uważany już był za milionowego. Wiadomo było że miał kapitały w banku, wielkie w obrócie, znaczne także w zakładach fabrycznych, a nie mało i w ziemi. Tak P. Michał doszedł lat trzydziestu kilku, zawsze szczęśliwy we wszystkiém, nie spotkawszy oporu, zawodu, wesół, czynny, zdrowy. Ojcowskie słowa już się były sprawdziły zupełnie; zacząwszy

od handlu koźlętami, skończył na obracaniu milionów. Imię jego jako pierwszego w prowincij spekulatora i kapitalisty, wielce szanowane od żydów, uwielbiane od drobnój szlachty (z której wyszedł) przeciskało się już w sąsiednie kraju części. Gdzie tylko było wielkie jakie przedsięwzięcie, na króre się nikt nieśmiał targnąć, mówiono że je miał wziąć na siebie P. Michał Perzyna. W istocie, posłańcy jego, objeżdżali mające się puszczać klucze, mające się sprzedawać dobra, wszędzie ich było pełno. Ale gdy kto chciał traktować z P. Perzyną ostatecznie; niepospolite spotykał trudności. Speculator udawał obojętność, mówił że wszystkie jego kapitały były w ruchu, sarkał na ciężkie warunki, podawał swoje zabójcze, a trafiwszy na zmuszonego okolicznościami, korzystał nielitościwie z jego położenia, odzierając go z ostatków.

To też fortuna P. Michała Perzyny wzrosła olbrzymio, a ludzie lubiący zawsze trochę przesadzać, jeszcze go bogatszym ogłosili niż był w istocie. Kredyt miał nieograniczony, brał pieniądze na małe procenta, a

odpożyczał na wielkie i tak szedł dalej a dalej, dotąd bez szwanku.

Już wówczas miał lat przeszło czterdzieści, zaszła w nim nagle odmiana. P. Perzyna naprzód wystawił potężny (bez architektury i smaku) dom murowany w swoim głównym majątku, założył ogród angielski, sprowadził meble z Petersburga, kupił obrazy z licytacji, konie i powozy. Nie myślcie jednak żeby tego wszystkiego używał. Sam z żoną i dziećmi kontentując się mizernym w pałacu pozamykanym na klucze, kącikiem, dusił grosze jak dawniej: ale coś mu w głowie zaświtało, zażądał *pokazywać się panem*. Pojmujecie, że to nie tak łatwo, jak się zdaje (nawet przy pieniądzach) zwłaszcza temu, który życie strawił na żydowskich spekulacjach i nie rozumie świata, tylko ze złotej jego strony, najzimniejszej, najprozaiczniejszej ze wszystkich. Co też baków nastrzelał P. Michał, nie wyliczę—ile było niesprawiedliwionych śmiesznych pretensyj, ile dziwactw w urzędzeniu domu, w wystawie jego i przepychu—opisać nie podobna. Jedno nie trzymało się drugiego, ale P. Perzyna

rad był wszystkiemu, byle drogo zapłacił, bo nie pojmował, żeby na świecie mogło być istotnie to, co to nazywają smakiem.

Oboje z żoną doskonale ślepi, w zupełnej niewiadomości świata, w którym wejść życzyli sobie, czynili z siebie śmiech ludziom. Ludzie bywali u nich dla ciekawości, a potem pękali od śmiechu wyjechawszy za wrota.

Zachciało się też staremu P. Perzynie zostać urzędnikiem dla koperty—sute dawał obiady na Sejmikach, poił i karmił słachtę—i—spadł na końcu—To go nie zraziło, też sama komedja na drugich sejmikach, też samo jej rozwiązanie i też sama znowu wytrwałość. Ale na cóż to wszystko opisywać?

Dość powiedzieć, że od czasu jak zachciał być panem i Jaśnie Wielmożnym, P. Perzyna ujrzał swoje interesa w nieładzie, przestał mieć dawne szczęście. I słusznie, bo duszą był już gdzieindziej.

Odtąd życie P. Perzyny, raczej męczarnią nazwaćby można. Pnąc się do wyższych, niespokojny, gryziony wewnętrzną chęcią podniesienia się, widział się wszędzie upo-

korzonym, odepchniętym lub przyjmowanym tak widocznie dla interessu, że on nawet sam, postrzegać to musiał. Koszta wzniesienia pałacu, ozdoby jego, bale wspaniałe, do niczego nie prowadziły, na nie mu się nie zdały. Śmiano się z niego, objadając go, opijając i pożyczając pieniędzy. Myślicież iż kiedykolwiek poprawił się, opamiętał?—Nigdy. Do śmierci darł się na państwo, do śmierci szalał za tytułem, którego otrzymać nie mógł, przyszedł nawet do tego, że sobie antenatów pofabrykować kazał, zaparł się ojca i familij jedną głoskę przemieniwszy w nazwisku. Ludzie którzy pamiętali P. Michała handlującego kozłętami, potężnie się z tego śmieli, a prosta, bogobojna szlachta darować nie mogła, że przez próżność wyrzekł się swoich; gdy tak niedawno ojciec służył za Ekonoma, że syn nawet się spodziewać nie mógł, aby kto w jego wysokie pochodzenie uwierzył.

Umarł P. Perzyna zostawując dzieciom wielki jeszcze majątek, zawikłane dość interessu i nienajlepszą po sobie pamięć.

To cośmy w życiu jego uważali, przy-

chodzi w życiu każdego dorobkowicza, chwila przesilenia, w której osiągnąwszy majątek, pożąda znaczenia, tytułu i zaczyna grać rolę pana. Prawie zawsze spotyka to dorobkowicza co spotkało naszego P. Michała, a jednak skutkiem przyczyn wewnętrznych niedocieczonych, mimo przykładów powtarza się toż samo na każdym. W istocie możnaby sądzić, że przykłady ludziom, na nie się nie zdały. Każdy sądzi się wyjątkiem i każdy sobie mówi:—prawda spotkało to dziesięciu innych, ale mnie minie pewnie. Tymczasem co spotkało dziesięciu pierwszych, to czeka i dziesięciu drugich.

Jeszcze słówko o dzieciach P. Michała. Synów wychował w stolicy, powyrastali z nich cudaki wzdęte jakimś wyobrażeniem swojego majątku niezmiernego, głupie, zarozumiałe, powierzchownie modne, a wrzeczy istne ekonomczuki zbogacone. — Nieznosne wszystkim ich towarzystwo, bo cały świat mając za baj-bardzo, a siebie za coś tak potężnego, niepojęcie ucywilizowanego (przez wychowanie w stolicy) mądrego, znającego świat, że z nikim żyć nie mogą i mają so-

bie za obowiązek, dla wszystkich być niegrzeczni.

Wzgarda jaką wszystkich częstują, ma zapewne w ich oczach, podwyższać ich niezmiernie; lecz gdyby wiedzieli jak dziesięćkroć więcej wszyscy nimi gardzą!

W towarzystwie nieznośni, bo jakież towarzystwo godne, aby sobie zadawali pracę ułożenia się trochę dla niego i pochowania pazurów? Niegrzeczni dla kobiet, pogardliwi dla mężczyzn, impertynenci; jeśli uniknęli dotąd nauki jaką prędzej lub później od kogoś po grzbiecie odbiorą; to chyba przypadkiem. Wszakże minąć ich to nie powinno i nie może. Zdaje im się jeszcze, (i to najpocieszniejsza!) że doskonale odegrywają rolę *panów*!!!! Ja myślę, że synowie bogatego przechrzty, bardzoby byli do nich podobni; z tą różnicą, że wspomnienie pochodzenia, mitygowałoby dumę i nie dało tak wyraźnie objawiać się, potężnemu ich głupstwu.

Według wszelkiego podobieństwa i starego pocziwego przysłowia naszego, nie pójdzie mienie dorobkowiczów, uciskiem,

krzywdą, łzami zebrane; do trzeciego pokolenia. Roztrwonią synowie ufając w niewyczerpany swój majątek, co ojciec niepocziwie zgromadził, a wnuki? Wnuki — jeśli będą wrócić może do stanu swych przodków; bodaj wrócili do ich pocziwości.

KONIEC TOMU DRUGIEGO

ALE

NIE OSTATNIEGO.



Wszystkie te sprawy, które w tym czasie
 wchodziły w zakres jego działalności, były
 dla niego bardzo ważne i interesujące. W
 szczególności dbał o to, aby jego
 działalność przynosiła jak największą
 korzyść państwu i społeczeństwu.

W tym celu starał się on, aby jego
 działalność była jak najbardziej efektywna
 i przynosiła jak największą korzyść
 państwu i społeczeństwu. W tym celu
 starał się on, aby jego działalność
 była jak najbardziej efektywna i przynosiła
 jak największą korzyść państwu i społeczeństwu.

W tym celu starał się on, aby jego
 działalność była jak najbardziej efektywna
 i przynosiła jak największą korzyść
 państwu i społeczeństwu. W tym celu
 starał się on, aby jego działalność
 była jak najbardziej efektywna i przynosiła
 jak największą korzyść państwu i społeczeństwu.

W tym celu starał się on, aby jego
 działalność była jak najbardziej efektywna
 i przynosiła jak największą korzyść
 państwu i społeczeństwu. W tym celu
 starał się on, aby jego działalność
 była jak najbardziej efektywna i przynosiła
 jak największą korzyść państwu i społeczeństwu.

W tym celu starał się on, aby jego
 działalność była jak najbardziej efektywna
 i przynosiła jak największą korzyść
 państwu i społeczeństwu. W tym celu
 starał się on, aby jego działalność
 była jak najbardziej efektywna i przynosiła
 jak największą korzyść państwu i społeczeństwu.

W tym celu starał się on, aby jego
 działalność była jak najbardziej efektywna
 i przynosiła jak największą korzyść
 państwu i społeczeństwu. W tym celu
 starał się on, aby jego działalność
 była jak najbardziej efektywna i przynosiła
 jak największą korzyść państwu i społeczeństwu.

W tym celu starał się on, aby jego
 działalność była jak najbardziej efektywna
 i przynosiła jak największą korzyść
 państwu i społeczeństwu. W tym celu
 starał się on, aby jego działalność
 była jak najbardziej efektywna i przynosiła
 jak największą korzyść państwu i społeczeństwu.



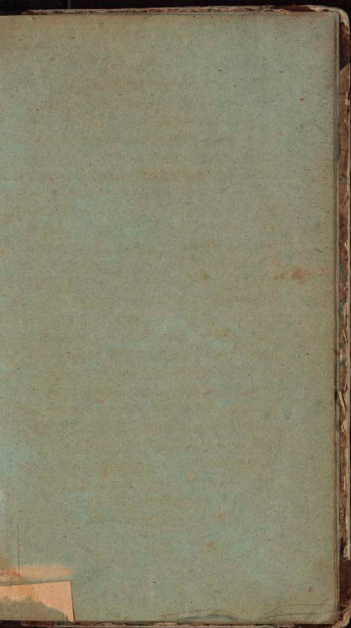
SPIS RZECZY.

	<i>Stronica.</i>
I. WSPOMNIENIA WILNA	5
I. Spójrzenie na miasto i mieszkańców 1830 —	
1835.	7
II. Kościoły, Uroczystości	23
III. Domy	39
IV. Drążharze	43
V. Faktor	48
VI. Kawiarnie—Traktjery	55
VII. Maskarada	66
VIII. Akademik	73
IX. Teatr na strychu	85
X. Przechadzki	95
XI. Wspomnienia	99
II. CHARAKTERY. WSPOMNIENIA LUDZI	111
I. Panowie	113
II. Chory na Pana	182
III. Dorobkowicze	193



SPIS LITERNY.

1.	Wspomnienie W. A.	5
1.	Spis treści na miasto i wieś w 1830	5
2.	1833	7
3.	1. Książki, Lektury	11
4.	III. Domy	20
5.	IV. Działki	43
6.	V. Pastor	48
7.	VI. Kawiarnie—Tobacz	55
8.	VII. Młokach	66
9.	VIII. Akademi	73
10.	IX. Tętno na strój	85
11.	X. Wzrosty	90
12.	XI. Wspomnienia	99
13.	12. Wspomnienia	111
14.	A. Pismo	113
15.	13. Chyć na Pano	125
16.	14. Drobni	130





KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



B

57531



XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

250

WBP Biała Podl.
REGIONALIA

IVC

Kraszewski J.I.

Obrazy z życia...